



G R Z E G O R Z

GORIA

SZCZURY
I WILKI

WTK

Grzegorz Gortat

Szczury i wilki

... którym nie dane było opowiedzieć ...

KUPA ŁAJNA

1. Karzeł i pas

BYŁA NIEDZIELA, więc po namyśle postanowił włożyć białą koszulę. Dla matki. Szafa z ubraniami stała w dużym pokoju. Na palcach pokonał przedpokój, delikatnie nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Zaskrzypiały w zawiasach. Karzeł siedział przed włączonym telewizorem. Usłyszał skrzypienie, bo się poruszył. Jeszcze nie zdechł.

Nie zamykając drzwi, cicho wycofał się do siebie. W ubraniu położył się na łóżku, żeby poczekać, aż Karzeł zaśnie.

– Głodny jestem!

Udał, że nie słyszy. Podniósł prawą pięść na wysokość oczu i otworzył. Na zewnętrznej stronie dłoni, na skórze między palcami, odsłoniły się wytatuowane litery. M, E, H, T. „Jak czterech ewangelistów” – pomyślał. Meine Ehre heißt Treue. Ewangelisci nowego Pisma. Nowy porządek wymaga nowej Wiary. „Naszym hasłem wierność”. Zacisnął pięść i litery zniknęły.

„Tak trzeba – powtarza A.H. – dopóki nie urośniemy w siłę. Wtedy nie dadzą nam rady. Nie możemy powtórzyć błędu poprzedników”.

– Głuchy jesteś? Jeść mi daj!

Wstał z łóżka, opadł na podłogę i zaczął ćwiczyć, opierając ciężar ciała na palcach stóp i kostkach zaciśniętych w pięści dłoni. Uginał i prostował ramiona w równym tempie. Liczył. Kryzys przyszedł przy dziewięćdziesięciu. Zmusił omdlałe ręce do większego wysiłku. Dziewięćdziesiąt pięć. Dziewięćdziesiąt sześć. Wyobrażał sobie, że zamiast w parkiet wbija pięści w Karła. Sto trzy... sto pięć.

Dociągnął do stu dziesięciu i opadł brzuchem na podłogę. Przewrócił się na plecy. Odpoczywał.

– Do kurwy nędzy, masz watę w uszach?!

Spojrzał na zegar. Pięć po drugiej. Nie wolno mu się spóźnić.

Przeszedł do kuchni, nie patrząc na Karła. Zapalił gaz pod garnkiem z zupą. Wrócił do pokoju, otworzył szafę i wyjął białą koszulę.

– Wychodzisz?

Nie odpowiedział.

– Kiedy wróci matka?

– Nie wiem.

– Gdzie poszła?

– Przecież wiesz. Nawet w niedzielę sprząta gównem w obcych domach.

– Szczeniaku, o matce mówisz!

– Musi zarobić na twoje żarło i wódę.

– Już nie piję.

Nie odpowiedział.

– Jedzenia ojcu żałujesz?

Poszedł do kuchni, nalał zupę do talerza, zaniósł do pokoju i postawił na stole.

– Matka nie pozwoli ci zdechnąć.

– Dosyć się w życiu naharowałem. Kiedy miałem tyle lat co ty, już poszedłem do pracy.

– Jak miałeś piętnaście lat, kiblowałeś w poprawczaku.

– Kto ci takich głupot naopowiadał? – Popróbował zupy. – Drugiego dania nie ma?

– Nie.

– Przecież matka kupiła mięso.

– Idź i sprawdź.

Karzeł szarpnął się, próbował go walnąć lewą ręką. Lewą zawsze miał jak siekiera. Nawet po pijaku wybijał zęby. Nie sięgnął. Opadł na wózek. Wyglądał jak wielki szary wór, z którego wysypał się cement.

– Kurwa, gdybym miał nogi...

– Wódce podziękuj.

– Kaleki nie szanujesz.

– Gdybyś nachlany nie kładł się pod tramwaj, toby ci nie obcięło.

– Do rodzzonego ojca mówisz!

– Trzeba było założyć gumkę.

– Chryste Panie! Jakby nie wiedział, że w każdej chwili mogę mieć trzeci zawał!

– Obiecanki cacanki.

– Dokąd leziesz?

Wszedł do łazienki. Przez zamknięte drzwi usłyszał:

– Zupa ostygła! Mam jeść zimną breję?

Odkręcił prysznic. Zdjął spodnie od dresu, koszulkę, na końcu gatki. Spojrzał w lustro. Metr siedemdziesiąt sześć. „Zobaczysz – mawia matka – za dwa, trzy lata wystrzelisz w górę i ojca przegonisz”. Matka ma na myśli te sto osiemdziesiąt osiem centymetrów, które przed szesnastu laty powiodło ją do ołtarza. A potem średnio dwa razy w tygodniu tłukło, jakby była workiem bokserskim. Aż trzy lata temu wpadło pod tramwaj. Odkąd na amen zrosło się z wózkiem, skarłało do metra czterdziestu pięciu.

Wszedł pod prysznic. Namydłał się niespiesznie. Czuł, jak mięśnie przesuwają się

pod skórą. Nie bicepsy wyhodowane na sterydach – prawdziwe mięśnie. Nie spowalniają ruchów i nie słabną po pięciu ciosach. Obracając się pod strumieniem, czekał, aż woda spłucze mydło. Na koniec skierował prysznic na podbrzusze. Dozował odczucia, na przemian zwiększając i zmniejszając ciśnienie wody. Poczł napięcie w okolicy brzucha, a zaraz potem przyjemne pulsowanie w dole.

Zakręcił prysznic. Wiedział, kiedy przestać.

Wytarł się do sucha ręcznikiem, naciągnął czyste gatki i biały podkoszulek.

Przeszedł do swojego pokoju. Włożył czarne dżinsowe spodnie, przykucnął, otworzył dolną szufladę biurka. Krew uderzyła mu do głowy. Wysypał zawartość na podłogę. Dla pewności sprawdził również górną szufladę.

Wstał i się rozejrzył. Chodnik w przedpokoju był lekko sfałdowany. W dwóch susach znalazł się w dużym pokoju.

– Oddawaj!

– O co ci chodzi? – Karzeł zmusił się do przełknięcia łyżki zimnej brei.

– Gdzie go schowałeś?

– Niby co?

– Pas.

– Po cholerę mi pas. Mnie spodnie nie opadną.

– Byłeś w moim pokoju.

– Jasne. Chciałem rozprostować nogi, bo mi zdrętwiały od długiego siedzenia.

– Zniszczyłeś – zagroził Karłowi – to zabiję!

Wyobrażenia podsuwała mu najgorsze obrazy. Pas pocięty na kawałki. Porysowany nożem. Polany żrącym kwasem. Spalony.

– Zabiję! – powtórzył.

– Odwal się!

Zaczął przetrząsać pokój. Rozpoczął od krzeseł pod stołem, potem sprawdził za wersalką. Dał nura pod stół z telewizorem. Na koniec przejrzał dolne półki i ubrania na dnie szafy. Jak kamień w wodę.

Wpół do trzeciej. Zrobiło się późno.

– Wstawaj.

– Pocięło cię, skurwysynie? Niby jak?

– Unieś dupę.

– Ojca rodzzonego bijesz?

– To za skurwysyna. Od matki wara.

Nie bez wysiłku przeciągnął wózek do wersalki. Energicznym ruchem przechylił go. Karzeł zwałił się lewym bokiem na tapczan, po czym runął na podłogę. Pas zsunął się na dywan.

Przykucnął, podniósł pas i zablokował wózek. Karzeł dźwignął się na rękach, pomagając sobie kikutami nóg, próbował usiąść na podłodze. Szło mu niesporo. Przez te trzy lata bardzo utył.

– Na stole jest nitrogliceryna w aerozolu. – Wskazał ręką. – Muszę sobie psiknąć.

– Przeżyjesz.

– Dusi mnie. Zaraz tu kojfnę...

– Matce by ulżyło.

– Na ojca rękę podniosłeś...

– Ojcem byłeś tylko raz, jak się kładłeś na matce.

– Trzeba było ci od razu łeb ukręcić!

– Wiesz, kim jesteś? Kupą łajna. Jesteś gorszy od parchatego Żyda.

– Pomóż mi...

– Zablokowałem koła, wózek ci nie odjedzie. Zawsze się chwaliłeś, że masz krzepę w rękach.

Wrócił do siebie, usiadł na łóżku i obejrzał pas. Był cały. Skórę w kilku miejscach znaczyły znajome, głębokie, poczerniałe nacięcia; w tyle puściło szycie i wyściółka mocno się strzępiła. Normalne, pas ma już prawie siedemdziesiąt lat. Po lewej stronie, tuż przy metalowej klamrze, prześwitywał okrągły otwór.

Często rozmyślał o właścicielu pasa. O kuli, która przebiła skórę i musiała wejść w ciało. Klamra pozostała nienaruszona. Dwa centymetry w prawo i pocisk zatrzymałby się na niej.

Chuchnął na metalową powierzchnię i przetarł ją bawełnianą narzutą z łóżka. Koniuszkiem palca wskazującego przesunął po wypukłościach klamry. Orzeł z rozpostartymi skrzydłami pewnie opierał szpony na okalającym swastykę wieńcu z dębowych liści, wieniec obiegały litery tworzące napis *Meine Ehre heißt Treue*.

Włożył białą koszulę, wsunął w spodnie i przeciągnął pas przez szlufki.

Stanął w przedpokoju przed lustrem.

– Do kościoła raz do roku byś poszedł! – dobiegło go z pokoju. Karzeł, stękając, próbował na rękach wywindować kaleki odwłok na wózek.

Patrząc w lustro, wyobraził sobie poprzedniego właściciela pasa, jak, ubrany w zielony mundur SS, pierwszy raz ogląda lustrzane odbicie metalowej klamry, sylabizuje

okalające swastykę słowa „Moim hasłem wierność”. Nie ślubował wierności słabemu Bogu, który pozwolił się ukrzyżować Żydom.

Otwierał już drzwi, kiedy Karzeł zawołał:

– Heniu, dałbyś mi kapkę przy niedzieli. Choć kielonek. Proszę!

W kuchni nalał pół szklanki wódki. Po namyśle dopełnił szklankę. Bez słowa postawił naczynie na stole i ruszył do przedpokoju. Słyszał, jak Karzeł, jakby mu nogi odrosły, gramoli się na wózek.

Biegiem pokonał trzy piętra czterokondygnacyjnej kamienicy. Z przyzwyczajenia omiatał wzrokiem nabazgrane na ścianach „Jebać Polonię” obok „Juden Raus” i szubienicy z gwiazdą Dawida. Dziecinada! Ściany to nie zaboli.

Szybkim krokiem przeciął Smoczą i Nowolipkami doszedł do przystanku tramwajowego. Wsiadł jako ostatni, stanął w końcu wagonu, nie zajmując żadnego z wolnych siedzeń. Do piętnastej trzydzieści pozostało dobre pół godziny. W osiem minut dotrze do ronda ONZ, tam przesiądzie się w któryś z autobusów jadących na Powiśle. Powinien zdążyć. Tramwaj wiozł go po torach równo jak po sznurku. Miał szczęście. Zanim spotkał A.H., niewiele rozumiał. Nie wiedział, w co wierzyć. Twardość mylił z siłą, lojalność brał za uległość. „Musimy być twardzi, twardzi i na wszystko zdecydowani – powtarzał A.H. – Dla ludzi miękkich nie ma wśród nas miejsca. Twardość i bezwarunkowa lojalność. Naszym hasłem wierność”.

2. Na tym polega organizacja

W AUTOBUSIE, na wysokości ulicy Kopernika, przypomniał sobie futro matki. Żaden cymes, ale futro to futro, do tego pamiątka po zmarłej babce. Zniknęło razem z ojcem w połowie grudnia. Ojciec wrócił już po dwóch dniach. W końcu nie było to futro prosto ze sklepu, poszło za grosze.

Wtedy jeszcze zdawało mu się, że wierzy w Boga. Modlił się, by Wszechmogący raz na zawsze rozwiązał ich problem; bądź co bądź, Panie Boże, to już najwyższy czas. Niecałe pół roku później ojcu po dniu picia ubzdurało się, że jest na majówce, więc wyciągnął się jak długi na torach tramwajowych i zasnął. Był tak ululany, że wytrzeźwiał dopiero w szpitalu. Jeśli tamtego wieczoru Bóg zamienił się miejscami z motorniczym dziewiątki, to spartaczył robotę. Miał uwolnić ich od kłopotu, a zamiast tego zesłał im podwójny problem – nałogowego alkoholika krótszego o nogi.

Wysiadł za Tamką przy Dobrej i ostatnie sto kilkadziesiąt metrów pokonał pieszo. Od patynowej zieleni biblioteki uniwersyteckiej odcinały się białą apartamentowce osiedla Menolly. A.H. słusznie nazywał takie enklawy „zakazanym miastem”. „Heinrich... – Mówiąc to, A.H. kładł mu rękę na ramieniu, a jego czysto aryjskie, błękitne oczy przewiercały rozmówcę na wylot. – Uwierz mi, Heinrich, choćbyś ukończył to swoje liceum z wyróżnieniem, takich jak ty uniwersytet wykopie już po pierwszym semestrze. Bo upominamy się o prawdę. O miejsce dla siebie w kraju, który już tylko z nazwy jest Polską. Dziewięćdziesiąt procent tytułów na półkach tej biblioteki to trucizna, która zatruwa naszą gospodarkę, historię i literaturę. Ich autorzy to bękarty chowające się za dobrymi, polskimi nazwiskami. Trzęsą giełdą, dyktują ceny i na pniu wykupują apartamentowce takie jak te. Rozkradają Polskę kawałek po kawałku. Dom po domu, ulica po ulicy. Aż zamkną nas w getcie”.

Wszedł na podwórze skupu makulatury i złomu, minął blaszaną budę. Osłonięty od strony ulicy, upewnił się, że nikt za nim nie idzie. Przez dziurę w ogrodzeniu dostał się na teren nieczynnej elektrowni. Dozorca w stróżówce rozpoznał go i pokazał uchylone wejście do budynku, drugą ręką niemrawo zasłonił opróżnioną do połowy butelkę. Kundel naprężył łańcuch, ale nie warknął; odprowadzał przybysza wzrokiem.

Heinrich przymknął drzwi i stał przez chwilę. Cisza i stęchlizna przywodziły na myśl zapuszczony cmentarz. Ostrożnie, by nie wzbijać kurzu, obszedł hol i tylnymi schodami wśliznął się do piwnicy. Od progu szybko policzył: Kurt, Walter, Max, Karl, Heinz, Franz, Ludwig, Rudolf, Erich. Do kompletu brakowało dwóch osób. Krzesło dla A.H. było jeszcze puste; stało na podwyższeniu, na tle rozpostartego na ceglanej ścianie czarnego płótna, na którym bieleły się wypisane starannie gotykiem słowa Unsere Ehre heißt Treue. „Lojalność i wierność to nasza główna broń – tłumaczył A.H. – Pojedynczo każdy polegnie z kretelem, dlatego wilki łączą się w stada”.

Nie zauważyli jego nadejścia. Skupieni wokół Rudolfa słuchali, jak ten coś opowiada. Max spostrzegł go pierwszy:

- Heil! Chodź, Heinrich, Rudolf ma niezłą historię.
- ...czarną, niezmywalną farbą – ciągnął Rudolf, z wypiekami na tłustych policzkach.
- W domu wyciąłem szablon, więc potem tylko pryskprysk aerozolem i zaraz smyk do następnego. Na jeden grób góra pięć sekund. Obskoczyłem ze czterdzieści, potem farba mi się skończyła. Żydki będą do nocy ryły pazurami, zanim te swastyki zeskrabia. Następnym razem wezmę...

Przerwał. Odwrócili się jak na rozkaz w stronę drzwi. A.H. musiał stać w progu już

od jakiegoś czasu, nie słyszeli, kiedy wchodził. Podeszedł do Rudolfa i otwartą dłonią trzasnął go w policzek, aż temu głowa odskoczyła.

– Dureń! Mówiłem, żadnej błazenady. Sześćdziesiąt żabek!

Wokół Rudolfa zrobiło się pusto. Krew napłynęła mu do twarzy. Odstawał od reszty, nie był „po aryjsku szczupły i zwinny niczym chart”. W Hitlerjugend na takich jak on patrzyli krzywo, najpewniej w ogóle nie zostałby przyjęty. A.H. tolerował go z tego samego powodu, dla którego Eichmann tolerował niektórych bogatych Żydów. Rudolf był mu potrzebny.

Rudolf przykucnął i zaczął przesuwać się w podskokach. Głośno licząc, dotarł do ściany, zawrócił i sapiąc jak parowóz, niezdarnie podążył w stronę pozostałych. Przypominał ropuchę, której ktoś wsadził w tyłek słomkę i napompował powietrzem. Nikt się nie roześmiał. Było jasne, że Rudolf do usranej śmierci pozostanie Radkiem K., jego awans na „Rudolfa” był bez pokrycia, A.H. nigdy nie wprowadzi go wyżej, tam gdzie zaczyna się prawdziwa organizacja i prawdziwa praca.

„Czeka nas prawdziwa praca – zapowiedział już pierwszego dnia A.H. – Nie infantylne zabawy. Malowanie swa styk i szubienic to dziecinada. Kto tego nie rozumie, musi odejść”.

– Pięćdziesiąt cztery... – wysapał Rudolf. Klapnął na tyłek.

– Nie skończyłeś.

– Już nie mogę...

– Jeszcze sześć powtórzeń.

Grubas dźwignął się; kuczał, wsparty na rękach. Biały luźny Tshirt pociemniał od potu. Rudolf zmusił się do wysiłku. Bardziej powłóczył nogami, niż skakał. Ale przynajmniej próbował.

– Sześćdziesiąt – podsumował A.H. Poklepał Rudolfa po ramieniu.

Zajął swoje krzesło i z podwyższenia rozejrzał się po sali. Do kompletu brakowało Horsta i Fritza. O Horsta nie zagadnął, zapytał o Fritza.

– Z nim już szlus – poinformował Max. – Wyjechał ze starymi do Anglii.

– Na stałe?

– Na to wygląda.

– Znał kogoś z nazwiska?

– Nie. I pamięta o przysiędze.

– Dobrze. Rudolf, przyniosłeś?

Rudolf wyjął z torby laptopa. Podeszli z krzesłami i w dwóch rzędach usiedli przed

ekranem. A.H. podłączył przyniesionego pendrive'a, wybrał pierwszy folder i na ekranie zaczęły się przesuwać obrazy.

– Jak wygląda Żyd? – zagał A.H.

Sam sobie odpowiedział:

– Tak jak ten tutaj: chałat, pejsy, na głowie mycka, nos długi na pół twarzy, kaprawe oczy.

Zaśmiali się. A.H. nie czekał, aż ucichną. Podniósł głos:

– Bzdura! Żydzi sami powtarzają te bzdety, chcą, żeby tak właśnie myśleć, bo łatwiej im się będzie ukryć. Dziewięćdziesiąt procent Żydów ma czysto aryjskie rysy. Ci są najgorsi. Potrafią się wtopić. Są nie do poznania. Zmieniają nazwisko, wiarę, fałszują życiorys. Chcą nas rozbić od środka. Dobrze się na tym znają, postępują tak od pięciu tysięcy lat. Zostają biskupami, robią karierę w polityce, dochodzą do najważniejszych urzędów w państwie, zakładają gazety, stacje telewizyjne. Mają w rękach fabryki, banki, uczelnie i szpitale. Wykupują kluby piłkarskie. Jeżdżą na pielgrzymki do Watykanu. Zakładają fundacje, stowarzyszenia, zostają pisarzami, realizują badania naukowe o milionowych budżetach, wydają pisma pornograficzne i prowadzą kąciki porad w tygodnikach dla nastolatków. Recenzjami w wysokonakładowych dziennikach niszczą niepokornych artystów, a promują miernoty, które dają się prowadzić na smyczy. Takich Żydów musimy się bać.

Kliknął na drugi folder i jedna po drugiej otwierały się przed nimi listy z nazwiskami. „Dobre” nazwiska, pod którymi ukryło się polskie żydostwo. Żydzi w parlamencie, w Polskiej Akademii Nauk, w rządzie, w Narodowym Banku Polskim. Żydzi w episkopacie. W telewizji publicznej i stacjach Waltera. Byli w pałacu prezydenckim, w stowarzyszeniach twórczych i w Najwyższej Izbie Kontroli. Na wydziale inżynierii, gdzie A.H. studiował od trzech lat, stanowili jedną czwartą kadry naukowej.

– Co możemy zrobić? – odezwał się któryś. Chyba Karl. Uprzedził Heinricha. Po prawdzie każdy z nich miał to pytanie na końcu języka.

– Nic – odparł A.H.

Zaszemrali.

– Na razie nic. – A.H. się uśmiechnął. – Mieć oczy otwarte, to zadanie na dzisiaj.

Zaraz potem dodał: „Musimy być podobni do Waltera Hessa” i na te słowa każdy nadstawił uszu. „Walter Hess – przypomniał A.H. – nie zawahał się wyciąć ropiejącego wrzodu. Z miłości do ojczyzny, rasy i Führera wydał własnego ojca. Stał się wzorem dla milionów niemieckich chłopców w Hitlerjugend. To może być wasz sąsiad, nauczyciel,

może nawet krewny – mówił A.H. – Nie wolno wam się zawahać”.

Powiedział także:

„Nikt nie ma wpływu na to, gdzie i pod jaką gwiazdą się urodzi. Możesz przyjść na świat w kolonii trędowatych. Albo w rodzinie żydowskiej. Ale jeśli miałeś szczęście urodzić się po właściwej stronie, stoisz przed obowiązkiem dokonania wyboru. Czy chcesz być śmieciem, czy człowiekiem. Szczurem czy wilkiem. Nie ma innej drogi. Od tego obowiązku nic nie zwalnia”.

Powiedział także:

„Żadnej litości dla wroga. Litość jest oznaką słabości. Słabi przegrywają. Dla słabych nie ma miejsca w naszych szeregach. Wystarczy jedno słabe ogniwo i cały łańcuch pęka. Twardość i siła, to nasza dewiza. Żydzi kryją się w cieniu, zakładają przeróżne maski, byle na swoją stronę przyciągnąć innych. Kiedy urosną w siłę, to nam zaczną dyktować warunki”.

Słuchali go, potakując.

„Nie zatrzymamy się. Kiedy idziesz z przewodnikiem, zmierzasz prosto do celu – myślał Heinrich. – Nie zaprzątasz sobie głowy zbędnymi pytaniami. Tych kilka najważniejszych dawno doczekało się odpowiedzi. Świat jest prosty, kiedy zobaczysz wszystko we właściwym świetle. Wiesz, że cokolwiek robisz, ma sens. Jesteś częścią planu. Nie musisz go do końca rozumieć. Każdy niech zajmuje się tym, co do niego należy. Jedni wydają rozkazy, drudzy je wykonują. Na tym polega organizacja”.

Ni stąd, ni zowąd A.H. zakomunikował:

– To nasze ostatnie spotkanie.

Popatrzyli po sobie. Nikt się nie odezwał. Kiedy na głowę wali się cały świat, nie od razu można zebrać myśli.

– Ostatnie w tym miejscu – dopowiedział A.H. Najwyraźniej chciał ich sprawdzić. – Na teren fabryki wchodzi od przyszłego tygodnia inwestor.

– Cholerni Irlandczycy! – wypalił Kurt.

– Żydkii – wyjąkał Erich.

– Gdzie pójdziemy? – spytał Heinrich.

– Mam coś na oku. – A.H. wstał. – Komu się spieszy, może już iść.

Nikt się nie ruszył.

A.H. stanął w lekkim rozkroku, twarzą do betonowego wspornika, i wewnętrzną częścią dłoni uderzył w beton, aż podniósł się kurz.

– Nic trudnego. Trzeba tylko dobrze wymierzyć i uderzyć z odpowiednią siłą. Słup

nie odpowie ciosem. Niczym cię nie zaskoczy. Z żywym przeciwnikiem jest inaczej. Przystępując do walki, musisz być psychicznie przygotowany na konieczność unieszkodliwienia wroga, inaczej on cię wyprzedzi. O zwycięstwie decydują determinacja i szybkość, siła nie odgrywa pierwszoplanowej roli. Nie potrzeba wielkiej siły, by rozerwać gałkę oczną czy spowodować pęknięcie błony bębenkowej. Trzeba zdecydowania. Musisz odpowiedzieć sobie na pytanie: chcę żyć czy wolę dać się zabić? Cała reszta zależy od tej odpowiedzi.

Spojrzał na Karla, ale Erich był pierwszy. Dołączył do A.H. i powolnym ruchem ściągnął Tshirta. Choć przerastał ich wszystkich o głowę, nie wyróżniał się muskulaturą, nie wyglądał na kogoś, kto potrafi zrobić z mięśni właściwy użytek. Pozory myliły. Erich jąkał się od pierwszego dnia szkoły i traf chciał, że właśnie w szkole znalazł na jąkanie lekarstwo: wystarczyło wyładować agresję, by mijało, jak ręką odjął. Do czasu, aż stres znowu dawał o sobie znać.

– W porządku. Kto do pary? – A.H. czekał, sam wołał nie decydować.

Heinrich wyszedł przed szereg. A.H. skinął głową. Powiedział tylko:

– Szkoda białej koszuli. Zdejmij.

– Na ulicy nie będzie na to czasu.

Ustawili krzesła pod ścianą, żeby zrobić więcej miejsca.

– Bez urazy. – Heinrich wyciągnął rękę. Erich odwzajemnił uścisk. Odsunęli się trzy kroki od siebie.

– Co jest? – A.H. się zaśmiał. – Będziecie tańczyć menueta?

– Tańcowały dwa pedały, jeden duży, drugi mały! – któryś krzyknął. Chyba Franz.

– Jąkałajebała! – zawtórował mu Rudolf.

Heinrich rozluźnił mięśnie. Podjudzanie było częścią szkolenia. Miało wyzwolić agresję i podnieść poziom adrenaliny, uodparniając na ból. Wiedział, że musi się zmieścić w dziesięciu sekundach. Erich miał większy zasięg ramion. Jeżeli da mu się wciągnąć w wymianę ciosów, przegra.

– Icek, nie potknij się o własne pejsy! – krzyknął Max.

Rudolf zapiał:

– Ruszać się, leniwe Żydy!

– Żydowska banda! – kilku skandowało chórem.

– Schnell, schneller, Juden!

– Erich, ty obrzezany złamasie! – głos A.H. przebił się ponad hałas.

Erich pochylił głowę i zrobił szybki wyrok prawą nogą, zamarkował prawy prosty, po

czym posłał lewego sierpa, wkładając w cios całą energię. Heinrich odskoczył w lewo, niskim kopnięciem pod kolano pozbawił go równowagi. Zanim Erich stanął pewnie na nogach, Heinrich wbił mu lewy hak w okolice wątroby. Erich zgiął się wpół. Heinrich płynnym ruchem pociągnął mu oburącz głowę do dołu i jednocześnie zamierzył się kolanem. Chrupnęło. Erich zwałił się na plecy. Max z Franzem pociągnęli go pod ścianę i posadzili na krześle.

– Siedem sekund – zakomunikował A.H.

Heinrich nachylił się nad Erichem.

– W porządku?

– Takiego Żyda jak ja niełatwo zabić. – Erich nawet się nie zająknął. Krew z rozciętej wargi skapywała mu z brody na klatkę piersiową.

Wszyscy się roześmiali. A.H. wydobyl ze ściennego schowka podręczną apteczkę i opatrzył Erichowi ranę. Posprząтали z grubsza piwnicę, na koniec starannie zwinęli płótno ze swastyką, Rudolf schował je do torby z laptopem. Niechętnie zaczęli się żegnać.

– Poczekaj – A.H. poprosił Heinricha na osobności. – Musimy o czymś pogadać.

*

Wychodzili pojedynczo, w różnych odstępach czasu. Kiedy zostało ich dwóch, A.H. zniknął na chwilę w stróżów ce. Wrócił i przez dziurę w ogrodzeniu przeszli na podwórze punktu skupu makulatury i złomu. Od strony Mariensztatu wiatr przywiał sześć uderzeń zegara. Jeszcze kilka kroków i znaleźli się na Dobrej.

– Chodzi o Horsta – odezwał się A.H. – Będę potrzebował twojej pomocy.

3. Długa lista wrogów

HORST, najstarszy z nich, wiekiem ustępował tylko A.H. Był jego prawą ręką. Przynajmniej za takiego uchodził. Sam A.H. dawał temu ostentacyjnie wyraz, nierzadko pozwalając Horstowi prowadzić w swoim zastępstwie szkolenia. Horst studiował nauki polityczne i partyjna góra ponoć wiązała z tym faktem spore nadzieje. „Ma przed sobą przyszłość” – mówił A.H. Organizacja potrzebowała młodych, wykształconych działaczy, nazwisk niewzbudzających niczyich podejrzeń, świeżej krwi, która z czasem zasili polityczny krwiobieg w państwie, wejdzie w oficjalne struktury. „Nasza krew – mówił A.H. – jest gęstsza, prędzej czy później wyprze rozwodnioną krew polskiego żydostwa i

zżydziałych Polaków. Trzeba cierpliwości, ale Historia jest po naszej stronie. Czysta polska krew wypłynie na wierzch”.

– Wracając do Horsta – podjął A.H., kiedy skręcił w prawo, pociągając za sobą Heinricha – od kilku tygodni martwi mnie jego zachowanie.

Heinrich milczał. Przywykł do słuchania rozkazów.

– Unika kontaktu – ciągnął A.H. – Trzy razy z rzędu nie pokazał się na szkoleniu. Nie odpowiada na telefony. Co byś na moim miejscu pomyślał?

Heinrich zastanawiał się nad odpowiedzią. Odparł:

– Że zdezerterował.

A.H. pokiwał głową. Nie zatrzymując się, poklepał Heinricha po ramieniu. Uszli kawałek, milcząc. Wreszcie A.H. po wiedział:

– Właśnie dlatego wybrałem ciebie.

*

Horst wynajmował mieszkanie w jednym z czteropiętrowych bloków przy Leszczyńskiej. W linii prostej od biblioteki uniwersyteckiej nie więcej jak dwieście metrów. A.H. z jakiegoś powodu wybrał okrężną drogę. Zostawili za sobą gmach biblioteki i posuwali się niespiesznie w kierunku Mariensztatu, skąd dochodziły odgłosy niedzielного koncertu. Mijali ich pojedynczy przechodnie i zakochane pary.

– Ahmadineżad neguje, że w Auschwitz mordowano Żydów. – A.H. bez żadnych wstępów zmienił temat. Mówił wolno, nie gestykulując. – Dupek twierdzi, że to „fizycznie niemożliwe”. „W Auschwitz nawet nie było komór gazowych”, wymądrza się David Irving, ten brytyjski historyk od siedmiu boleści. Widzisz, Heinrich, oni wcale nie są lepsi od Żydów, którzy na prawo i lewo trąbią o Holokaucie, przy okazji robiąc na tym kokosowe interesy. Ahmadineżad i Irving są nawet gorsi, bo podają w wątpliwość intencje Niemców. Dowodzą, że Holokaust wcale się nie wydarzył. To tak, jakby prawdziwemu Niemcowi rzucić w twarz, że sprzeniewierzył się własnej ideologii, nie wykonał zleconego mu przez Historię zadania. Z takimi jak oni też musimy walczyć. Lista wrogów jest długa, Heinrich. Dlatego potrzebujemy ludzi gotowych na wszystko. I sprawdzonych przyjaciół.

Zatrzymali się przy pasach, przepuścili samochody i przeszli na drugą stronę Dobrej.

– Wbrew temu, co mówią inni, by zamącić w głowach, świat to nie są skomplikowane puzzle – podjął A.H., skręcając w lewo. – Ludzie dzielą się na dwie kategorie: przyjaciół i wrogów. Proste?

– Przyjaciół i wrogów – powtórzył Heinrich, bo A.H. zdawał się czekać na

potwierdzenie.

– Czasem tylko trudno jednych odróżnić od drugich. Na przykład tacy Ahmadineżad i Irving. Albo Horst.

Heinrich przypomniał sobie szkolenia z Horstem. Fragmenty Mein Kampf, a po nich żarliwe dyskusje o powinnościach jednostki wobec ojczyzny. Rozmowy o dumie płynącej ze świadomości, że należysz do grona wybranych.

– Przed dwoma miesiącami w Krakowie miał miejsce podobny przypadek. – A.H. ściszył głos, jakby dopuszczał Heinricha do tajemnicy. – Gość z górnej półki, pracownik naukowy uniwersytetu. Lada moment miał awansować do miejscowej centrali. I nagle zniknął.

– Tak po prostu?

– Przestał przychodzić. Urwał wszelkie kontakty. Ktoś się co do niego bardzo pomylił. Trzeba to było naprawić.

– Jak?

– Zobaczysz.

Bez zapowiedzi z czystego nieba spadł majowy deszcz. Nie próbowali szukać schronienia. A.H. odchylił do tyłu głowę i chwycił wodę otwartymi ustami. Przestało padać równie nagle, jak zaczęło.

– Deszcz jest potrzebny – rzucił A.H. – Zmywa brudy.

Przerwał mu dźwięk esemesa. Nie zatrzymując się, wyjął z kieszeni telefon i przeczytał wiadomość.

– Idziemy – zarządził. Przyspieszył kroku.

Pokonali ostatnie kilkanaście metrów i skręcili w Leszczyńską. Heinrich czuł dreszczyk emocji. Nie nazwałby te go zapowiedzią przygody, przeważała raczej satysfakcja, że okaże się potrzebny. Był tylko trybikiem, ale dzisiaj wykaże swoją przydatność. Bez trybików takich jak Max, Karl, Erich, Heinrich, Rudolf czy Franz nawet najdoskonalszej maszynie jest pisany krótki żywot. Gorzej, gdy przez jeden wypaczony element cały mechanizm ulegnie zatarciu.

Uzgodnili podział ról. Weszli do klatki schodowej, Heinrich stanął za załomem korytarza, poza zasięgiem wizjera, A.H. wcisnął guzik dzwonka mieszkania na parterze. Odczekał i ponownie zadzwonił. Po trzeciej próbie zbiegł po schodach na ulicę.

Heinrich spodziewał się, co nastąpi. Pewność co do sekwencji wydarzeń działała na niego uspokajająco. Dla zabicia czasu liczył. A.H. skręci w Radną, w piętnaście sekund dotrze do okna po drugiej stronie bloku, betonowymi schodkami podejdzie do

balkonowych drzwi narożnego mieszkania na parterze i zapuka – to zajmie mu kolejne dziesięć sekund. Naprzeciwko bloku stała szkoła. W niedzielę budynek świecił pustkami; jeżeli rzadko uczęszczaną Radną nikt nie będzie przechodził, A.H., uzbrojony w diament do cięcia szkła, w piętnaście sekund upora się z szybą, blefując, że chce się dostać do mieszkania przez drzwi balkonowe. Teraz Horst będzie miał niewiele czasu do namysłu – siedem, góra dziesięć sekund. Wszystko powinno się zamknąć w minucie. Spojrzał na zegarek: jeszcze pięć sekund.

Zachrobotał zamek. Heinrich przywarł do ściany za załomem. Napiął mięśnie, gdy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi. Regulując oddech, doliczył do trzech, wypadł z kryjówki i skoczył ku drzwiom. Horst w porę go dostrzegł, ale popełnił błąd. Zamiast szurnać schodami w dół i uciekać na ulicę, postanowił wycofać się do mieszkania. Heinrich runął na niego ciężarem ciała i zwałił go na podłogę. Usiadł na nim okrakiem i zasypał go gradem ciosów, mierząc w okolice nosa. Zerknął przez prawe ramię: A.H. już stał w progu. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i dwukrotnie przekręcił zamek. Potem przykucnął i nachylił się nad Horstem.

– Przybywamy z harcerskim pozdrowieniem, druhu Unterscharführer.

*

Heinrich wyjrzał z kuchni do pokoju. Horst siedział unieruchomiony w skórzanym fotelu, tak jak go przywiązali. Nie próbował już krzyknąć. Lewą stroną twarzy miał spuchniętą, jakby ktoś wepchnął mu w usta mandarynkę.

Wyczekując w ciasnej kuchni, Heinrich słyszał, jak A.H. przetrząsa pokój. Od czasu do czasu zagadywał o coś Horsta, ale zadawane półgłosem pytania i niewyraźne odpowiedzi nie docierały do Heinricha.

Heinrich odwinął chusteczkę: z rany na dłoni wciąż sączyła się krew. Odkręcił zimną wodę i podstawił rękę pod strumień. Różowa woda spływała na dno zlewozmywaka, barwiąc białą emalię. Zerknął przez okno na podwórze. Na placu zabaw dokazywała gromadka dzieci. Zniknęły mu z oczu za zjeżdżalnią.

– Heinrich! – A.H. pokazał się w kuchni.

Horst jakby stracił zainteresowanie tym, co się wokół niego działo. Nie zaprotestował, kiedy A.H. rozerwał mu lewy rękaw koszuli. A.H. wziął ze stolika skalpel.

– Zatkaj mu czymś gębę.

Heinrich się rozejrzał. Pokój wyglądał jak po przejściu tornada. Z kłębowiska ubrań na podłodze wybrał podkoszulek, wcisnął go Horstowi w usta jak koniowi wędzidło i

zaciągnął z tyłu głowy. Horst szarpnął się, gdy A.H. jednym ruchem naciął mu skórę w górze lewego ramienia.

Heinrich trzymał z całej siły. Horst napręzał się i szarpał, kiedy A.H. wycinał skalpelem fragment skóry z wytatuowanym *Unsere Ehre heißt Treue*. A.H. skończył i poszedł do łazienki. Rozległ się hałas spuszczonej wody.

Heinrich poluzował knebel. Horst trząsał się jak w febrze.

– Parszywy złodziej! – wycharczał. – Zalegałem tylko z dwoma kawałkami...

– Koszty własne. – A.H. zdążył wrócić. – Doliczyłem koszty własne.

Horst nagle uderzył w płaczliwy ton:

– Wiesiu, zostaw choć jedną działkę. Wiesiek, proszę...

A.H. zamachnął się i uderzył, aż Horstowi głowa odskoczyła.

– Zbieramy się.

Nie zamknęli drzwi mieszkania na klucz. Po deszczu nie było już śladu. Heinrich szedł jak automat. Skaleczona dłoń wciąż go piekła.

– Bredził – A.H. rzucił w powietrze.

Heinrich przytaknął. Zorientował się, że zmierzają w kierunku Wisły.

– Każdemu się zdarza popełnić błąd. – A.H. wciąż patrzył przed siebie. – Horst to moja największa życiowa porażka. Całe szczęście, że trzymałem go z dala od większości spraw. Nie znał nawet waszych prawdziwych imion.

Szli jakiś czas w milczeniu. A.H. przerwał je pierwszy:

– Ale co do ciebie się nie pomyliłem. Myślisz, że jesteś już gotowy? Zastanów się.

Wcale nie ponaglam.

Heinrich wiedział, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Od dawna jej wyczekiwał. „Wiele bym dał – myślał jeszcze do wczoraj – by A.H. wybrał właśnie mnie”.

– Jasne – przytaknął energicznie. – *Meine Ehre heißt Treue*.

– *Unsere Ehre heißt Treue* – poprawił go A.H. – Zasłużyłeś na awans.

4. Czystość, od której zależy przyszłość świata

POTEM Heinrich doszedł do przekonania, że przyczyną tego, co się stało, było pytanie o ojca. „To ono – tłumaczył sobie – uruchomiło łańcuch zdarzeń”.

– Co w domu? – spytał A.H. – Z ojcem bez zmian?

Wisłostradą w obu kierunkach śmigały samochody. Zapaliło się zielone światło i

przeszli na drugą stronę.

– Martwię się o matkę – odparł Heinrich.

Jeszcze kilka lat temu mężczyźni oglądali się za nią na ulicy. Miała figurę nastolatki, poruszała się z naturalną gracją i nawet w najgorszych czasach ubierała się gustownie: skromną bluzkę dobraną do prostej garsonki nosiła z wdziękiem modelki. Ale twarzy nie ukryjesz. Zmarszczki i wory pod oczami postarzały ją o piętnaście lat. Od wypadku ojca nie zaznała wytchnienia. Przedtem zdarzało się, że znikał z domu na całe dni. Po powrocie urządzał im piekło, ale krótkie okresy spokoju poniekąd rekompensowały to, co i tak wydawało się nieuchronne. Teraz Karzeł wymagał jej obecności przez okrągłą dobę. Musiała go opierać, karmić, kąpać i pielęgnować. Musiała zarobić na jego zabiegi rehabilitacyjne, papierosy i codzienną porcję wódki, znosić napady wściekłości, kiedy wypił za dużo albo dla odmiany za mało.

Musiała „spuszczać mu powietrze z dętki”. Eufemizm, który w przyływie dobrego humoru ukuł w pierwszych latach małżeństwa. Wyznawał filozofię: w trosce o zdrowie fizyczne i komfort psychiczny mężczyzna powinien rozładowywać napięcie seksualne, nie wolno dopuścić, by podniecenie się kumulowało, bo przejdzie w przewlekły stres. „Trzeba spuścić powietrze z dętki” – bełkotał. Nie dawał jej wyboru. Odkąd ucięło mu kulasy, było jeszcze gorzej. Zachowywał się niczym pies przy budzie, który nie może już uganiać się za sukami.

Gdyby ktoś Heinricha zapytał, z czym kojarzy mu się ojciec, nie namyślałby się ani sekundy: smród. Odór wódki, knajpianych zakąsek, smród niemytego ciała, papierosów, smród obcych mieszkań. Najgorsze, że człowiek może się do tego przyzwyczaić. Nie akceptuje takiego stanu rzeczy, ale z czasem przywyka. Heinrich bał się, że tak zdarzy się również w jego przypadku. Podobnie jak matka nie zdoła zabić w sobie natury niewolnika. Przez całe życie smród będzie się za nim włócił.

– Zrobił z matki niewolnicę. Rozumiesz, co mam na myśli? Powinna była rzucić go w diabły. Kiedyś mogłaby to zrobić. Teraz już za późno. Urabia sobie ręce po łokcie, żeby starczyło na jego wódkę.

– Zachła się na śmierć, to będzie spokój.

– Przez wódę załatwił sobie marskość wątroby, nery ledwo pracują, serce jak u siedemdziesięciolatka. Od wypadku przeszedł dwa zawały. I nic. Prędej matkę dopadnie jakieś choróbko.

– Próbowalesz coś z tym zrobić?

– Niby co?

Zbiegli schodami w dół wiślanej skarpy i puścili się w lewo nieregularną ścieżką równoległą do trasy rowerowej. Dochodziło wpół do ósmej. Nieliczni o tej porze wędkarze, zapatrzeni w nieruchome sflawiki, tkwili na betonowych stopniach wchodzących w mętnawą wodę.

– Zastanawiałeś się kiedyś, co dzieje się z tym całym gównem? Szajsem, który łąduje w rzece?

– Wisła to breja.

– Codziennie z setek tysięcy kibli spływają tu tony gówna. Dzień po dniu.

Heinrich wzruszył ramionami.

– Breja – powtórzył.

– Mówię o czystości. Nikt nie próbuje tego słowa wypowiedzieć na głos. Ci, którzy by chcieli, boją się z tym ujawnić. Potrzeba przykładu. Raz na tysiąc lat pojawia się prawdziwy wizjoner. Hitler miał wizję. Czystość, to od niej zależy przyszłość świata. Hitler to rozumiał. Z czasem w jego wizję uwierzyły miliony. Każdy trzeźwo myślący człowiek wie, że choroba jest zaraźliwa. Chorych trzeba oddzielić od zdrowych. Hitler podjął się tego wielkiego planu. Kretyni, karły, Żydzi, degeneraci: wyeliminować ich, to naprawić błąd natury. Usunąć załążek choroby, zanim się rozwinie i rozprzestrzeni. Chciał uratować świat przed nieuchronnym kataklizmem. Wybiegał myślą dziesiątki lat naprzód. Nazywał rzeczy po imieniu, gdy inni nawet jeszcze nie zdawali sobie sprawy z nadciągającego zagrożenia. „To jest szajs – ostrzegał – jeszcze dziesięć, dwadzieścia, góra trzydzieści lat i będzie za późno. Szajs nas zaleje”.

– Jeszcze jesteśmy my – podchwycił Heinrich.

Usiedli na ławce. Tereny spacerowe nad Wisłą pustoszały. Mostem Śląsko-Dąbrowskim przesuwały się oświetlone punkciki pojazdów. Z daleka zdawały się do siebie podobne.

– Tak – zgodził się A.H. – jeszcze zostaliśmy my. Tylko musimy sami siebie zapytać, czy wystarczy nam odwagi.

*

Kiedy ściemniło się tak, że Heinrich nie widział dobrze tarczy zegarka, A.H. zapowiedział:

– Powoli ruszamy.

Zeszli ze ścieżki. Świeża trawa ugiwała się pod stopami. Stawiali ostrożnie nogi, żeby nie poślizgnąć się na drobnych kamieniach. A.H. potknął się o gałąź, zaklął. Dalej szedł sam. Heinrich stał, wyczekując. Czarna woda niemal bezgłośnie płynęła

kilkanaście metrów dalej, ciszę przerywały tylko krzyk rybitwy albo turkot tramwaju na moście. Starał się nie zaprzętać głowy myślami. Niepotrzebnym roztrząsaniem detali, od których, skoro raz się pojawią, nie sposób się uwolnić. A.H. wiedział, co robi, ci zaś, którzy jemu wydawali rozkazy, znali cel i obierali najwłaściwszą drogę. Na tym polegała przewaga Heinricha, Rudolfa, Ericha i A.H. – w przeciwieństwie do innych, którzy poruszali się po omacku, szli przez życie wytyczoną ścieżką, wolni od wątpliwości, posłuszni prostym prawdom i zasadom, które dostatecznie objaśniają świat.

A.H. się zatrzymał, przywołał go ruchem ręki. Heinrich ruszył w jego kierunku. Razem przedarli się przez krzaki pod betonowy nasyp po lewej stronie. Górą śmigały samochody. A.H. pstryknął zapalniczkę.

– Jeden syf! – Splunął.

Nisko nad ziemią wyrastała nieforemna piramida kartonowych pudeł, od góry pokrytych gazetami i ceratą, końce ceraty przytrzymały kamienie. A.H. przysunął płomień zapalniczki do górnego wylotu budy.

– Za wilgotne – syknął. – Nie chwyci.

Zgasił zapalniczkę i sięgnął do kieszeni kurtki. Zaszleścił papier. Podpalił zmiętą kartkę, poczekał, aż zajmie się ogniem, i wrzucił do środka. Spod ceraty urwał kawał gazety, zgniótł, podpalił i cisnął w ślad za kartką. Odsunął się dwa kroki w lewo, ruchem ręki kazał Heinrichowi zająć miejsce po przeciwnej stronie wylotu.

Buda się zatrzęsała. Usłyszeli chrapliwy kaszel, zaraz potem gwałtowne plaśnięcia, jakby coś płaskiego raz po raz uderzało o ziemię. Ze środka wypadły tłące się strzępy papieru.

A.H. postąpił dwa kroki w tył. Heinrich po swojej stronie zrobił to samo. Pokazały się ręce, potem głowa. Heinrich obserwował, jak ciemny kształt sunie nieporadnie na czworakach, badając teren. Zawiał wiatr i w nozdrza uderzył go smród.

A.H. skoczył do przodu. Nogą celował w głowę. Starczy męski głos wymamrotał coś jękliwie.

A.H. kopał w korpus, wkładając w to całą siłę. Górą nadjeżdżał radiowóz na sygnale. A.H. przerwał i nasłuchiwał. Radiowóz, nie zwalniając, pomknął dalej, zawodzenie syreny ucichło. Stary, leżąc na brzuchu, spróbował podnieść się na rękach. Nie dał rady.

Wspólnie zajęli się budą. Trzymała się nadspodziewanie mocno. A.H. dwoma szarpnięciami ściągnął ceratową osłonę, jeden z kamieni owinął w ceratę i machając nim jak cepem, przypuścił atak na kartony. Zgrzytnęło, kiedy kamień natrafił na metal.

Stary zmyślnie wzmocnił budę od środka odpowiednio dobranym złomem.

Zaafelowani budą, nie spostrzegli w porę, co się dzieje cztery metry dalej. Stary zdołał się dźwignąć i, podobny do kota z przetraconym grzbietem, odpełzał na czworakach.

– Żywotny sukinsyn! – zdziwił się A.H.

Jak na rozkaz obaj puścili się biegiem. Heinrich nie patrzył pod nogi, skupiony na celu. W pięciu susach dopadł starego, kopnięciem przewrócił go na plecy. Dziad próbował chwycić go za stopę. A.H. z rozbiegu wskoczył mu obunóż na klatkę piersiową. Chrupnęło. Stary się wyprężył, oddychał chrapliwie. Heinrich w ciemności widział tylko szarą plamę twarzy. A.H. pochylił się nad ciałem.

– Jeszcze zipie – powiedział.

Kolanami docisnął korpus do ziemi, unieruchomił ręce. Heinrich przyklęknął z boku, nachylił się nad starym, zacisnął mu dłonie na gardle. Poczul na twarzy odór alkoholu, potu i stęchłego moczu. Wstrzymał oddech, ale smród tkwił już głęboko w przełyku. Czuł pod palcami pulsowanie chudej grdyki. Zwiększył ucisk. Pulsowanie nie ustawało.

Nagle ogarnęła go słabość. „Wstać i odejść” – pomyślał. Chciał odpocząć, ale sukinsyn nie pozwalał, jakby się na niego uwziął. Zionął znajomym smrodem i śmiał się Heinrichowi w twarz. Dawno już przestał walczyć o powietrze; poddał się, mimo to nie przestawał się śmiać.

– Wystarczy. – Heinrich poczuł rękę A.H. na swoim ramieniu. A.H. pomógł mu wstać. – Trzeba sprzątnąć tę kupę łajna.

Chwycili starego za nogi i zaciągnęli nad kamienny brzeg. Dźwignęli go z dwóch stron, rozkołysali i na „trzy” cisnęli do wody. Zanurzył się z pluskiem. Czekali, dopóki nie wypłynął. Ciemna kłoda na niemal nieruchomej czarnej tafli wody. Raptem okręciło nim lekko. Posłuszny powolnemu nurtowi, zaczął się oddalać.

– Śmierdział jak Żyd – powiedział Heinrich. Trup zlał się już z czarną plamą wody, zniknął.

– Dałeś radę! Naprawdę dałeś radę. – A.H. poklepał go po ramieniu.

Przyświecając sobie zapalniczką, dotarli do najbliższych schodów i dostali się na opustoszały chodnik. Oczekawszy, aż ruch samochodowy zelżał, przebiegli na drugą stronę Wisłostrady. Raptem języki im się rozwiązały. A.H. dużo rozprawiał o ćwiczeniu ciała, pielęgnowaniu zdrowej tradycji, o zdrowej i zepsutej sztuce, o higienicznym trybie życia, o gęstej i rozwodnionej krwi – wszystkiemu zaś, co mówił, przyświecała potrzeba działania. „Tak – zgadzał się Heinrich – działanie jest warunkiem postępu”. „Postęp –

wtórował mu A.H. – nierzadko wymaga poświęceń, najważniejsze to uczynić pierwszy krok”. Heinrich mógł temu tylko przyklasnąć. Dotarli do Karowej i tam się rozstali. A.H. skierował się do przystanku na Dobrej, Heinrich puścił się przez Browarną do Topieli, potem w górę skarpy, minął Teatr Polski i boczne zabudowania uniwersytetu, wyszedł na pełne spacerowiczów Krakowskie Przedmieście. Na przystanku autobusowym, tuż przy bramie głównej uczelni, spojrzął na zegarek. Kwadrans po dziesiątej. Stał z dala od wypełnionej ludźmi wiaty. Zebrało mu się na mdłości. Pokonał skurcze żołądka i oparty o mur doczekał przyjazdu autobusu 111.

5. Gęsta krew

AUTOBUS był tylko do połowy wypełniony pasażerami. Heinrich usiadł w tyle. Lubił mieć poczucie, że sprawuje kontrolę nad wszystkim. Dopiero teraz spostrzegł, że rękawy białej koszuli ma brudne od błota. Przód koszuli, na wysokości brzucha, również przecinały ciemne smugi. Łysy, krępy trzydziestolatek, z dwójką małych dzieci, przypatrywał mu się nachalnie. Heinrich spojrzeniem zmusił go do odwrócenia wzroku. Czuł się silny jak nigdy. W jego żyłach płynie gęsta krew. Z przebitego boku Chrystusa chlusnęła krew zmieszana z wodą. Żydowska, rozwodniona krew. Krew słabych, którzy słabością próbują zarazić masy; fałszywymi prawdami o miłosierdziu i wybaczeniu, zdradliwymi kazaniami o miłości do kalek, Żydów, kretynów i kolorowych chcą rozwodnić zdrową, gęstą krew. Hitler wiedział, jak wielka odpowiedzialność na nim spoczywa. Jego przykład pociągnął Göringa, Goebbelsa i Heydricha, zaraził Himmlera i Eichmanna, to oni byli misjonarzami, którzy otworzyli oczy milionom, bez ich wiary nie narodziliby się Hans Frank, Walter Hess, Josef Mengele ani Rudolf Höss. Popełnili jednak tragiczny w skutkach błąd. Po co było niszczyć sklepowe wystawy i palić książki? Ze szkła ani liter nie da się wytoczyć krwi. Prawdziwym wrogiem jest drugi człowiek. Dlatego Hitler ostatecznie przegrał swoją wojnę. Kryształowe noce i egzekucje książek pochłonęły zbyt dużo wysiłku; kiedy przyszło zmierzyć się z żywym wrogiem, kiedy należało do końca wyciąć ropiejący wrzód, zabrakło czasu i sił.

„Nasza wojna będzie inna – powtarzał A.H. – Bez palenia książek, bez rysowania szubienic na murach, wybijania szyb, przewracania macew, malowania swastyk na murach synagog. Do zwycięstwa zmierzamy różnymi drogami, ale mówić musimy jednym głosem. Wspólna sprawa, jedna organizacja, jeden głos”.

„A.H. ma rację” – myślał Heinrich, kiedy wysiadł przy ulicy nazwanej na cześć Żyda Anielewicza i skręcił w Smoczą. Chodniki były puste, z otwartych okien pobliskich bloków płynęła kakofonia dźwięków, disco polo, pop i rhythm & blues zlewały się w dudniące, drażniące uszy echo.

„Żydów i wszy trzeba jednakowo tępić” – mówił Walter Frank.

„Gdyby nie wojna i Hitler, Żydzi nakryliby nas czapkami” – mówiła Rechlikowa, przed wojną lokatorka sutereny, po wojnie właścicielka dwupokojowego mieszkania w tej samej kamienicy na Próżnej.

„Żydzi to nasi starsi bracia w wierze” – mówił papież.

„Żydzi zabili nam Boga” – mówiła najstarsza siostra ojca, powtarzając słowa swego proboszcza.

„Żydzi są naszym nieszczęściem” – mówił niemiecki historyk Heinrich von Treitschke, którego śmierć niemal zbiegła się w czasie z siódmymi urodzinami małego Adolfa.

„Z grzechu Holokaustu cywilizacja zachodnia nigdy się nie oczyści” – mówił dyrektor liceum Szałaciński, z wykształcenia pedagog, z przekonania agnostyk, z zamiłowania historyk kultury.

„Żydzi odpowiadają za słupy ognia wznoszące się nad najwspanialszymi pomnikami kultury” – mówił Höss.

„Od zarania świata to Żydzi wywołują wojny” – mówił Adolf Hitler.

„Gdyby było więcej Sendlerowych i Hosenfeldów, Hitler przegrałby wojnę dużo wcześniej” – mówiła matka, bo w głębi ducha wierzyła, że swój krzyż dźwiga za winy dziadka, który zadenuncjował żydowskich sąsiadów, całą pięcioosobową rodzinę oddał w ręce untersturmführera Lepkego.

Do domu na Nowolipkach mógł dojść na dwa sposoby: podążając cały czas Smoczą, minąć Dzielną i na wysokości Nowolipek skręcić w prawo albo na skróty – od Smoczej od razu odbić w prawo, przeciąć niewielki skwer i dojść na podwórko od strony Dzielnej. Wybrał krótszy wariant.

Przed kilku laty skwer otrzymał nowe imię – i eleganckie lampy. Generał Jur-Gorzechowski nadal patronował skwerowi, ale po lampach pozostały tylko żeliwne słupy zwieńczone resztkami kloszów. Jedynym źródłem światła były z rzadka rozstawione latarnie przy Smoczej. Heinrich zapuścił się w asfaltową alejkę, idąc na pamięć, zrobił trzy, cztery kroki, kiedy na wprost niego, jakby oderwawszy się od blaszaka dzielnicowego zakładu oczyszczania miasta, wyrosła krępa sylwetka. Pstryknęła

zapalniczka. W świetle płomienia Heinrich rozpoznał twarz Marika. Marik naprawdę nazywał się Broniek Maricki i tydzień temu wrócił z zakładu penitencjarnego w Łasku, w samą porę na swoje osiemnaste urodziny. Nie był nowicjuszem, od czternastego roku życia zwiedził szereg zakładów poprawczych centralnej i południowej Polski. Głównie za niezdrowe zainteresowanie cudzym mieniem. Drobny detalista.

– Z randki? – Marik przypalił papierosa.

– Nie twój interes.

Marik w świetle zapalniczki przyjrzał się brudnej koszuli Heinricha.

– Co, narzeczona nie chciała dać?

Zapalniczka zgasła. Rozżarzony punkcik papierosa przesunął się w bok. Zaraz potem o metalową ścianę baraku uderzył strumień moczu. Marik, niemal nie zmieniając pozycji, wyciągnął za siebie prawe ramię, zagradzając Heinrichowi przejście.

– Mam dla ciebie panienkę.

– Nie moja branża.

Marik ostentacyjnie zapiął suwak. Zaciągnął się papierosem. Przez moment Heinrich widział twarz Marika i po raz pierwszy tego wieczoru pomyślał, że sprawy zmierzają w złym kierunku.

– Spieszę się – powiedział.

– Góra pięć minut. Panienska jest gotowa.

Na oścież otworzył drzwi blaszaka.

– Co jest, Marik? Teraz nasza kolej.

– Jeszcze jeden narzeczony – obwieścił Marik.

Wnętrze blaszaka oświetlała podwieszona do niskiego sufitu latarka. Heinrich rozpoznał piegowatą gębę Juniora, młodszego z dwóch braci Sztumów. Senior, brunet z ogorzałą twarzą, przyszedł na świat dwanaście minut przed bratem, a przetrącony w bójce nos obnosił jak znak firmowy. W podstawówce Sztumowie chodzili z Heinrichem do jednej klasy. Wciąż tkwili na półmetku gimnazjum i trzeci raz z rzędu zmieniali szkołę.

– Za friko? – Junior wysunął głowę.

– Swoj. Nie poznajesz?

– Heniek się z nami nie brata.

– Właśnie jest okazja. – Marik pchnął Heinricha ku drzwiom.

– Odwal się.

– Szukasz motywacji? Luknij, całkiem niezła sztuka.

– Henio obraca lepszy towar – skomentował Junior.

– Kolejny pasażer do slipingu? – Senior wyrósł za plecami brata. Odepchnął Juniora i podciągnął spodnie.

– Tyle że nie wykupił miejscówki – warknął Junior.

– Tłoku nie ma – przekonywał Marik. – Chyba może się dosiąść?

– Jasne – zgodził się Senior. – Chwilowo wystrzelałem się z całej amunicji.

Przesunął się, odsłaniając wnętrze baraku. Na barłogu z worków i roboczych drelichów leżała Esemka.

Esemka miała czternaście lat i wyglądała na niewiele więcej. Trudno powiedzieć, kto pierwszy tak ją nazwał. Esemka, SM, Siostra Miłosierdzia. Ledwo skończyła trzynaście lat, zaczęła się puszczać. Imponowało jej, kiedy starsi panowie zabierali ją w kurs dobrymi samochodami, a po wszystkim odpalali parę złotych. Część zostawiała sobie, resztę oddawała matce. Matka nie miała stałej pracy, za to troje dzieciaków na głowie. Razem z Esemką czworo, ale Esemka dawno przestała być dzieckiem. Nikomu nie odmawiała, stąd Siostra Miłosierdzia. Osiedlowa opinia nie do końca odpowiadała prawdzie, bo Esemka nie szła z każdym; miała, jak chwaliła się jej matka, która w wieku trzydziestu dwóch lat wyglądała na pięćdziesiąt, głowę na karku, czyli myślała ekonomicznie, czyli potrafiła liczyć, a tym samym przebierać w ofertach.

– Odstąpię ci moją kolejkę – zaproponował Marik.

– Warto, to nówka. – Senior się zaśmiał. – Prawie.

Junior zajrzał do baraku.

– Towar stygnie. Jak nie, to spadaj, zaczynam drugie podejście.

Esemka leżała jak kłoda, z bluzką podciągniętą pod samą szyję. Głowę miała odwróconą, Heinrich nie widział dobrze jej twarzy. Chude nogi były rozrzucone pod nienaturalnym kątem, sztywno wygięte ręce ginęły za głową, przykryte stertą worków. Płaskim jak deska brzuchem dziewczyny wstrząsały skurcze.

Heinrich chwycił Juniora za kołnierz koszuli i szarpnięciem pociągnął do tyłu, jednocześnie odbijając w prawo, jak najdalej od Marika i Seniora.

– Pogięło cię? – Junior rąbnął plecami o ziemię, teraz gramolił się na nogi.

– Zostaw. – Marik powstrzymał Seniora, który rwał się bratu na pomoc. – Henio chce mieć monopol. Niech się nacieszy.

– Dziewczyna ma już dosyć – odezwał się Heinrich.

– Pitolisz, to zawodówka! – Senior potarł złamany nos.

– Lubi to – powiedział Marik. – Siostra Miłosierdzia. Dzisiaj daje z miłości, nie za

pieniądze.

Heinrich chciałby móc cofnąć czas. Poszedłby Smoczą prosto aż do Nowolipek, omijając szerokim łukiem blaszak z Esemką i Marikiem. Teraz było już za późno. Przejrzał intencje Marika – zamierzał postawić Heinricha w sytuacji bez wyjścia: albo go upokorzy, albo zmusi do ucieczki, do przyznania się przed samym sobą, że jest tchórzem, że zostawił dziewczynę na pastwę Marika i jego kumpli. Esemka? Jej los niewiele Heinricha obchodził. Dużo mniej niż troska o własne dobre imię. Dziewczyna wyjdzie z przygody bez szwanku. Senior ma rację, to profesjonalistka, musi umieć sama sobie radzić w podobnych tarapatach. Gdyby kazać mu położyć na jednej szali życie Esemki, a na drugiej swoje, wiedziałby, która przeważy. Esemka nie należała do jego świata. Jeśli tylko by mógł, minąłby blaszak, udał, że nic nie widzi. Za późno. Marik zwabił go w pułapkę i zostawił mu tylko dwie drogi wyboru.

Komuś takiemu jak Marik nawet nie przyszłoby do głowy, że istnieje jeszcze trzecie wyjście.

Heinrich zrobił krok w stronę blaszaka, jakby jednak się namyślił i zamierzał wejść do środka. Raptem chwycił drzwi i pchnął je błyskawicznym ruchem. Junior odskoczył, ale metalowy rygiel uderzył go w rękę. Heinrich kopnął tam, gdzie jak pamiętał chwilę wcześniej stał Marik. Celował w rzepkę kolanową, trafił w udo. Obracając się wokół własnej osi, posłał cios do tyłu po szerokim łuku. Grzbiet pięści zderzył się z czymś twardym. Usłyszał krzyk Seniora. Odbił w prawo, żeby zejść Marikowi z linii uderzenia. Marik zaatakował jak furia. Heinrich zablokował trzy ciosy, czwarty dosięgnął jego szczęki. W tej samej chwili, silnie pchnięty w plecy, stracił równowagę. Ratując się przed upadkiem, wysunął przed siebie lewą nogę. Któryś z trójki zawiesił mu się na plecach. Heinrich szarpnął się do przodu i raptownie się przechyliwszy, zrzucił ciężar. Poczł dźgnięcie w prawy bok. Instynktownie przyłożył tam rękę. Wyczuł pod palcami lepką wilgoć. Odwrócił się i zaczął biec. Kierował się do Smoczej, ku światłu ulicznych latarni. Chcieli zająć go z dwóch stron. Ból w prawym boku narastał. Biegając, mocował się z pasem. Ściągnął go wreszcie. Kątem oka dostrzegł cień po prawej stronie. Zamachnął się. Ciężka klamra przecięła powietrze. Chwycił pas oburącz i okręcając się wraz z nim, próbował trzymać ich na dystans. Trafił w coś twardego. Poczł szarpnięcie, zachwiał się i pas wyleciał mu z rąk. Odwrócił się i bez namysłu skoczył do przodu. Czuł, jak z rany od noża szybko wypływa krew. „Jak pies!” – przypomniało mu się zdanie. Słowa powieści, do której wielekroć powracał, zanim wyczytał gdzieś, że autor był Żydem. Pociemniało mu w oczach. Latarnie zaczęły przygasać. Nogi ugięły się

pod nim i upadł. Jakby zza grubej ściany dobiegł go pisk hamulców.

*

We trzech wyciągnęli Esemkę z blaszaka i podrzucili na ławkę na obrzeżach skwerku. Marik nałożył kłódkę na skobel u drzwi i zatrzasnął. Zatoczywszy półkole, szybko podeszli Smoczą od strony Nowolipek. Na miejscu stał policyjny radiowóz, zdążył się już zebrać tłumek gapiów.

– Pewnie jechał jak wariat! – gorączkował się czterdziestolatek w dresie.

– Prawo jazdy takim odbierać to mało! – ktoś podchwycił. Tłum zawtórował.

– Nawet go nie stuknąłem. Wleciał na jezdnię i upadł. Prosto pod samochód! Jezus, Maria! Jezus, Maria! – młody, postawny blondyn w wyjściowym garniturze kulił się na masce czerwonej vectry. Od Nowolipek spieszyła karetka na sygnale.

– Bez dokumentów – policjant zakomunikował koledze. Skończył obszukiwać Heinricha i krzyknął do gapiów:

– Ktoś go zna?!

Marik spojrzał z bliska na twarz leżącego.

– Mieszka tu niedaleko – powiedział.

– Mieszkał – poprawił go policjant.

MENSCH

6. Haudegeny dla Luigiego

MAJOWE słońce przypiekało. Unterscharführer Ernst Grohmann poluzował kołnierzyk munduru i zapalił papierosa. Zaciągnął się bez smaku. Haudegen, jeden szajs. Po prawdzie dostępne w kantine balleriny i nilprinzessy były niewiele lepsze. Przypomniwał mu się aromat gauloisów i pomyślał z nostalgią o transportach z Salonik. Bogate, urozmaicone transporty. Dyrektorzy fabryk, prezesi banków, wędliniarze, właściciele prywatnych klinik, fabryk obuwia i browarów, profesorowie uniwersytetów. Dzień w dzień transporty zasobne w gauloisy, aromatyczną grecką machorkę, wysokogatunkowe wędliny, oliwki, chałwę i biały chleb. Nierzadko trafiały się luksusowe gatunki cygar hawańskich, nie brakowało tureckich i macedońskich papierosów, wina i

koniaków było w bród. Ukryte w walizkach i w fałdach ubrań przyjeżdżały z Salonik do Birkenau funty brytyjskie, egipskie i dolary amerykańskie. Żydzi greccy zabierali to, co potrzebne, by się urządzić, w nowym miejscu zacząć nowe życie. Jechali jak na wycząsy. „Całe to robactwo – skrzywił się unterscharführer Ernst Grohmann – przez tysiące lat rozpleniło się na niemal cały świat. Stać ich na markowe cygara, podczas gdy porządny Niemiec jest skazany na gówniane haudegeny. Ponoć ci z Węgier nie ustępują Żydom z Salonik – pocieszał się, spoglądając na puste jeszcze tory rampy w Birkenau. – Może znowu nadejdą lepsze dni”.

„Zupełnie jakby Auschwitz i Birkenau były dla Żydów pępkiem świata” – myślał Żyd David Kovacs, kapo sonderkommanda obsługującego krematorium numer cztery. Pojedynczo i całymi rodzinami przybywali z Francji, Belgii, Holandii, Niemiec, Polski, Grecji, Włoch, ze Słowacji, z Czech, Węgier. Żydzi z Zachodu byli bardziej wyczekiwani. Tak, Francja, Belgia, Holandia, Grecja, Włochy przysyłały dobre transporty. Odżywieni, obrośli w tłuszcz, dobrze się palili. Należało tylko pamiętać, by układać ich na przemian – wysocy z niskimi, grubi obok szczupłych. Przy Żydach z Europy Środkowej było więcej pracy.

Doktor Mengele w mundurze bez jednej zmarszczki i oficerkach wyglansowanych do połysku przechadzał się energicznie na przodzie rampy, pogwizdywał melodyjnie. „Szczęściarz – pomyślał unterscharführer Grohmann. – Roboty po same łokcie, takiemu nie grozi wysłanie na front wschodni. – Zaciągnął się, powoli uwalniał dym z płuc. – Po co zaraz widzieć wszystko w czarnych barwach? – przekonywał sam siebie. – Ponoć samych Żydów węgierskich przywiozła trzy miliony. Oby trwało to jak najdłużej” – życzył sobie.

„A jednak za dużo twarzy” – myślał David Kovacs. Nosy, usta i oczy zlewały mu się w anonimową masę, mimo wysiłku woli nie potrafił wyłowić z szarej magmy tych jednych jedynych rysów, które mimo wszystko chciał do końca przechować w pamięci, na których mu jeszcze zależało. Tylko oczy Ilsy pamiętał, poza nimi twarz żony zatarła się chyba bezpowrotnie, szara jak wystygły popiół. Mimo nienawiści do siebie, mimo że trzymając się kurczowo życia, sprzeniewierzał się Ilsie, pragnął jak najdłużej żyć. Dopóki będą transporty, dopóki będzie praca, dopóty miał szansę uniknąć losu setek innych członków sonderkommand. „Oby jak najdłużej” – westchnął i potoczył wzrokiem po pustych jeszcze torach kolejowych.

Członkowie komanda kanada, zbici w małe grupki, przydzielani przez vorarbeiterów do konkretnych zadań, czekali na poboczu rampy. Od szarzyzny

pasiaków odbijały się zielenią mundury esesmanów; ci, rozmieszczeni bliżej torów, stali w równych odstępach, dla zabicia czasu pokrzykując do siebie, ćmiąc papierosy, niektórzy ćwiczyli z psami komendy.

Grohmann z przyzwyczajenia szarpnął lewą ręką – zapomniał, że nie trzyma smyczy, miejsce przy nodze jest puste. Wypluł niedopałek i przydeptał. Poprawił automat, napił się wody z menażki. Obserwował kątem oka najbliższy szereg więźniów. Nie robił sobie wielkich nadziei – kanadziarze należeli do obozowej elity, część żarcia i papierosów z transportów lądowała w ich kieszeniach. Czasem jednak trafiał się nieopierzony heftling, który dawał się skusić. Tak było i tym razem. Poznał to po poruszeniu, jakie zapanowało, kiedy niedopałek wylądował na ziemi.

Wyjął paczkę haudegenów, wybrał jednego, ostukał go palcem, obwąchał i przypalił. Zaciągnął się cztery razy. Chwycił go kaszel. Splunął, rzucił haudegena pod nogi, nie przydeptał, szybko odwrócił się w stronę bramy wartowni, jakby chciał sprawdzić, czy pociąg nadjeżdża. Raptem okręcił się na pięcie – w samą porę, by dostrzec, jak młody heftling chowa się w szeregu.

Grohmann kiwnął na niego palcem.

– Komm!

Tamten ściągnął lewą ręką czapkę i podbiegł, stukając drewniakami.

– Ile masz lat? – spytał Grohmann.

– Dwadzieścia trzy, Herr Unterscharführer. – Mówił po niemiecku ze śmiesznym akcentem południowca. Hiszpan albo Włoch.

– Skąd jesteś?

– Z Włoch, Herr Unterscharführer.

– Chciałbyś żyć?

Włoch się zawahał. Grohmann widział, jak chuda grdyka porusza się z góry na dół.

– Co trzymasz w prawej ręce?

Wreszcie nadciągnęły wagony. Toczyły się opornie. Włoch obejrzał się, jakby szukał ratunku wśród innych pasiaków.

Nie czekając dłużej, Grohmann zdzielił go lufą karabinu.

– Podnieś, co upuściłeś. Co jest napisane na tablicy?

– „Palenie zabronione”, Herr Unterscharführer. – Włoch trzymał między palcami wciąż żarzącego się papierosa.

Grohmann przywołał kapo Veterę. Vetera był Słowakiem, miał niski numer; komuś, kto tak jak on przeżył w obozie prawie cztery lata, trudno się pogodzić z myślą, że życie

to tymczasowy przywilej.

– Do kogo należy ten papieros? – spytał Grohmann.

Włoch milczał. Vetera odpowiedział za niego:

– Do pana, Herr Unterscharführer.

– Czyli palił kradzione. Do tego w miejscu niedozwolonym. Jaka jest za to kara?

Młody heftling się zachwiał. Vetera też się nie spieszył z odpowiedzią. Grohmann poklepał go po ramieniu.

– Weź, zapalisz potem. – Poczęstował Veterę haudegenem. Wyciągnął paczkę do Włocha. – Schowaj. I zapamiętaj różnicę między darowanym a kradzionym.

Włoch stał jak skamieniały. Vetera, nie odwracając głowy, syknął:

– Luigi, bierz!

Luigi drżącą ręką wziął paczkę haudegenów. Ścisnął ją w dłoni, rękę z czapką trzymał sztywno przy boku.

Lokomotywa hamowała, zaryglowane wagony ze zgrzytem kół coraz wolniej toczyły się po torach. Ciężarówki ze znakiem Czerwonego Krzyża podjeżdżały i przystawały z tyłu rampy. Grohmann się obejrzał. Połowa składu pociągu była już na jego wysokości. Niespiesznie odpiął kaburę, wyjął pistolet i lufę przyłożył Luigiemu do głowy.

– To chyba jednak szybciej oduczysz cię kraść.

Zatrzymało go wołanie z przodu rampy:

– Ernst, czy to przypadkiem nie twój Mensch?

Ernst Grohmann spojrział w lewo. Wilczur minął już doktora Mengelego, słaniając się na łapach szedł wzdłuż szeregu pokazujących go sobie palcami esesmanów.

Podniecenie udzieliło się psom strażników.

– Po czterech dniach? Niemożliwe. – Grohmann schował pistolet do kabury.

Krzyknął: – Mensch, komm hier!

Mensch nie zareagował. Pokuśtykał jeszcze kilka metrów, zachwiał się i upadł.

Grohmann podbiegł i przykucnął przy nim.

– Musiał się na coś nadziać. Cały prawy bok ma rozharatany – zauważył.

– Szczęście, że się nie wykrwawił – dobiegł go z góry czyjś głos. Scharführer Hanzlik?

– Mógł się nie puszczać w las za zajacem – Grohmann skomentował cierpko. –

Pewnie złapał go jakiś polski wieśniak. Wiadomo, jacy są Polacy.

7. Z dziennika untersturmführera Stoopą (1)

W kantine na kolację kolejny raz gulasz. Mięso twarde jak z dwudziestoletniego wałacha. Po greckich frykasach nie pozostał najmniejszy ślad. Choć podobno kantine oficerska w głównym obozie wciąż serwuje sardynki, kandyzowane owoce, doskonałe bułgarskie wino i francuski koniak. Nam podano czerwonego cienkusza niewiadomego pochodzenia i piwo. Nastroje wśród załogi nie najlepsze.

Późnym wieczorem dołączył do nas rottenführer Broad. Zmęczony, że ledwo trzymał się na nogach. Od wczesnych godzin południowych przesłuchiwał dwóch więźniów schwytanych przy próbie ucieczki. Wydział Polityczny węszy spisek, są przekonani, że ucieczka nie była spontanicznym zrywem. Ktoś musiał im pomóc w wydostaniu się za druty. Polski pracownik cywilny? Niemiec? Ktoś z niemieckiej załogi? „Obozowe gestapo dojdzie prawdy” – zaklinał się Broad. Nie sposób mu nie wierzyć. Chłopcy oberscharführera Bogera: Erber, Dylewski, Schlage, Broad i cała reszta, nie wypuszczą takiej szansy z rąk. W razie powodzenia awans murowany.

Broad szybko się schlał – i chwycił za akordeon. Z zamkniętymi oczami brał najtrudniejsze pasaże. Prawdziwa rozkosz dla ucha! Musieliśmy tylko pilnować, żeby miał zawsze pełny kieliszek.

A mnie od razu stanął przed oczami Franz i jego pierwszy występ w Filharmonii Berlińskiej w wieku dziesięciu lat. Boże, nie pozwól, bym i jego stracił! Williama nie upilnowałem. Uparł się, by służyć ojczyźnie na froncie – i poległ już w pierwszym tygodniu. Nie wolno dopuścić, by ten sam los spotkał Franza. Chłopak nie ma nawet dziesięciu lat. Dziękować Bogu, chyba nie trzymał jeszcze karabinu w ręku. Skrzypce, wiolonczela, kontrabas, trąbka, akordeon – to jego żywioł. Nie karabin! Poruszę niebo i ziemię, żeby go do siebie ściągnąć! Komendant Kramer zapewnia mnie, że wszystko jest na jak najlepszej drodze. „Rozumiem pana postawę, Herr Untersturmführer. Nie pan jeden poczuwa się do odpowiedzialności za młodszego brata. Führerowi i ojczyźnie można służyć z oddaniem również w obozie koncentracyjnym”.

Nikt nie wie lepiej ode mnie, czym jest służba w Auschwitz. Ale skoro sam przez to przeszedłem i nie postradałem zmysłów, łatwiej mi będzie ustrzec Franza.

Wreszcie wyczekiwany list od Lotty. Nie bez powodu się zamartwiałem – bombardowania przybierają na sile. Nawet na obrzeżach Berlina nie jest już bezpieczna. Namówię ją, by przeniosła się do Kassel, do matki. Do porodu pozostał

miesiąc. Po rozwiązaniu Lotta i dziecko będą mogli przynajmniej liczyć na opiekę. Czuję, że to będzie chłopiec.

Jutro pierwszy transport z Węgier. Atmosfera wielkiego podniecenia. Salami, paszтет z gęziej wątróbki, cytrusy, kandyzowane owoce – każdy ostrzy sobie zęby. Złapałem się na myśli, że w życiu nie skosztowałem węgierskiej śliwowicy. Powiedziałem to na głos w kantynie przy Grohmannie. A ten od razu jął się przechwalać, że Węgry zna jak własną kieszeń, w trzydziestym szóstym brał udział w międzynarodowym turnieju bokserskim w Budapeszcie. „Jak ci poszło?” – spytałem. „Zająłem drugie miejsce. Gdyby nie kontuzja.....”. Wszyscy wokół nas parsknęli śmiechem. Nawet Hanzlik nie zdzierzył.

8. Dwa kubły

NAZYWAM się Lajos Éger, mam czterdzieści lat. E-Ger, E-Ger – koła pociągu miarowo stukoczą, w tym jednostajnym, natrętnym dźwięku słyszę powtarzane z mechanicznym zacięciem moje własne nazwisko. Sprawa wyobraźni, zapewne; każda z osób w wagonie po sześciu dniach podróży z tego stukotu wyławia sobie tylko wiadome dźwięki: Ma-Yer, Lasz-Ky, Er-Ber, Ko-Lin-Szky, Ar-Vay, Bo-sKo-Vitz, Bri-Bek. Dobre węgierskie nazwiska, do niedawna nazwiska poważane w każdym kraju świata, niemal z dnia na dzień, podobnie jak ich właściciele, straciły rację bytu.

Pamiętam odczyty Tomasza Manna. W 1935 i rok później był częstym gościem w Budapeszcie. Sztwywny, nieco napuszony, a jednak wraz z jego osobą Węgry nawiedzał duch Goethego, Schillera i Kleista, duch niemieckiej poezji i prozy. Zdobyłem się kiedyś na odwagę i posłałem mu jedno z moich pisanych po niemiecku opowiadań. Grzecznie pochwalił tekst w liście, choć po dziś dzień dręczą mnie wątpliwości, czy go przeczytał. Niemcy to kulturalny naród, trudno odmówić im dobrego wychowania. Kierujący katedrą germanistyki profesor Gábbai, pod którego kierunkiem pisałem pracę doktorską, zwykł żartobliwie powtarzać, że Heinrich von Kleist tylko dlatego popełnił był samobójstwo, by nie posądzono go przypadkiem o brak ogłady wobec Adolfiny Henrietty Vogel, której przejadło się ziemskie bytowanie i za pragnęła umrzeć w towarzystwie poety.

– Panie profesorze – przerywa mi Daniel Kalmár – daleko jeszcze?

Uczę niemieckiego w jednym z budapeszteńskich gimnazjów – czy raczej do niedawna uczyłem; Daniel jest – a właściwie do niedawna był – jednym z moich

uczniów.

– Niedaleko – odpowiadam. – Wytrzymamy.

Stoi blisko mnie, ale w mroku ledwo widzę owal jego twarzy. Do wagonu wciśnięto chyba ze sto osób. „Duch jest silniejszy od ciała” – powtarzałem często na lekcjach. Powtarzałem, bo sam w to wierzyłem – i nadal wierzę. Pierwszego dnia podróży żartowaliśmy, że wagony bydłce to dobry omen. „Bardzo dobry znak – ktoś powiedział, a reszta ochoczo to podchwyciła. – Skoro Niemcy pakują nas do bydłecych wagonów, to najpewniej przegrywają wojnę, nie stać ich już na normalne składy pasażerskie, niechby i z przedziałami trzeciej klasy”.

Co do mnie, straciłem złudzenia. Nie mówię tego Danielowi, nie zdradzam się przed nikim, ale wyzbyłem się nadziei. Owszem, gdzieś na dnie duszy czai się jeszcze myśl, że może nie wszystko stracone. Ludzką duszę już w nas zabito, stąd do uśmiercenia ciała jest tylko jeden maleńki kroczek. Dokonali tego za sprawą dwóch kubłów – jednego z wodą, a drugiego na nieczystości. Wody zbrakło, nim minęło pół dnia, ale to nie łaknienie okazało się najcięższą próbą. Wyobraźcie sobie człowieka, który ostatecznie zdusiwszy w sobie wstyd, poddawszy się prawom biologii, na oczach innych kuca nad kubłem z nieczystościami. Z czasem każdy przywykł. Kubel opróżnialiśmy przez szparę w podłodze. „Tak trzeba” – każdy sobie powtarzał. Człowiek myśli: „Tak trzeba”, i niepostrzeżenie dla samego siebie przekracza kolejną granicę.

Daniel z początku mnie unikał. Poza mną nie znał w wagonie nikogo, wołał jednak trzymać się na uboczu. „Rozmyśla o matce – zgadywałem – a może projektuje swoje wielkie maszyny”. Matka trzy miesiące wcześniej trafiła do Auschwitz, więc w jakimś sensie miał więcej szczęścia od innych: jechał przecież do obozu pracy, gdzie ktoś na niego czeka. O swoje maszyny słusznie mógł żywić do mnie pretensje. Uchodził za niezwykle uzdolnionego ucznia, dlatego, bywało, w obecności całej klasy stawiałem go za przykład gnuśności i nieuwagi, bo jak inaczej wytłumaczyć, że po roku nauki zamiast *Der Tisch ist groß* pisze *Die Tisch ist groß*. Z rozmyślań nad konstrukcjami, które mełły, latały, wykonywały obliczenia, przenosiły ciężary czy łączyły brzegi rzek, wrywałem go pytaniami o rodzajniki i szyk zdania w języku niemieckim. Ja, doktor Lajos Éger, uwiedziony Heglowską filozofią prawdy, spadkobierca i szczerzy apologeta niemieckiego zamiłowania do prawdy i porządku, fałsz i kłamstwo zwykłem tępić na każdym kroku, prawdę zaś, bez względu na tak zwane okoliczności, wysuwałem na pierwszy plan. Daniela stawiałem pod pręgierzem. „Przecież – prawilem mu kazania – bez znajomości niemieckiego, bez choćby podstaw gramatyki, daleko nie zajdziesz”.

Dokąd zaszliśmy? Tkwimy zamknięci w bydlęcym wagonie, daremnie zatykając nosy, bo przed smrodem z trupka nie sposób uciec. Nie żałując łokci, toruję sobie drogę do wąskiego zadrutowanego okienka w górze wagonu, chcę przez chwilę pooddychać świeżym powietrzem. Daniel podąża za mną.

Los niemowlęcia został przesądzony pierwszego dnia podróży, kiedy stało się jasne, że ani prośby, ani walenie w ściany wagonu nie pomogą, zaryglowane drzwi się nie otworzą, więcej wody nie dostaniemy. Pod koniec drugiego dnia dziec ko wreszcie przestało płakać. Odetchnęliśmy z ulgą. Matka uparła się jednak, że mały żyje, trzeba go ratować. Miotła się po wagonie, podtykała każdemu stygnące już zawiniątko i błagała o pomoc. Musiała usłyszeć, jak mecenas Forinsky, sąsiad z ulicy Mikó, w rozmowie ze mną tytułuje mnie doktorem, bo przypuściła na mnie szturm:

– Doktorze, proszę ratować Jánoska!

– Nie znam się na tym.

– Może wcale nie trzeba lekarstw! Może to nic poważnego, wystarczy Jánoska tylko obejrzeć! Przecież jest pan lekarzem! – gorączkuje się i wciska mi do rąk pled z ciałem dziecka.

– Droga pani, jestem doktorem, ale germanistyki.

Wyrwała mi zawiniątko. Musiałem wytrzymać jej spojrzenie, kiedy krzyknęła z mocą w głosie, jakby w tym jednym słowie nagromadziła się cała żaloba i wściekłość:

– Morderca!

Po dwóch dniach smród stał się nie do wytrzymania. Kilku mężczyzn się zmówiło. Podkradli się w nocy, by pozbyć się trupka – ale matka zdołała go obronić. Zrezygnowali. Zresztą nie potrafili wybić deski w podłodze ani w ścianie wagonu. Po czterech dniach zamknięcia w ciasnym pomieszczeniu, bez picia, lekarstw i przy niedostatku powietrza, trupów przybywało. „Jeśli tak wygląda śmierć – powiedział ponoć Kleist w wigilię samobójstwa – to nie warto się nią przejmować”. Ale Kleist – wyrzucam sobie poniewczasie w bydlęcym wagonie, a sumienie podsuwa mi zarazem mój grzech naiwności wobec Hegla i belferskie przewiny względem Daniela – Kleist był tylko poetą”.

– Czy mama po mnie wyjdzie? – pyta Daniel, gdy z trudem stając na palcach, próbuje zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jego lewa noga jest krótsza o trzy centymetry. W specjalnie szytym obuwiu defekt niemal nie rzuca się w oczy. Zamartwia się, co będzie, kiedy but się zniszczy. Czy w Auschwitz mają obuwie ortopedyczne?

– Jak pan myśli, profesorze, wyjdzie na dworzec?

– Z pewnością.

To mu nie wystarcza.

– Mówił pan, że u Niemców panuje wzorowy porządek. Muszą przecież prowadzić dokładną kartotekę osobową?

– To oczywiście – zapewniam. Staram się, by zabrzmiało to szczerze. Przez kilka ostatnich dni czegoś się nauczyłem.

Niechętnie usuwamy się spod okienka, by ustąpić miejsca innym. Daniel waha się, wreszcie mówi:

– Mama wyrzucała mi, że nie robię postępów w niemieckim. Po śmierci ojca starała się go zastąpić. Martwiła się o moją przyszłość. Bałem się przed nią przyznać, że niemiecki idzie mi kulawo jak bieganie, brak mi zdolności. Najtrudniejsze zadanie matematyczne rozwiązywałem w dwie minuty, do języka nie miałem za grosz talentu. Pan też mi chyba nie wierzył?

– Teraz będzie inaczej – zapewniam. – Czas nas nie goni.

Pociąg zwalnia. Nie pierwszy to raz, oczywiście, teraz jednak wyczuwamy, że powód jest inny, można rzec, ostateczny. Dźwięki z zewnątrz narastają, da się rozróżnić ludzkie głosy i warkot silników. Przy okienkach pod sufitem robi się tłoczno, każdy chce być pierwszy. Zgrzyt hamulców – i stajemy. Bieganina, krzyki przybierają na sile. Również my w wagonie krzyczymy, chwytamy bagaże i, jakby odzyskawszy siły, przepychamy się do zamkniętych jeszcze drzwi. Szczeka metal, rygiel z hałasem ustępuje i w duchotę wagonu wdziera się nagrzane słońcem świeże powietrze, a wraz z nim wrzaskliwe komendy:

– Heraus, ihr Hunde!

– Co oni mówią? – pyta Daniel.

Nie odpowiadam, ale ktoś z boku tłumaczy:

– Wychodzić, psy!

9. Unterscharführer Grohmann dotrzymuje słowa

– PODAJ łapę! – Unterscharführer Ernst Grohmann musztrował Menscha. – Nie rozumiesz po niemiecku?

– Ledwo zipie – zdenerwował się scharführer Hanzlik.

– Siad! Siad, do cholery!

– Ernst, lekarz powinien go obejrzyć!

Grohmann przywołał najbliższego stojącego więźnia.

– Przyrowadź jakiegoś sanitariusza, migiem!

Przybiegł heftling z opaską funkcyjnego na ramieniu. Grohmann rozpoznał flegera Rajka, Polaka z rewiru doktora Helmersena.

– Zabierz psa na rewir, niech go jakiś lekarz przebada. No, nie stój w miejscu jak słup soli!

Fleger się zawahał, nie wiedział, co począć z czapką. Wreszcie z gromkim: Jawohl, Herr Unterscharführer! naciągnął ją szybko na głowę, schylił się, nie bez wysiłku wziął Menscha na ręce i ruszył do bloku szpitalnego.

Otwierano już drzwi wagonów. Nauczony doświadczeniem Grohmann odczekał chwilę. Ze środka buchnął odór ekskrementów. Patrzył, jak robactwo wylewa się z wagonów na rampę. Wyładunek towaru kosztował go zawsze najwięcej sił, właśnie w takich chwilach najbardziej odczuwał brak Menscha. Ściągnął karabin i puścił w ruch kolbę. Bił mechanicznie, oszczędzając energię. Jak na ringu – czasem wystarczyło tylko lekko punktować. Albo markować cios lewą, by w odpowiednim momencie wystrzelić prawą.

Kapo i heftlingowie z Kanady dwoili się i troili. Instruowali: „Zostawić wszystkie walizy i pakunki, zabierać tylko podręczny bagaż!”, „Mężczyźni na prawo, kobiety z małymi dziećmi na lewo!”. Rosły zwały porzuconego bagażu. Z otwartych waliz wysypywały się sztuki bielizny, zabawki, wędliny i kosztowności. Grohmann się schylił, ze sterty bebeczów wyłowił dwie paczki gauloisów. Wprawnym okiem wypatrywał szmaciany woreczek. Wziął go do ręki, pomacał. Wyczuł pod palcami krągłości obrączek i oszlifowane kamienie pierścionków. Schował woreczek do bocznej kieszeni munduru.

– Panie oficerze!

Odwrócił się. Żyd miał ze sześćdziesiąt lat, cuchnął, pot lał mu się po nieogolonej twarzy. Wytrzeszczał oczy zza zasnutych mgłą okrągłych, grubych szkieł okularów.

– Panie oficerze, zgubiłem żonę! Gdzie ją mogę znaleźć?

– Na prawo! – ryknął Grohmann.

Żyd się rozejrzał. Podniósł dłoń do okularów, jakby chciał przetrzeć szkła.

– Ale tam są sami mężczyźni, panie ofi...

Grohmann ściągnął karabin i gruchnął go kolbą pod zębra. Stary osunął się na ziemię, gubiąc okulary. Wilczur scharführera Hanzlika szarpnął się, pociągając

esesmana za sobą. Pies dopadł starego i zaczął go tarmosić. Kiedy skończył, Hanzlik trącił butem nienaturalnie ugięte nogi.

– Na ciężarówkę z tym!

Czas włókł się Grohmannowi w nieskończoność. Unterscharführer klął pod nosem. Z drugiej strony wiedział, że wyładunku towaru nie da się bardziej przyspieszyć. Zapalił gauloisa. Tłum płynął przed siebie dwoma rwącymi potokami, zwalone wzdłuż torów walizki, pakunki i tobołki wznosiły się niemal na wysokość wagonów. Z przodu rampy doktor Mengele z pomocą podoficerów sanitarnych dokonywał cudu rozmnożenia: potok mężczyzn rozdzielał się teraz na dwie odnogi, potok kobiet również popłynął dwoma korytami. Zdatni do pracy odbędą wędrówkę do sauny, pozostali pomaszują do jednego z czterech krematoriów.

Grohmann zdjął czapkę, przeciągnął dłonią po spoconych włosach. Po gauloisie pozostał mu w ustach przyjemny posmak. Przywołał Veterę. Kapo podbiegł, zdejmując czapkę. Kieszenie i przód kurtki na wysokości brzucha miał napęczniałe.

– Jest coś dla mnie?

– Jawohl, Herr Unterscharführer! Alkohol i papierosy. Dobry alkohol!

– Co schowałeś w prawej kieszeni? Pokaż.

Vetera z ociąganiem zapuścił rękę do kieszeni pasiaka. Grohmann się zaśmiał.

– Daj połowę tego, co tam trzymasz, nie będę sprawdzał. Vetera, nie jestem dla ciebie zbyt dobry?

– Jawohl, Herr Unterscharführer!

– Wyszukaj mi coś ekstra na prezent. Za dwa tygodnie jadę do domu na przepustkę.

Tłum na rampie szybko topniał. Ze swego miejsca Grohmann słyszał, jak Mengele pogwizduje. Lekarzowi znowu dopisało szczęście – w transporcie z Węgier przyjechało kilka par bliźniąt. Ruszyła ostatnia ciężarówka z trupami i chorymi. Więźniowie pakowali do samochodów i na rolwagi bagaże rozrzucone przy torach. Inni czyścili wagony, zdrapywali napisy ze ścian. Mimo zmęczenia Grohmann czuł zadowolenie. Każdy trybik obozowej maszyny zadziałał bez zarzutu.

„Pierwszy transport z Węgier - pogratulował sobie w myślach – trzeba to uczcić”.

Podszedł do Hanzlika.

– Jürgen, mam ochotę napić się wódki.

– Nie tak prędko. Dzisiaj przyjadą jeszcze dwa transporty.

– Scheiße!

Hanzlik poklepał się po wypchanych kieszeniach munduru.

– Ale dla nas już fajrant. Wieczorny i nocny wyładunek załatwią chłopcy od Lachmana. Myśmy chyba dosyć się napocili w majowym słońcu?

– Za godzinę w kantynie.

*

Pili z umiarem, nie chcieli przesadzić. Przeczucie ich nie zawiodło. Po dziewiętnastej w kantynie zjawił się sam komendant Birkenau sturmbannführer Josef Kramer, towarzyszył mu obersturmführer Thurnov, adiutant Kramera. Obaj w wymuskanych mundurach błyszczących od naszywek, pagonów i obszyć, jakby świeżo z parady w Berlinie.

Untersturmführer Stoop, najstarszy rangą z obecnych w kantynie, poderwał całą piętnastkę gromkim: Achtung!.

– Panowie – zaczął Kramer napuszczonym tonem – to dla nas wszystkich szczególnie dzień. Na każdym z nas, od zwykłego szeregowca po reichsführera, spoczywa nałożony przez ojczyznę obowiązek.

Thurnov wykrzywił szurzącą twarz, strzelał oczami na lewo i prawo. Szukał pretekstu, by się przyczepić.

Kramer nagle zmienił ton.

– Koledzy, czeka nas mnóstwo pracy. Możecie na mnie liczyć. Każdy z przełożonych jest do waszej dyspozycji. Jak wiecie, były komendant Rudolf Höss wrócił w tych dniach, by objąć funkcję komendanta całego garnizonu SS w Auschwitz. W tej historycznej chwili jego wiedza i doświadczenie są nieocenione. Gotów jest udzielić nam pomocy w każdym możliwym zakresie. Prosił, by to wam przekazać.

Rozejrzał się po twarzach obecnych.

– Jakież pytania? Nie ma? Panowie, proponuję toast.

Jürgen Hanzlik rzucił się napełniać kieliszki. Kramer powąchał, rozpoznał francuski koniak, cmoknął z uznaniem. Za jego przykładem wszyscy wzniesli kieliszki:

– Za Reich, za Führera, za zwycięstwo.

Kramer pożegnał się i wyszedł. Thurnov ruszył za nim, po drodze zatrzymał się jeszcze przy Grohmannie.

– Słyszałem, że pana pies się odnalazł?

– Tak jest, Herr Obersturmführer.

– Prawdziwy cud, nie uważa pan?

– Tak jest, Herr Obersturmführer.

– Ale los Rzeszy nie powinien zależeć od cudownych zrządeń. Co czeka Rzeszę,

jeżeli żołnierze nie potrafią zadbać o jej własność?

Grohmann spurpurowiał. Strzelił obcasami. Milczał.

– Pij! – Ledwo za Thurnovem zamknęły się drzwi, Hanzlik nalał Ernstowi kieliszek. –

Za zwycięstwo. Żeby Thurnov nie zdążył wysłać nas na front wschodni.

Wypili. Wokół Grohmana zrobiło się tłoczno.

– Twój Mensch wrócił?

– Wrócił.

– Nie do wiary! Przeczesałiśmy wtedy cały teren aż do brzegów Wisły i Soły.

– Pewnie schwycił go jakiś okoliczny wieśniak.

– Powiedz mi, Ernst – Stoop dopchał się z kieliszkiem – czemu go tak dziwnie nazwałeś?

– Normalnie.

– Favorit, Ralf, Bruno, to rozumiem. Ale Mensch? Na psa wołać Człowiek?

– Ernst dobrze to wykombinował. – Hanzlik się zaśmiał. – „Człowiek, bierz!”, „Człowiek, gryź Żyda!”.

Stoop też się roześmiał. Wychylił koniak i powiedział:

– W takim razie nazwij go Jude. Szczułybys Żyda na Żyda.

– Jude, bierz! – któryś podchwycił.

Zrobiło się wesoło.

Grohmann napełnił sobie kieliszek i z hukiem postawił butelkę na stole.

– Mensch! – warknął. – Tak ma być i już!

– Rosjanie, ci to dopiero mają nasrane we łbie – włączył się hauptscharführer Ruhe, weteran z frontu wschodniego. – Swoim psom dają Grisza, Masza i Lońka, jak ludziom. Sam słyszałem.

– Grisza, siad! Grisza, do nogi! Grisza, bierz Stalina! – Stoop ryczał na całą kantinę.

– Ukatrupię Stalina! – Hanzlik postawił pustą butelkę na krześle, wymierzył z pistoletu i strzelił. Na podłogę posypało się szkło. – Gdzie jest Roosevelt? Dawać mi tu zaraz tę świnię Roosevelta!

– Tylko dopiję. – Stoop opróżnił flaszkę.

– Śmierć alianckim bękartom! – Hanzlik rozstrzelał drugą butelkę. – Ernst, a ty dokąd?

– Coś jeszcze muszę załatwić.

*

Grohmann szedł na chwiejnych nogach, łapczywie chwycił wieczorne powietrze.

Zakaszał. Wiatr przywiewał drażniący zapach od krematoriów i dołów spaleniskowych. Prze ciął opustoszały plac apelowy i skierował się do bloku kapo Vetery. Droga biegnącą równoległe do rampy kolejowej ciągnął długi pochód. Wyładunek z wieczornego transportu. Silne światło obozowych lamp wydobywało z ciemności druty, wieże wartownicze, obozowe baraki i ludzkie kształty. Mając za przewodników Żydów z sonderkommanda, eskortowani przez kilku esesmanów, nowo przybyli zmierzali prosto do krematorium. Przystanął, zapalił gauloisa i poszedł dalej. Przed barakiem wypluł niedopałek. Pchnął drzwi i wtoczył się do środka.

– Achtung! – ryknął.

W przedsionku paliło się mdłe światło. W pośpiechu więźniowie zsuwali się z trzypiętrowych prycz, nie żałując sobie nawzajem łokci, ustawiali się pośrodku. Podbiegł blokowy i zaczął składać meldunek o stanie liczebnym.

Grohmann przerwał mu:

– Gdzie kapo?

Zanim blokowy zdążył odpowiedzieć, Vetera wynurzył się z pokoju w kącie baraku. Miał już mocno w czubie.

Grohmann podskoczył i trzasnął go w pysk.

– Jesteś pijany! – ryknął.

– Jawohl, Herr Unterscharführer!

– Każę cię rozstrzelać!

– Jawohl, Herr Unterscharführer!

– Albo przeniosę cię do komanda budowlanego. Zamiast frykasów z transportów będziesz żarł trawę. – Grohmann ściszył głos: – Pamiętałeś o mnie?

Vetera się ożywił. Trajkotał teraz jak najęty:

– Wszystko gotowe, Herr Unterscharführer, sam wybierałem, koniaki prima sort, śliwowica, sardynki, salami, kandyzowane owoce, palce lizać, papieroski w kilku gatunkach. Zorganizowałem paczkę cygar. Mogę od razu zanieść na kwaterę...

– Po porannym apelu. Gdzie Luigi?

Vetera zbladł.

– Zachorował. Trafił na rewir.

Grohmann przyjrzał mu się spode łba. Vetera spuścił oczy. Grohmann obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

Alkohol wywietrzył mu z głowy. Szybkim krokiem przemierzał trasę do bloku ambulatorium. Droga wzdłuż rampy była wyludniona, towar z transportu dotarł już

pewnie na miejsce. Wszedł po cichu do bloku szpitalnego. Dyżur sprawował niemiecki lekarz, więzień polityczny przeniesiony z Dachau, asystowało mu trzech flegerów.

Grohmann rozpoznał Rajka i ruszył prosto do niego.

– Co z moim psem?

– Wyjdzie z tego, Herr Unterscharführer. Rana głęboka, na szczęście narządy wewnętrzne nie zostały uszkodzone. Był porządnie wygłodzony. Opatrzyliśmy mu ranę i nakarmiliśmy go.

– Gdzie jest?

– Zaprowadzę.

Mensch leżał pod stołem w izbie przyjęć. Na widok Rajka zamerdał ogonem.

– Może chodzić?

Fleger się zawahał.

– Tylko trzeba go oszczędzać...

Grohmann usiadł przy stole i zaczął przeglądać wykaz nowo przyjętych. Pokazał palcem wpis w zeszycie:

– Tego gdzie trzymacie?

Poszedł na salę za flegerem. Mensch dźwignął się i niezdarnie pokuśtykał za nimi w białym opatrunku. Luigi leżał na dolnej pryczy. Nie spał.

– Wstawaj! – polecił Grohmann.

Na salę wparował niemiecki lekarz z izby przyjęć, za nim dwóch pozostałych flegerów.

– Herr Unterscharführer, doktor Helmersen przed godziną zakończył obchód. Zostali tylko chorzy z dobrymi rokowaniami.

– Zobaczymy. – Grohmann kopnął butem w pryczę.

Luigi wygrzebał się z barłogu.

– Nie dokończyliśmy porannej rozmowy. Unterscharführer Grohmann zawsze dotrzymuje słowa.

Wyjął pistolet z kabury i strzelił w ogoloną czaszkę. Luigi osunął się na ziemię. Grohmann nachylił się nad ciałem i zabrał sznurek przytrzymujący spodnie. Jeden koniec sznurka przeciągnął Menschowi przez obrozę.

Rozejrzał się po sali. Więźniowie unikali jego wzroku. Rajek i jego towarzysz patrzyli przed siebie. Trzeci fleger spuścił głowę, ale sekundę wcześniej Grohmann pochwycił jego spojrzenie.

– Jak się nazywasz?

– Nie zna niemieckiego, Herr Unterscharführer – wyrwał się Rajek. – Jest dopiero od tygodnia.

– Polak?

– Jawohl, Herr Unterscharführer.

– Będziesz tłumaczył. Spytaj, jak się nazywa.

Rajek przetłumaczył. Fleger, patrząc Grohmannowi w oczy, odpowiedział: „Więzień numer taki a taki...”.

– Pytałem o nazwisko!

A tamten swoje: więzień numer taki a taki...

Od oberkapo po ostatniego muzułmana, wszyscy więźniowie znają podstawową regułę: z chwilą przyjscia do Auschwitz stajesz się numerem bez nazwiska. Najmniejsze odstępstwo podlega surowej karze.

– Nie masz nazwiska? To ja ci powiem: nazywasz się Kupa Łajna.

Dźga flegera palcem w piersi i powtarza raz po raz: Du Drecksack!, Du polnischer Dreck!.

– Za pana przyzwoleniem, Herr Unterscharführer – odzywa się fleger po niemiecku – pod własnym nazwiskiem w Auschwitz mogę wystąpić tylko na ringu.

– Jesteś bokserem?

– Byłem. Tam. – Pokazuje ręką przestrzeń za barakiem.

Grohmann kiwa głową. Nagle spina się i z całej siły wali go pięścią w twarz. Fleger chwieje się, ale nie upada.

– Polnischer Dreck – cedzi Grohmann. – To twoje prawdziwe nazwisko. W niedzielę na ringu wbiję ci je do głowy.

10. Siedem sekund

W PIERWSZEJ chwili po otwarciu wagonów mam wrażenie, że rozwarły się bramy piekieł i wkraczamy do raj. Powietrze! Oddycham pełną piersią, widzę skrawek błękitnego nieba i zieleń drzew. Słońce jakby zmywa z nas smród bydlęcych wagonów. Oczy mi łzawią, przez łzy dostrzegam pięknego niemieckiego żołnierza w pięknym mundurze; Niemiec pochyla się nad leżącym wilczurem, inny mężczyzna delikatnie bierze psa na ręce i prawie biegiem się oddala, widocznie zwierzę potrzebuje pomocy. Kręci mi się w głowie. Słyszę głos Daniela:

– Nie widzę jej! W tym tłumie nawet bym jej nie rozpoznał...

Zdażyłem zobaczyć, jak czyjeś ręce wyszarpują go z wagonu. Daniela porywa ludzki potok, tracę go z oczu. Trzymam się framugi drzwi, próbuję go wypatrzeć. Do wagonu wskakuje grupa mężczyzn. Trzech, może czterech, mam jednak wrażenie, że dopadła nas armia opętańców; ubrani w pasiaste pidżamy, grzmocą nas pałkami, gdzie popadnie, kopniakami i uderzeniami wypychają na zewnątrz, wykrzykując rozkazy po niemiecku i węgiersku:

– Wysiadać, szybko!

– Duże pakunki zostawić, zabierać tylko podręczny bagaż!

– Kobiety na lewo, mężczyźni na prawo!

Ląduję na kimś, gramolę się na nogi, w tej chwili ktoś spada na mnie, przyciska swoim ciężarem. Żebra o mało mi nie pękają. Walczę o oddech, walczę jak zwierzę, zaciekle kluję łokciem nienawistny ciężar, aż się od niego uwalniam. Zrywam się na nogi, nie patrzę za siebie, depczę po kimś, ale znowu mogę oddychać, jestem wolny.

Z przodu miga mi mundurek gimnazjalisty. Próbuję się tam przecisnąć. Żołnierze kolbami karabinów regulują ludzki potok, psy doskakują do maruderów, mężczyźni w pasiastych pidżamach zrzucają z wagonów walizy, plecaki i pakunki, inni pałkami nakierowują zdezorientowanych – mężczyźni na prawo, kobiety z dziećmi na lewo, biją mocniej tych, którzy domagają się wody. Przez głowę przebiega mi zbawcza myśl: trafiłem do zakładu dla obłąkanych. Tak, zaszła pomyłka! Uzbrojeni w pałki chorzy w pidżamach należą do innego świata, dobrzy żołnierze w mundurach za chwilę nas od nich oddziela, wsadzą do wagonów i powiozą na właściwy dworzec, wcześniej jeszcze napoją nas i nakarmią.

Tuż obok mnie powstaje zamieszanie. Jednonogi mężczyzna kuśtykał, podpierając się kulami; pod naporem tłumy stracił równowagę, runął na żwir, dopadły go psy. Puszczam w ruch łokcie, korzystam z tego, że uwaga żołnierzy i mężczyzn w pasiastych jest skupiona na jednonogim, który jak kłoda tamuje rzekę ludzi; przeskakując przez walizki i tobołki, obiegam przeszkodę i zrównuję się z Danielem.

– Walizka została – żali się na mój widok.

– A ja zgubiłem plecak – próbuję go pocieszyć.

– Wiozłem zdjęcia. I książki.

Chwytam go pod łokieć. Choć się nie skarży, widzę, że stąpanie sprawia mu ból, krótsza lewa noga daje się we znaki. Wzdłuż wagonów piętrzą się ciała i bagaże, z otwartych walizek wylewają się ubrania i torby wiktuałów, tu i ówdzie błyszczą oczka

pierścionków, zegarki, złoto. Żołnierze deptają po stertach bagaży, precjoza znikają w skórzanych teczkach.

Patrzę na trupy i dziwię się, że jest ich tak mało. „Zakrawa na cud – myślę – że tyłu z nas przeżyło”. Wyrwani z łóżek i od biur, pozbawieni regularnych posiłków, gazet, czystej pościeli, książek, wieczornej kąpieli i zmiany bielizny już pierwszego dnia winniśmy tę odmianę przypłacić życiem.

– Teraz już wszystko będzie dobrze – wrywa mi się. Zdaję sobie sprawę, jak nieszczerze musiało to zabrzmieć, ale Daniel uśmiecha się z wdzięcznością.

Płyniemy. Jeden potok unosi mężczyzn, drugi porywa kobiety. Mimo wcześniejszych napomnień żołnierzy, mimo instrukcji powtarzanych przez mężczyzn w pasiakach, nawet teraz się zdarza, że ktoś pomyli miejsce albo umyślnie łamie prawo. Żołnierze szybko przywracają porządek: rozdzielają żony od mężów, dzieci zgodnie z wiekiem posyłają na lewą albo prawą stronę. Wdzięczny jestem Goethemu, Schillerowi i Kleistowi, że zawłaszczyli mnie w całości dla siebie! Jestem zarazem dłużnikiem profesora Gábbaiego, bo za jego przykładem w porę zrozumiałem, że dwóch miłości nie należy łączyć; wiedząc, że wcześniej czy później jedną przyjdzie zdradzić, wybrałem naukę i starokawalerski stan. Niewielu tu widzę podobnych do mnie szczęśliwców.

Powoli zaczyna panować coś na kształt porządku. Komu pisane było zostać na zawsze w tyle, ten już tam został, my idziemy dalej. Pochody zwalniają, żołnierze przestają krzyżeć, nawet psy spokorniały. Mężczyźni w pasiakach krążą między nami. Uśmiechają się, przemawiają po niemiecku i węgiersku, jakby udzielali nam przyjacielskiej rady:

– Kto ma jeszcze jakieś pieniądze, biżuterię, inne cenne przedmioty, to lepiej niech teraz je odda.

Patrzemy po sobie; mimo powagi sytuacji chce nam się śmiać: nie sądzą chyba, że trafili na frajerów?

– Niby dlaczego? – pyta ktoś za mną.

– Przecież wam nie będą już potrzebne.

Nie pora nad tym myśleć, bo raptem oba pochody zaczynają się dzielić, część mężczyzn jest kierowana na lewo, część na prawo, to samo dotyczy kobiet. Rozlega się uprzejmy komunikat w obu językach:

– Starzy, chorzy i kobiety w ciąży mogą dalej pojechać ciężarówkami. Kto nie czuje się na siłach, też może do nich dołączyć.

Rzeczywiście, stoją już samochody ze znakiem Czerwonego Krzyża, kolejne wciąż

podjeżdżają. Daniel jakby oczekiwał ode mnie rady, wreszcie sam rezygnuje z jazdy. Znajdują się chętni, by dalszą trasę odbyć wygodnie autem.

Posuwamy się teraz krok po kroku, a jednak niemal nieprzerwanie. Ktoś tam, przed nami, sprawnie kieruje tą ludzką masą. Wreszcie widzę: szykowne zielone mundury, oficerskie insygnia, błyszczące oficerki, pięknie ogolone twarze, na głowach czapki z trupa czaszką. Ruchem ręki jakby wybijają rytm i na ten znak oba spowolnione teraz potoki posłusznie wyrzucają z siebie ludzi jak ryby złowione na wędki – jednych na lewo, innych na prawo.

Jestem na tyle blisko, że wyężdżając słuch, mogę wyłowić pytania i odpowiedzi:

– Wiek?

– Dwadzieścia pięć lat.

– Zawód?

– Stolarz.

– Zdrowy?

– Tak.

Ryba łąduje na prawym brzegu.

Następny:

– Wiek?

– Czterdzieści pięć lat.

– Zawód?

– Urzędnik.

– Zdrowy?

Nie słyszę odpowiedzi, za to widzę, że urzędnik odmaszerowuje na lewo. Brak mi analitycznych zdolności Daniela, nie trzeba jednak matematycznego umysłu, by w krótkim czasie odnotować powtarzającą się prawidłowość: mężczyźni starsi wiekiem oraz ci o widocznych ułomnościach wędrują na lewo; także na lewo trafiają stare kobiety i matki z dziećmi.

Kładę Danielowi rękę na ramieniu. Niedługo kolej na nas.

Wśród kobiet zapanowało ożywienie. Poprawiają włosy, prostują plecy, obciągają zmięte bluzki. Nie spodziewałem się usłyszeć tu Straussa, słuch mnie jednak nie myli. Młody oficer o urodzie południowca gwizdże Nad pięknym, modrym Dunajem; słuch, przyznać muszę, ma doskonały, wychowanie równie nienaganne. Uśmiecha się do kobiet. Podchodzi do jednej i pyta:

– Czy to bliźniaczki?

Unoszę się na palcach. Spostrzegam dwie, chyba pięcioletnie dziewczynki, w identycznych różowych sukienkach.

Kobieta się waha, wreszcie mówi, z trudem dobierając niemieckie słowa:

– Tak. To dobrze czy źle?

– Bardzo dobrze. Zabiorę je do specjalnego przedszkola. Będzie mogła je pani odwiedzać dwa razy dziennie.

Wyczuwam ruch przed sobą i ruszam w ślad za Danielem. Słyszę jego rozmowę:

– Wiek?

– Czternaście lat.

– Zawód?

– Uczeń.

– Zdrowy?

Daniel potakuje i odchodzi, powłóczęc lewą nogą. Kolej na mnie. Patrząc oficerowi w oczy, odpowiadam na pytania:

– Pięćdziesiąt lat.

– Zawód?

– Nauczyciel.

– Zdrowy?

Wyczuwam, że zadał je pro forma, podobnie jak profesor Gábbai podsuwał wciąż nowe zagadnienia nieprzygotowanemu studentowi, choć po minucie wiedział, że delikwent egzamin oblał. Niemcom na wystawienie oceny wystarczy siedem sekund.

Skierowany na lewo, dołączam do Daniela. Obie grupy, lewa i prawa, ruszają dalej, każda w swoją stronę. Zmieszani z kobietami i dziećmi, podążamy pod eskortą kilku podoficerów. Daniel trąca mnie ręką. Idąc za jego wzrokiem, widzę ogrodzone siatką boisko piłkarskie i mężczyzn w pasiakach uganiających się za futbolówką. Daniel pyta z zasepioną miną:

– Jak pan myśli, profesorze, chyba nie będą mnie tu zmuszać do gry w piłkę?

11. Z dziennika untersturmführera Stoop (2)

Jak było! Nie potrafią zapanować nad emocjami. Bodaj choć staraliby się ułatwić nam zadanie. Mam do wykonania pracę – i staram się jak najlepiej wywiązać z nałożonych na mnie obowiązków. Powinni to zrozumieć. Gdyby znaleźli się na moim

miejscu, postępowaliby dokładnie tak samo. Nienawiść nie ma tu nic do rzeczy. Chcę dobrze pracować. Skoro nie mają innego wyjścia, skoro to oni znaleźli się w obozie, nie powinni mi tego utrudniać.

Podoficer sanitarny Klescher jest w Auschwitz prawie od początku istnienia obozu. Wczoraj opowiadał, jak pod koniec czterdziestego pierwszego przywieziono do Birkenau pierwsze partie Rosjan. Birkenau dopiero zaczęło się budować, nawet niemiecka załoga nie miała luksusów. Rusczy jak zwierzęta rzucali się na wszystko, co dawało się zjeść. Żarli żaby i trawę. Nie było z nich wielkiego pożytku, nie mieli siły pracować. Trzeba było się ich pozbyć. Przyszła wiosna i w stawach hodowlanych w sąsiedztwie Birkenau zaczęły masowo zdychać ryby. Co się okazało? Wody podskórne uległy zatruciu trupim jadem. „Czegoś jednak się nauczyliśmy – spuentował Oberscharführer Klescher – krematoria są bezpieczniejsze i bardziej ekonomiczne”.

12. Musztra, szprycy i dezynsekcja

NIEKTÓRE czynności, Mensch przekonał się wkrótce, przychodziły mu z łatwością, jakby wykonywał je od urodzenia. Mimo klucia w bok i krępującego ruchu opatrunku dość pewnie stawiał łapy. Szybko odkrył bogactwo zapachów – ich wielość przytłaczała, ale stopniowo nauczył się rozpoznawać te dla niego najważniejsze. Woń ludzi w pasiakach była jednako mdląca, ludzie w mundurach pachnieli prochem, tytoniem, alkoholem i wodą kolońską. Herr Unterscharführer wzorem innych żołnierzy nosił buty z cholewami. Zalaływało od nich pastą do obuwia i wilgotną ziemią; Mensch wyczuwał też inny związany z nimi odór, którego nie potrafił określić, a za którego przyczyną włos jeżył się na grzbiecie. Unikał ich jak mógł, nawet lekki kopniak zadany obutą stopą sprawiał ból. Nasłuchiwał odgłosu kroków, gdy Grohmann wieczorem nadciągał korytarzem; potrafił ocenić, czy unterscharführer wraca trzeźwy, czy pijany. Wczołgiwał się pod łóżko. Grohmann walił się w ubraniu na pościel i zasypiał. Gorzej, gdy naszła go ochota na musztrę. Mensch nauczył się, że na hier powinien podejść bez ociągania i ze spuszczonego ogonem. Dostał sporą porcję kopniaków, nim zaczął rozróżniać: „podaj łapę”, „leż” i „waruj”. Najtrudniej jednak, pojął już pierwszego dnia, było oglądać świat, mając oczy na wysokości kolan Grohmann. Kiedy zadzierał łeb, widział ściągający mundur pas ze swastyką i wybitymi na klamrze słowami Meine Ehre heißt Treue. Były zawsze w zasięgu wzroku; nie mógł się zasłaniać niepamięcią.

Grohmann brał smycz, przywoływał Menscha i przypinał smycz do obroży. Tej chwili Mensch nienawdził. Obszar wolności skracał się do centymetrów plecionego rzemienia. Od tej pory świat składał się z nakazów, zakazów i kar.

– Mensch, hier! – Grohmann stał przy drzwiach, już w mundurze, trzymając w ręku smycz.

Mensch podszedł ze spuszczonego ogonem, przysiadł i czekał, gotów poderwać się na pierwszy sygnał. Wyszli przed budynek. Wiatr przywiewał skądś drażniący, słodkawy zapach. Zdążyli zrobić kilka kroków wzdłuż klombu z kwiatami, kiedy Mensch poczuł szarpnięcie smyczą. Zatrzymał się. Zobaczył błyszczące oficerki, dopasowane bryczesy i paradny mundur. Przy oficerkach warował czarny owczarek niemiecki.

– Heil Hitler! – Grohmann wyprężył się jak struna.

Obersturmführer Thurnov nie spuszczał z niego wzroku.

– Trzyma pan psa w koszarach?

– Jeszcze nie wydobrzył, Herr Obersturmführer. Psy w boksach źle reagowały na jego obecność.

– Wie pan, że to niedopuszczalne?

– Tak jest, Herr Obersturmführer!

Thurnov ręką w rękawiczce pogłaskał czarnego wilczura po łbie.

– Podobno za bardzo pan Menscha ćwiczył.

– Uczyłem go posłuszeństwa, Herr Obersturmführer.

– Mój Ralf bez bicia jest wystarczająco posłuszny. Chyba że psy oficerów są mądrzejsze od psów podoficerów?

– Nie wiem, Herr Obersturmführer.

– Według pana bez różnicy, czy psa szkoli obersturmführer, czy unterscharführer?

Grohmann się zmieszał. Mensch poczuł ostry zapach potu.

– Tego nie powiedziałem, Herr Obersturmführer.

– W Auschwitz Birkenau pies nikomu jeszcze nie uciekł.

– Mój pognał za zającem. Musiał się zgubić.

– Źle go pan wyszkolił.

– Tak jest, Herr Obersturmführer!

– Za niesubordynację psa obwiniać należy właściciela. Może uważa pan inaczej?

– Herr Obersturmführer, to się więcej nie powtórzy.

– Sprawdźmy.

– Proszę?

– Zobaczymy, co umie.

– Herr Obersturmführer, nie jest jeszcze w pełni formy. Właśnie szedłem z nim na zdjęcie opatrunku.

– Coś mi się zdaje, że pański pies szybciej niż pan zasłuży na Krzyż Żelazny. – Thurnov zdjął Ralfowi smycz. – Bleib! – rozkazał.

Ralf usiadł, nie spuszczał ślepiów z Thurnova. Obersturmführer, nie oglądając się, ruszył przed siebie.

Mensch obserwuje, jak człowiek w paradnym mundurze odpina czarnemu wilczurowi smycz, oddala się spacerowym krokiem, odchodzi na odległość pięćdziesięciu metrów, odwraca się i krótkim Hier przywołuje psa. Mensch wie zatem, co powinien zrobić, kiedy Grohmann, krzyknąwszy gardłowo Bleib!, dołącza do właściciela Ralfa i woła: Hier!.

Kolebiąc się lekko, bo opatrunek wciąż mu przeszkadza, dobiega najszybciej jak może do Grohmanna i przysiada przy jego lewej nodze. Unterscharführer jest zadowolony.

Thurnov bez słowa podnosi kij i zamachnąwszy się, posyła go na otwartą przestrzeń.

– Bring! – wydaje komendę.

Ralf dopada zdobycz i przynosi. Kolej na Grohmanna i Menscha. Z tą próbą Mensch nie powinien mieć problemu. Na komendę Bring! biegnie, za przykładem Ralfa przynosi kij i składa u nóg Grohmanna.

– Herr Unterscharführer – cedzi Thurnov – gdyby trafił pan na front wschodni i zamiast kijem rzucał granatem, byłoby już po panu. Myślałem, że ma pan więcej krzepy w rękach. – Złapał Ralfa na smycz. – Oby w niedzielę poszło panu lepiej.

– W niedzielę? – Grohmann nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Sam komendant Kramer zamierza przyjść, by podziwiać pańskie bokserskie umiejętności. Wieści szybko się rozchodzą. Heil Hitler!

– Heil Hitler!

Na Menscha pada cień – prawa ręka Grohmanna, wyprostowana w łokciu, energicznie się wznosi. Potem, posłuszny smyczy, Mensch biegnie – obok kolczastej siatki, obok kolumny szkieletów w pasiakach, mija niskie budynki, wzdłuż których piętrzą się sterty walizek, plecaków, butów i ubrań, zostawia po lewej stronie solidne domy z kominami i zamaskowane doły, od których wiatr przywiewa z dymem zapach buciorów Grohmanna, wreszcie zanurza się wraz z nim w sień niskiego baraku; w nozdrza uderza go woń środków odkażających.

– Herr Unterscharführer – mówi sanitariusz Rajek, kiedy esesman wchodzi bez pukania do pokoju zabiegowego – muszę pana prosić o cierpliwość. Doktor Helmersen kazał nam przyjąć w trybie pilnym grupę polskich więźniów.

Grohmann rozsiada się na krześle. Mensch kładzie się pod krzesłem, jak najdalej od esesmańskich buciorów.

*

Fleger Rajek krząta się po ciasnej sali, przygotowuje strzykawki z evipanem i chloroformem. Przybywa niemiecki lekarz w kitlu naciągniętym na obozowy pasiak. Za drzwiami narasta szmer podenerwowanych głosów. Rajek uchyla drzwi, po polsku prosi pierwszego pacjenta. Mężczyzna ma około trzydziestu lat, cywilne ubranie jest zabrudzone ziemią, cuchnie dymem.

– Panie doktorze, co z nami będzie? – pyta Rajka z napięciem w głosie. Na widok Grohmanna cichnie.

– Jestem sanitariuszem. – Rajek sadza mężczyznę na krześle. – Pan doktor da wam zastrzyki na wzmocnienie, same witaminy i lekarstwa.

– Panie, pan jesteś Polak – tamten ścisza głos – myśmy widzieli, co się stało z tymi, co z nami przyjechali, sami musieliśmy ich potem za nogi wyciągać i do dołu...

Grohmann i niemiecki lekarz zaczynają się niecierpliwić. Rajek przybiera surową minę. Przygotowując zastrzyk evipanu, mówi:

– Tamci i tak by nie przeżyli. Wy to co innego, jesteście silni i zdrowi. Do obozu trafiają najsilniejsi. Dostaniecie witaminy, żeby się na starcie nie rozchorować.

Wbił igłę w obnażone ramię. Lekarz już czeka z drugą strzykawką. Ledwo mężczyzna zasnął, medyk wprowadza mu chloroform w komorę serca. Otwierają się tylne drzwi, dwóch więźniów pakuje ciało na wózek i zabiera tylnym wyjściem.

Mensch ogląda korowód postaci. Ludzie i sceny powtarzają się, jakby ktoś raz za razem odbijał ten sam obrazek stemplem na papierze. Człowiek wchodzi, dostaje dwa zastrzyki, ciało jest wywożone drugimi drzwiami. Wejście, szpryca, wywózka, wejście, szpryca, wywózka. Przestał liczyć ciała. Grohmann zerka niecierpliwie na zegarek.

Wreszcie na korytarzu zaległa cisza. Teraz te same dwie pary rąk zajmują się Menschem. Przenoszą go na stół, delikatnie zdejmują opatrunek, badają zabliznioną ranę. Lekarz tłumaczy coś Grohmannowi, ten zadowolony kiwa głową. Rajek przyklęka przy Menschu, głaszcze go po łbie. Mensch słyszy tuż nad uchem wypowiedziane po polsku słowa:

– To ty i twój skurwysyński szkop powinniście dostać szprycę w serce!

– Schneller! – ponagla Grohmann.

Fleger Rajek prostuje się i oznajmia, przytakując lekarzowi:

– Alles ist gut, Herr Unterscharführer.

Grohmann zdążył zapiąć smycz i zmierza już z Menschem ku wyjściu, kiedy Rajek zatrzymuje go pytaniem:

– Może chce pan rzucić okiem na trening przed niedzielnymi walkami?

– Trening? Kto dał więźniom wolne od pracy?

– Sam komendant Kramer. Na ringu wystąpią podobno aż cztery pary. Do komendanta przyjeżdżają goście z same go Berlina i niewykluczone, że ich też przyprowadzi.

Po krótkim marszu wchodzi do przestronnego pomieszczenia. Umywalki, prysznicie i domowej roboty worki bokserskie – Mensch poznaje, że trafił do łaźni zamienionej na salę ćwiczeń. Znajomy widok: unik, doskok, lewa prawa, odskok, uderzenia seriami, walka z cieniem. Przy workach uwijają się rozebrani do pasa więźniowie i esesmani. Polski flegler porusza się energicznie jak nakręcona maszynka. Jest proporcjonalnie umięśniony; zbyt krótko żyje w Auschwitz, by wyglądać jak pozostali. Kiedy wyprowadza cios, worek odskakuje niczym piłka. Potrafi się przycziąć, uśpić potencjalnego przeciwnika. Umie rozkładać siły. Punktuje lewym prostym, markuje cios z prawej ręki i kończy piorunującym uderzeniem z lewej. Trener młodzików w warszawskiej Gwardii, Mensch doskonale pamięta, nazywał to „ekonomią ciosu”.

Polak wzorem reszty więźniów nosi wytatuowany na lewym przedramieniu numer obozowy. Ma i drugi tatuaż: wyklutego na piersi czerwono-czarnego jednorożca, który ożywa, gdy flegler napina mięśnie, by sparować atak niewidzialnego przeciwnika albo zadać cios.

– Herr Unterscharführer sam przygotowuje się do walki? – pyta Rajek.

– Ćwiczę ze sparringpartnerem – blefuje Grohmann.

Na zewnątrz Grohmann zapala papierosa. Gwałtownym szarpnięciem kieruje Menscha w stronę pustych torów kolejowych, które ciągną się do głównej wartowni, biegną przez jej bramę i znikają po drugiej stronie. Przed bramą więźniowie z komanda budowlanego ładują na wagonową platformę ciężkie belki. Pracują parami: w równym tempie schylają się, chwytają belkę oburącz, na umówiony sygnał windują ciężar na prawe ramię, posuwają się krok po kroku, by stanąwszy bokiem do pojazdu i wyliczywszy odległość, na „trzy” przerzucić belkę na lorę. Komanda pilnuje mężczyzna z opaską na rękawie pasiastej kurtki. Wcięta w pasie, poszerzana w ramionach, wydaje

się w Auschwitz niemal szczytem elegancji, bryczesy i buty z cholewami dopełniają całości. Dostrzegł już Grohmanna i ze zdwojoną energią okłada więźniów pałką.

Grohmann przywołał go po nazwisku. Kapo podbiegł z czapką w rękę, pałkę trzyma przy nodze, na widok Herr Grohmanna kapo Wuttke promienieje szczęściem. Poważnieje, kiedy unterscharführer zaczyna mówić. Potakuje uroczyście, nie przerywa pytaniami, pozwala sobie co najwyżej na lekkie skrzywienie warg, niech Herr Unterscharführer wie, co zwykły kapo myśli o więźniach zagrażających porządkowi i prawu w pięknym niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz Birkenau.

Mensch z monologu Grohmanna rozumie tylko pojedyncze słowa: Pfleger Szajner, Rebell, polnischer Schwein, schneller, heute Abend, Souvenir.

– Keine Angst – zapewnia kapo Wuttke.

Unterscharführer Grohmann klepie kapo po ramieniu i częstuje go jugosłowiańskim papierosem. Wuttke wraca do pracy, a Grohmann, nie zatrzymując się już nigdzie po drodze, wiezie Menscha prosto ku budynkom psiarni i zamyka go w jednym z wolnych boksów.

*

Od lokatorów sąsiednich boksów oddzielają Menscha ceglane ściany pokryte tynkiem. Zewsząd słyszy wrogie powarkiwania. Kładzie się w miękkim kojcu, na wprost drzwi obciągniętych drucianą siatką. Nadstawia uszu na szczęk otwieranych kłódek. Hałas się przybliża. Przy boksie staje mężczyzna w pasiaku. Zapadnięte oczy w niemłodej już twarzy lustrują pomieszczenie, patrzą na Menscha. Ręce otwierają boks, wydobywają miskę, nakładają jedzenie z kotła i pełne naczynie wstawiają do środka. Zamykają na powrót drzwi.

Mensch rozpoznaje gwarę warszawską, z którą się osłuchał w dzieciństwie w czerniakowskiej kamienicy rodziców ojca, słyszy wypowiedane pod nosem słowa:

– Żryj, niemiecki pomiole, może prędzej zdechniesz. Nawet kapo Müller kaszę z mięsem jada tylko od święta.

Po obiedzie zaczyna się wzmożony ruch. Przychodzą eses mani w podoficerskich mundurach. Psy witają ich radosnym ujadaniem. Wracają do boksów podekscytowane, przynosząc ze sobą drażniące zapachy.

Grohmann zjawia się dopiero pod wieczór. Kierują się do głównej bramy, Grohmann popędza, szarpie smyczą. Przecinają główny plac apelowy. Plac zapełnia się postaciami w pasiakach. Unterscharführer idzie dalej, trasą, którą Mensch zdążył już poznać. Zatrzymują się przed barakami obozowego szpitala. Na zewnątrz w równych

szeregach stoją więźniowie.

„Dezynsekcja – myśli unterscharführer Grohmann – nie ma skuteczniejszego sposobu na wyplenienie robactwa”.

„Roznoszą choroby jak szczury” – krzywi się untersturmführer Stoop, jadąc motocyklem na plac apelowy przed szpitalem obozowym. Myśli z troską o młodą żonę, którą chciałby jak najrychlej odwiedzić w Berlinie, młodej, silnej Niemce, która wkrótce urodzi ojczyźnie zdrowego, silnego Niemca.

Scharführer Hanzlik przywitał się z Grohmannem, pogłaskał Menscha. Stoop dołączył do nich. Już biegną w ich stronę blokowi. W niemieckim obozie koncentracyjnym więzień winien się spieszyć, kto rusza się jak mucha w smole, tego trawi choroba albo zarazek buntu. Blokowi raportują: stan bloku taki a taki, takie a takie numery chorują. Szpital to szpital, Żydzi, Polacy, Francuzi, Węgrzy, Słowacy, Włosi chorują i umierają. Stoop przyjmuje meldunki. Od dołów spaleniskowych przywiewa słodkawy dym.

Grohmann i Hanzlik lustrują szeregi więźniów. Do Grohmanną podbiega mężczyzna w przepasce funkcyjnego i wzburzonym głosem o czymś go informuje. Grohmann zdaje raport Stoopowi, po czym w ślad za funkcyjnym idzie do baraku. Stoop woła do siebie flegera Rajka. Wywołuje kolejny numer. Na środek placu występuje fleger Szajner. Stoop pyta go o coś uprzejmym tonem. Szajner kręci głową. Stoop siecze go szpicrutą po twarzy. Z baraku wychodzi Grohmann, za nim biegnie funkcyjny. Grohmann trzyma w ręku czapkę z dystynkcjami Oberscharführera.

– A więc to tak – untersturmführer Stoop mówi do Szajnera. – Kompletujesz niemiecki mundur. Przygotowujesz się do ucieczki.

Hanzlik mierzy z pistoletu, gdy Szajner rozbiera się do naga. Pod czujnym okiem Grohmanną funkcyjny ogląda spodnie i więzienną kurtkę. Maca obrzeża, fałdy, kołnierz i rękawy. Pruje dolne obszycie w tyle kurtki – i wyjmuje pięciocentymetrowe ostrze wycięte z dna blaszanej miski.

Mensch widzi, jak Grohmann bada ostrze. Podaje je oficerowi. Mówi coś do Szajnera i z całej siły wali go w twarz.

Flegerem zachwiało. Odzyskał równowagę, prawym hakiem walnął Grohmanną w wątrobę i powalił go lewym prostym. Hanzlik i blokowi przygnietli flegera do ziemi. Grohmann szybko się pozbierał, dopadł leżącego i wspólnie z Hanzlikiem zaczął go kopać. Kiedy skończyli, Stoop podszedł z pistoletem i wpakował Szajnerowi dwie kule.

W drodze na kwaterę Hanzlik powiedział do Grohmanną:

– Coś mi się zdaje, że z twojego psa nic już nie będzie. Zupełnie zatracił instynkt.

13. Ktoś kiedyś o tym opowie

PRYZNAJĘ, przez moment i ja uległem czarowi chwili. Upał zelżał, słońce wyostrzało kolory, pąki na drzewach zdawały się tylko czekać na pierwszy deszcz. Droga pod nogami ścieliła się gładko i szło nam się naprawdę dobrze, z rzadka już zwracaliśmy uwagę na więzienne ogrodzenie i wieże wartownicze obsadzone snajperami. Przyjemnie było po tylu dniach jazdy rozprostować nogi. Mało kto narzekał, że kazano nam zostawić bagaże. „Niemcy jednak wiedzą, co robią – niejeden z nas pomyślał. – Inaczej zgoła by się maszerowało z walizami w rękach”.

Esesmani wlekli się w tyle, jakby przestali się nami interesować. Naliczyłem nie więcej niż czterech. Rozpięli kołnierze mundurów i szli jak na wycieczce. Najtrudniejszą część pracy mieli najwidoczniej za sobą. Zawiewał ożywczy wiaterek. Czasem zmieniał kierunek i wtedy docierał do nas drażniący słodkawy zapach. Kojarzył mi się z jatką w Kassie, gdzie spędziłem pierwsze lata dzieciństwa.

Ktoś pierwszy zobaczył dym i zaraz wiadomość się rozniosła. Pokazywaliśmy sobie dwa słupy dymu po prawej stronie i dwie bliźniacze smużki przed nami. Esesmani spostrzegli powstałe wśród nas poruszenie, bo któryś powiedział:

– To dym z cegielni.

Przyjeliśmy to wszyscy za dobrą monetę. Tylko okularnik w kapeluszu, zadziorny typ, który wcześniej rozpowiadał na lewo i prawo, że jest inżynierem i wznosił w Berlinie fabryki, stanął okoniem:

– Akurat! Pokażcie mi tutaj jakiś plac budowy.

– Gotowe cegły wysyła się pociągami do miast w całych Niemczech – wyjaśnił Niemiec cierpliwie jak dziecku. – Moi państwo, tu jednak trzeba pracować. To jest obóz pracy, nie zakład wypoczynkowy.

Ktoś się zaśmiał. Esesman puścił w obieg swoją menażkę z wodą, pozostali poszli w jego ślady. Oczywiście, dla wszystkich wody nie starczyło, ale ludziom humory się poprawiły. Natrzęsalili się z inżyniera mądrali. Jeśli nie liczyć więźniów na boisku, którzy widać zasłużyli sobie na chwilę relaksu, obóz świecił pustkami, widomy znak, że jego mieszkańcy pracują. Jakkolwiek było, minęła dopiero druga.

– To nie cegielnie – odezwał się cicho Daniel. – W cegielniach są dużo wyższe

kominy.

– Widocznie Niemcy opracowali nową technologię – wymyśliłem na poczekaniu.

Esesmanom rozwiązały się języki. Krążyli między nami i rozpytywali, co kto robił przed Auschwitz. Najbardziej byli zadowoleni, słysząc, że obóz pozyskał tylu nowych szewców, krawców i murarzy. Na urzędników, inżynierów, prawników i nauczycieli było mniejsze zapotrzebowanie. „Przyuczycie się – uspokajali esesmani – czasu będzie dosyć”.

Ni stąd, ni zowąd pojawili się wśród nas więźniowie w pasiakach. Można było odnieść wrażenie, że przejęli od esesmanów pałeczkę. Niektórzy mówili po węgiersku.

Mężczyźni się wstydzili, więc kobiety pierwsze zaczęły pytać:

– Po co nas tu przywieźli? Co z nami będzie?

– Będziecie pracować – odpowiadali. – To obóz pracy. Chorzy najpierw trafią do szpitala, kto jest słabszy, dostanie lżejsze zajęcie.

– Co z dziećmi?

– Jest tu przedszkole i szkoła. Bez obawy, jak rodzice rano idą do pracy, dzieci nie zostają bez opieki.

– Panowie, sześć dni jechaliśmy w bydlęcych wagonach bez jedzenia i picia. To nieludzkie!

Więźniowie, nasi węgierscy bracia, uśmiechali się na to i zniżając głos, mówili:

– No więc na własne oczy widzieliście, jak szwabcy cienko przędą. Całe pieniądze idą na wojnę. Długo nie pociągną.

– Nie dali nam kropli wody!

– Zaraz dostaniecie jeść i pić. Tylko najpierw pójdziecie do łaźni.

Wszyscy się ucieszyli. Tylko grupka pejsatych Żydów podniosła lament, bo, wiadomo, tacy jak oni jedzą, piją, a nawet kąpią się koszernie. „Pod nieczystą wodę nie wejdziemy” – marudzili, ale reszta ich zakrzyczała.

– Moi państwo – powiedział najstarszy chyba rangą esesman – zaraz będziemy u celu.

– Całe szczęście. – Usłyszałem głos Daniela. – Nie na moją nogę taki marsz.

– Może coś zaśpiewacie? – zaproponował Niemiec, jakby słowa Daniela dotarły do jego uszu. – Przy piosence lżej się idzie.

Kilku to podchwyciło. Ledwo skończyli śpiewać, nasi bracia w pasiakach zaczęli nas pouczać:

– Kiedy się rozbierzecie, pilnujcie ubrań. Niech każdy zapamięta numer wieszaka,

żeby po kąpeli nie tracić czasu na szukanie rzeczy osobistych.

Kąpiel, woda, jedzenie – te słowa dodawały nam sił. Nawet ortodoksyjni Żydzi mniej kręcili nosem. Wyglądaliśmy na pożałowania godną zbieraninę – starcy, kobiety, kaleki i dzieci, w znoszonych, cuchnących po podróży ubraniach, inni w białych koszulach w porę wyciągniętych z dna walizek; ale czując, że cel jest blisko, prostowaliśmy plecy i wydłużaliśmy krok, prezentowaliśmy się niemal pięknie, każdy z gwiazdą Dawida na piersiach, żółtą gwiazdą noszącą imię żydowskiego króla, która wbrew intencjom Niemców czyniła z nas naród wybrany.

Daniel kuśtykał, oszczędzał krótszą nogę. Zostaliśmy obaj nieco w tyle. Kroczący obok esesman spojrzał ostro raz i drugi; zorientował się w sytuacji i przestał patrzeć podejrzliwie. Mając nad sobą pogodne majowe niebo, choć, wielka szkoda, zasnuć dymem z cegielni, mijaliśmy długie, zamaskowane kocami ogrodzenie. Wtem silny podmuch wiatru na moment rozchylił zasłonę. Ile mogło to trwać? Sekundę, dwie? Przez ten czas zobaczyłem dosyć. Daniel niczego nie spostrzegł, został mu oszczędzony widok nagich ciał wystających z dołu. Esesman w dwóch skokach był przy mnie. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Żaden z nas nie wypowiedział ani słowa. Otoczyłem Daniela ramieniem i, niezatrzymywani, poszliśmy dalej.

Dochodziliśmy do małego lasku, kiedy usłyszeliśmy: trzeba czekać. Wiadomość przyniósł mężczyzna w pasiaku. Wyłonił się znikąd i zatrzymał czoło pochodu słowami:

– Drodzy państwo, w łaźni powstał zator. Ludzi tyle, że nie wyrabiamy z kąpielą. Musicie poczekać na swoją kolej.

Pojawiło się więcej Niemców. Uzbrojeni w pistolety maszynowe, każdy z wilczurem na smyczy, rozstawili się na obrzeżach lasku, blokując drogę do budynków, gdzie, łatwo się było domyślić, znajdowała się łaźnia. Ludzi nawet to nie zdziwiło: wiadomo, przy takiej masie trzeba pilnować porządku, zawsze znajdzie się kilku, którzy chcieliby dostać się do kąpeli poza kolejką.

Siadaliśmy w cieniu drzew, w porośniętych świeżą trawą miękkich rozpadlinach. Niektórzy jak na pikniku rozsypywali tobołki z resztkami jedzenia. Ten i ów spoglądał na zegarek: czy aby na pewno do wieczora uwiniemy się ze wszystkim? Dobrze by było następną noc spędzić w łóżku.

Inżynier znowu zaczął biadolić.

– Mnie nie tak łatwo oszukać! – podniósł głos. – Ten smród wcale nie pochodzi z cegielni.

– Zgadza się – odparli esesmani. A nasi węgierscy bracia dodali: – Palimy śmieci

oraz szmaty i stare ubrania. Nie macie państwo pojęcia, jakie łachmany niektórzy zakładają na drogę.

– Żadna tkanina tak nie śmierdzi! – upierał się inżynier. – Nawet bandaże i szpitalne opatrunki palą się inaczej.

Słowa inżyniera u niektórych znalazły posłuch. Ale naraz poszła wieść: aby zrekompensować nam czekanie na kąpiel, już teraz dostaniemy jeść i pić. Na wezwanie esesmanów kilka osób zgłosiło się do roznoszenia kotłów z jedzeniem. Niemcy poprosili też o pomoc inżyniera: przy okazji niech sam wszystko obejrzy, przekona się, że rozsiewa plotki.

Przyniesiono kotły z jedzeniem i kawą. Inżynier nie wracał.

– Jak wpadł do kuchni, to już nie chciał wyjść – wyjaśnił nam Węgier w pasiaku. Skrzywił się. – Trudno go oderwać od żarcia.

Zupa nie każdemu smakowała, mimo to mało kto narzekał. „Wszystko przez ten pośpiech – tłumaczyli esesmani, a węgierscy więźniowie przytakiwali. – Od jutra życie w obozie, jedzenie i cała reszta, powinno się unormować”. „Poza tym – dodawali Węgrzy sami z siebie – jeszcze nie zaczęliście pracować”.

Daniel nastawił się na wkuwanie niemieckich słówek.

– Żeby czas szybciej płynął – przekonywał. – Sam pan obiecał, profesorze.

Ze ściśniętym sercem słuchałem, jak powtarza za mną, a potem sam wylicza z pamięci: pociąg, wagon, stacja, żołnierz, więzień, woda, zupa, kawa, cegielnia, praca, lasek, łaźnia.

Zjawił się oficer z aparatem fotograficznym. Chodził od grupki do grupki, życzliwie zagadywał i robił zdjęcia. Rabini, dzieci, starcy, kaleki, żydowskie matrony w perukach i sztywne damy ubrane wedle najnowszej paryskiej mody – wszyscy interesowali go w jednakowym stopniu, jakby postanowił uwiecznić na błonie fotograficznej cały dzisiejszy transport. Młoda kobieta poprosiła, czy mógłby załatwić choć kubek gotowanego mleka. Miała w koszyczku butelkę ze smoczkiem, mąż trzymał na ręku niemowlę. Z domu zabrali budzik, żeby przypominał o porze karmienia. Budzik dzwonił regularnie, ale mleko dawno się skończyło. Niemiec smutno potrząsnął głową, pstryknął zdjęcie i poszedł dalej.

Czas płynął. Znowu zaczęło się ogólne narzekanie: że trzeba czekać, w pobliżu nie ma toalet, przez dym z cegielni chwilami nie sposób oddychać. Okazało się, że niepotrzebnie się niecierpliwimy.

– Proszę państwa, to już koniec waszej męczarni – zakomunikował jeden z

esesmanów, a węgierski więzień przełożył jego słowa. – Idziemy do łaźni. Dla państwa dobra prosimy o utrzymanie porządku.

Gdy wyszliśmy z lasku, ukazał się nam niski, długi, murowany budynek. Z dwóch kominów unosił się w niebo dym. Ten widok niektórych zdenerwował:

– To aby na pewno łaźnia?

– Palimy w piecach – szybko odparli nasi węgierscy bracia – żeby ogrzać wodę na kąpiel.

Na spotkanie wyszedł nam oficer. Musiał być wysokiej rangi, bo esesmani od tej pory chodzili jak w zegarku. Czekając, aż wszyscy się zbierzemy, pytał na wrywki, kto jaki ma zawód.

– Ślusarz? Doskonale. Potrzebujemy dobrych ślusarzy. Po kąpeli proszę się do mnie zgłosić.

– Jestem szewcem z dwudziestoletnią praktyką.

– Dla szewca z takim doświadczeniem roboty w obozie nie zabraknie. Już po wszystkim proszę się u mnie zameldować.

Potem zaczął nas instruować, co i jak mamy robić, żeby cała procedura przebiegała jak najsprawniej. Zupełnie niepotrzebnie, wiedzieliśmy to już przecież od naszych węgierskich przewodników.

– Czeka was kąpiel i dezynfekcja – mówił. – Nie chcemy w obozie żadnych zarazków. Ubrań proszę nie rozrzucać, tylko starannie poskładać. W rozbieralni każdy wybierze sobie wieszak. Proszę zapamiętać numer, żeby potem nie było zamieszania. Buty wiążemy sznurowadłami, wtedy się nie pogubią. Pieniądze, cenne przedmioty proszę przed wejściem do łaźni oddać nam do depozytu. Będziecie mieć pewność, że nic nie zginie.

Utworzyła się kolejka tych, którzy mieli coś do oddania. Daniel pociągnął mnie za rękaw.

– Panie profesorze, mam przy sobie szwajcarski suwak logarytmiczny. Powinienem oddać?

– Zatrzymaj.

– A jak zginie?

– Kupię ci nowy.

Kiedy przychodzi moja kolej, kładę na stoliku przed oficerem zegarek i portfel, po namyśle dorzucam amerykańskie wieczne pióro. Potem, patrząc mu w oczy, mówię:

– Jestem nauczycielem gimnazjalnym, uczę niemieckiego. Mam doktorat z literatury

niemieckiej. Znajdzie się i dla mnie jakaś praca?

Obrzuca mnie szybkim spojrzeniem, ale już biegnie wzrokiem dalej, bada kolejkę, która zdaje się nie mieć końca.

– Naturalnie – odpowiada – przy takiej liczbie dzieci zmuszeni będziemy poszerzyć szkołę o nowe klasy.

Już niedługo staniemy się na zawsze bezimienni. Jedyne, co mogę zrobić dla siebie i Daniela, dla tylu bezimiennych Żydów, dla takiej nieprzebranej masy ludzi, to sprawić, by Rilke choć na chwilę stał się nam nagrobkiem.

– Na pewno zna pan Rilkego – podejmuję szybko, by Niemiec nie zdążył mi przerwać. I wybieram kilka zdań z po wieści, którą dawno temu opanowałem na pamięć: – „Znakomity ów hotel jest bardzo stary, już za czasów króla Klodoweusza umierano tu w paru łózkach. Teraz umiera się w pięćset pięćdziesięciu dziewięciu. Naturalnie fabrycznie. Przy tak znacznej produkcji poszczególna śmierć nie jest wykonana szczególnie dobrze, ale nie o to przecież chodzi. O masę chodzi” ERLINK

I z tym go zostawiam. Nie wiem, czy zetknął się z Rilke, ale by zrozumieć, wystarczy znać niemiecki.

Wchodzę z Danielem do rozbieralni. Kiedy ostatni Żyd z pociągu przekracza próg łaźni, zamykają się ciężkie drzwi. Chciałbym móc o tym kiedyś napisać. Wiem, że to niemożliwe. Ale moja historia, historia Daniela, nie jest jedyna, ktoś kiedyś na pewno o tym opowie.

14. Węgiel i złoto

– DZIEŃ W DZIEŃ po dwa, trzy transporty! – zachnął się Abram Boskovic. – Dziś przekimałem tylko dwie godziny.

Ignátz Czigler się zaśmiał. Nie przerywając pracy, za pytał:

– Od dawna tu jesteś?

– W sonderkommandzie? Dwa tygodnie.

– Posłuchaj, Abram. Z pracy w sonderkommandzie zwalnia tylko komin. Pracuj, jedz, pij i nie myśl, co będzie jutro. Jak nikomu nie podpadniesz albo nie zachorujesz, masz przed sobą jeszcze całe trzy, może nawet cztery miesiące życia.

– Przez cztery miesiące wiele może się zdarzyć. Niemcy przegrają wojnę. Albo ktoś ukatrupi Hitlera.

– Albo zabraknie węgla i wtedy całe nasze sonderkommando poślą do gazu.

Abram Boskovic szczypcami rozwarł szczęki otylej Żydówce. Błysnęły złote zęby. Wyrwał je, wrzucił do skrzynki, żelaznym drągiem zepchnął ciało do dołu. Wyprostował plecy.

– Jakiego znowu węgla?

– Bo my, Abram, jesteśmy jak górnicy. Kiedy kończy się węgiel, górnicy przestają być potrzebni. Módl się, żeby transporty prędko nie ustały.

Dół spaleniskowy, oddzielony prowizorycznym, zamaskowanym ogrodzeniem, był tylko do połowy wypełniony. Żydów przywiezionych dwiema ciężarówkami z jakiegoś niewielkiego getta w Polsce nie opłacało się trzymać w obozie do czasu, aż nastąpi przerwa w transportach z Węgier. Z rozstrzelaniem Niemcy uporali się w dziesięć minut, spalenie stu pięćdziesięciu ciał zajmie dużo więcej czasu.

– A co tu robi ta szwabska gadzina? – Czigler nogą trącił trupa.

– Wuttke? – doszedł do nich David Kovacs, kapo sonderkommanda obsługującego czwarte krematorium. – Chciał dać dyla z obozu. Tak mówią.

– Wuttke i ucieczka? Gdzie miałyby lepiej?

– Ktoś go wydał.

Uwijali się w sześciu. Przed wysłaniem trupów do dołu zabierali pierścionki, kolczyki, obrączki i złote zęby. Na widok nadjeżdżającej rolwagi z jeszcze jednym ciałem zrobili sobie przerwę. Abram Boskovic spojrzął i zzieleniał.

– Isak Bribek? Przyjechaliśmy z Miskolca jednym trans portem... Co się stało?

– Rzucił się na druty – wyjaśnił Kovacs. – Wczoraj przywieźli jego żonę z dwojgiem dzieci. Czekali z innymi w lasku przed czwartym krematorium na swoją kolej, zobaczyli go i podbiegli. Załatwił im jedzenie i picie. „Co z nami będzie?” – pyta jego żona. „Teraz pójdziecie do łaźni, wykąpiecie się, dostaniecie czyste ubrania. Zobaczymy się na kolacji”. Dał im mydło, ręczniki i sam ich zaprowadził. Od tamtej pory do nikogo słowem się nie odezwał. Zjadł jeszcze kolację, noc przespał, a dziś z samego rana poszedł z sobą skończyć.

– Co z nim zrobimy? – zaczął biadolić Boskovic.

– Jak to co? Spalimy.

– Uwaga! – syknął Czigler.

Od strony budynków szpitala zmierzał Ernst Grohmann z psem. Ze zdwojoną energią wzięli się do pracy. Kiedy Grohmanna dzieliło od nich dziesięć kroków, Kovacs przerwał robotę, krzyknął Achtung! i podbiegł do esesmana.

– Herr Unterscharführer, kapo sonderkommanda czwarte go melduje...

Grohmann przerwał mu niecierpliwie:

– Gotowe?

– Jawohl, Herr Unterscharführer, już dziś może pan iść odebrać.

Grohmann ukucnął i zanurzył rękę w skrzynce ze złotem.

– Tylko tyle?

– To nie był duży transport, Herr Unterscharführer...

– Otwórz gębę!

Kovacs posłusznie rozdziawił usta. Grohmann stanął o krok od niego i wskazując palcem, zaczął na głos rachować. Doliczył do sześciu, kazał Kovacsowi powtórzyć sechs, wyjął pistolet i nacisnął spust.

– Du Schweinehund! – krzyknął do Cziglera. – Dorzuć jeszcze te sześć.

Pociągnął Menscha za sobą. Mensch zdążył jeszcze zobaczyć, jak mężczyzna w pasiaku nachyla się nad zabitym i szczypcami rozwiera mu usta. Mignął mu także kapo Wuttke, jeszcze wczoraj paradujący w bryczesach i eleganckiej kurtce w więzienne pasy, ten sam kapo Wuttke, który przy wagonowej platformie z taką życzliwością odniósł się do prośby unterscharführera Grohmann; leżał teraz nad krawędzią głębokiego wykopu, czekając na swoją kolej.

Abram Boskovic usiadł na ziemi i patrzył, jak Czigler z pomocnikami polewa ciała benzyną i podkłada ogień. Rozpłakał się.

– Nie potrafię patrzeć im w oczy.

– Nauczysz się – uspokajał Czigler.

– „Teraz się wykąpiecie, a potem dostaniecie jeść i pić”. Nie umiem kłamać. Kiedy tak do nich mówię, na pewno widać to po mnie.

– To tylko praca, Abram. Jeśli chcesz jeszcze żyć, musisz się nauczyć tak to sobie tłumaczyć.

– Zabił Kovacsa. Wziął i zastrzelił. Na moich oczach. A ja się cieszę, że zabił jego, a nie mnie. Ignátz, czy to normalne? Może nie jestem już człowiekiem?

– Chcesz żyć. Jak długo zależy ci na życiu, tak długo jesteś człowiekiem.

*

Wyszli od strony budynków kanady. Grohmann skierował się do przybudówki przylegającej do jednego z domów, pchnął drzwi i wszedł do środka. Na jego widok od dobrze oświetlonego stołu poderwał się starszy mężczyzna w białym kitlu narzuconym na więzienny pasiak.

– Masz? – Grohmann szarpnięciem przyciągnął Menscha do nogi.

– Jedną chwileczkę, Herr Unterscharführer. Już przynoszę.

Staruszek pokuśtykał za drewniany parawan. Grohmann z nudów krążył po pokoju, oglądał eksponaty ustawione w szklanych gablotach i na metalowych szafkach. Cztery duże słoje wypreparowanych ludzkich oczu, opatrzone opisem sporządzonym ręką doktora Mengelego, stały na wysokiej drewnianej skrzyni, gotowe do wysyłki na adres doktor zoolog Kariny Magnussen w Berlinie. Minął zdeformowane szkielety karłów i zatrzymał się przed dwoma szklanymi pojemnikami, na których zawartość czekał berliński Instytut Antropologii, Nauki o Dziedziczeniu i Eugeniki im. Cesarza Wilhelma: zanurzone w formalinie głowy cygańskich bliźniąt były nakierowane zamkniętymi oczami na rząd ozdobnych abażurów, pudełek, podstawek i bibelotów z wyprawionej skóry. Grohmann przeciągnął palcem po szkle w poszukiwaniu kurzu.

Wrócił stary, ostrożnie niosąc różowy abażur ozdobiony czerwono-czarnym rysunkiem jednorożca.

– No, no! – Grohmann cmoknął.

– Cudo, co? Proszę mi wierzyć, Herr Unterscharführer, narzeczonej z pewnością się spodoba.

Grohmann otworzył drzwi i stanąwszy za progiem, obejrzał różowy abażur w świetle dnia.

– Kolorki jak żywe – przyznał.

– Solidna robota. Do preparacji skóry użyłem mieszanki własnej produkcji. Na pewno długo będzie państwu służyć.

Mensch patrzył, jak mężczyzna starannie pakuje abażur do kartonowego pudła.

Grohmann zanurzył rękę w kieszeni munduru, położył na stole dwa złote zęby, zabrał pudło i wyszedł z Menschem na zalaną słońcem obozową ulicę zagraconą stertami nierozpakowanych walizek.

15. Toast za cyklon B

– ZA CO pijemy? – Jürgen Hanzlik, wznosząc kieliszek, strącił łokciem butelkę ze stołu.

– Urznąłeś się jak świnia! – Stoop się zaśmiał. Wyjął paczkę papierosów, poczęstował Grohmana i Hanzlika.

– Jawohl, Herr Untersturmführer. Jestem pijany jak świnia.

– Świątujemy awans Grohmana, nie twój. To on powinien się ululać.

Ernst Grohmann zastukał widelcem w kieliszek.

– Niemiec nigdy się nie upija.

– Sam nie odpuściłeś żadnej kolejki – wybełkotał Hanzlik. Zapalił papierosa i się zaciągnął.

– Niemiec nie upija się jak świnia.

– Że niby ja jestem świnia?

– Panowie! – krzyknął mitygująco Stoop. – Po co zaraz brać się za łby? Scharführer Hanzlik, siad!

– Herr Untersturmführer... – Grohmann powiesił kurtkę munduru na oparciu krzesła.

– Prędej ja nauczę Menscha otwierania szampana niż pan Hanzlika moresu.

– Powiedz mi, Ernst – Stoop wyjął ze skórzanej teczki nową butelkę – po cholere wszędzie ciągasz z sobą to bydlę?

– Strasznie zdziczał. – Grohmann wydmuchał kłęb dy mu. – Muszę go na powrót ucywilizować.

– Wobec tego, za Menscha! – Stoop zrobił błazeńską minę.

Hanzlik dźwignął się na nogi.

– Może jestem pijany jak świnia, ale nie jestem skończoną świnia. Wznoszę toast za Führera. I za zwycięstwo.

– Za Führera! – obaj wzniesli kieliszki.

Wypili. Hanzlik otarł pot z czoła. Wyjął z portfela rodzinne zdjęcia i przy ich oglądaniu się rozkleił.

– Szczęściarz z ciebie, Ernst – wychrypiał. – Całe siedem dni urlopu w Berlinie. Ja od gwiazdki nie widziałem dzieci.

– Przyrzekłem sobie, że ożenię się dopiero po wojnie – burknął Ernst.

– Koledzy! – Hanzlik drżącą ręką napełnił kieliszki. – Wznieśmy toast za szczęście Ernsta i jego przyszłej żony. Czyli za szybki koniec wojny.

– Poczekaj – powstrzymał go Grohmann. – Wstał od stołu i wyciągnął prawą rękę w stronę portretu Führera na ścianie. – Najpierw wypijmy za cyklon B.

Stoop zatrzymał się z kieliszkiem przy ustach.

– Tak? – Patrzył pytająco.

– Czysta, masowa produkcja. Nikt jeszcze niczego lepszego nie wymyślił. – Grohmann, nie czekając na nich, wychylił kieliszek. – Kameraden, z cyklonem B

szybciej dojdziemy do zwycięstwa.

– Tępi my żydowskie robactwo, Ernst – powiedział Stoop. – Co wspólnego ma dezynsekcja z wojną na froncie?

Jürgen Hanzlik odstawił kieliszek z wódką.

– Z całym szacunkiem, Herr Untersturmführer, Ernst ma rację. Pan w czterdziestym pierwszym siedział za biurkiem, a ja walczyłem na Wschodzie. Żydów zatrząsienie. Zapędzaliśmy ich całymi rodzinami do lasu na rozwałkę. To dopiero była robota! Niektórym chłopcom już pierwszego dnia puszczały nerwy. Tylko z mojej kompanii dwóch trzeba było odesłać do domu. A tu? Praca w rękawiczkach.

– Za cyklon B – zgodził się Stoop. – Za zwycięstwo.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich hauptscharführer Rubusch. Rozejrzał się, nie przekraczając progu.

– Tu jesteś, Grohmann! Wracam z Krakowa i co słyszysz? Unterscharführer Grohmann dochrapał się stopnia scharführera! Więc idę do kantyny, żeby opić z Grohmannem awans, a mendi nie ma. Zadekował się we własnym pokoju!

– W kantynie za dużo gęb – burknął Grohmann.

– Oficerskich! – Stoop się zaśmiał.

– Nie każdy oficer to menda – skomentował Grohmann, spoglądając na dystynkcje Stooa.

Rubusch wyjrzał na korytarz i z powrotem zapuścił żurawia do pokoju.

– Może cię ucieszy, że idąc tutaj, widziałem Thurnova w kabriolecie komendanta. Wrócą nie wcześniej jak jutro rano.

– Mogłeś ich zaprosić! – zażartował Hanzlik.

– Walther, co tak sterczysz w progu? Skoro przylazłeś, to włącz. – Grohmann wyjął z szafki czwarty kieliszek i nalał wszystkim.

– Mam prezent.

– Dawaj.

Rubusch wycofał się na korytarz. Po chwili wrócił, prowadząc przed sobą postać w mundurze.

– Panowie – energicznie wyrzucił do przodu prawą rękę – przedstawiam SS-Aufseherin Gertrudę Müller.

– Jaka z niej obozowa strażniczka? Przecież to Żydówka.

– Żydówka, Herr Untersturmführer? Po czym pan poznaje?

– Po oczach.

– Ja się jej w oczy nie wpatrywałem. Ma cycki jak ta lala. I tyłek nie gorszy od aryjskiego.

– Rubusch, ty się doigrasz.

Rubusch nalał sobie wódki, wypił. Zakąsił kielbasą, otarł usta rękawem i ponownie napełnił kieliszek.

– Że nie dbam o czystość rasy niemieckiej? Mundur leży na niej lepiej niż na stuprocentowo aryjskiej Frau Drechsler.

– Zaraz ci, Walther, rozbiję butelkę na głowie – wymamrotał Hanzlik. – Ani słowa o Elsie Drechsler. Jak uparła się kiedyś mnie całować, to tym swoim haczykowatym nosem mało mi wąsów nie wyrwała.

– Nieźle podkarmiona. – Stoop dźwignął się od stołu i podszedł do kobiety. – Ty ją tak rozpieszczasz?

– To jeszcze niedobitki z transportu holenderskiego. – Hauptscharführer jednym haustem opróżnił kieliszek.

– Nie dziwota, że się uchowała. – Stoop rozpiął jej górne guziki munduru i wsadził rękę za materiał. Odkoczyła. – Co, dziewica?

– Może być i dziewica, wedle życzenia.

– Nazywa się jakoś?

– Może być Hannah?

– Zaraz, Walther, to miał być prezent dla mnie – zaprotestował Grohmann.

– Miłością trzeba się dzielić, Herr Unterscharführer.

– Scharführer, jeśli łaska.

– Właśnie, za co cię awansowali?

– Przyszła moja kolej.

– Ernst wykrył spisek – włączył się Stoop. – Jakiś polski więzień przygotowywał grupową ucieczkę.

– Brawo, Ernst.

– Do spisku wciągnął nawet niemieckiego kapo. U kapo znaleźli pistolet i mundur esesmana.

– SS-Scharführer Grohmann – Rubusch pchnął kobietę w jego stronę – ojczyzna potrafi swoim żołnierzom okazać wdzięczność. Ernst, nie jak zwierzę! Hannah najpierw pokaże nam coś ekstra. Tańczyła w pierwszym zespole baletu amsterdamskiego. Hannah!

Zdjęła kurtkę munduru. Pod spodem miała tylko kurewski czerwony biustonosz.

Stoop zatupał buciorami.

– Herr Hauptscharführer... – Odwróciła do Rubuscha. – Pamięta pan o swojej obietnicy?

– Hauptscharführer Rubusch dotrzymuje słowa. – Dosiadł się do pozostałej trójki, przy stole miał lepszy widok.

Hannah w tańcu zaczęła się rozbierać. Grohmann poderwał się, żeby zapalić wszystkie światła. Poruszała się lekko, jakby w rytm muzyki, patrzyła w podłogę. Stoop przestał tupać. Wychylony do przodu, chłonał widok.

*

Najwięcej ubawu mieli przy Jürgenie. Hanzlik trzy razy próbował, na próżno. Zaczęli mu w żartach dokuczać. „No, chłopie – wyrwał się Stoop – do żony nie masz po co wracać”. Jürgen zaczął bić dziewczynę po twarzy. Tak się zawziął, że we trzech musieli go od niej odciągnąć.

– Wszystko przez to cholerne bydlę! – wrzeszczał, pokazując Menscha. – Gapił się na mnie.

– Uchłałeś się i tyle. – Stoop kończył doprowadzać mundur do porządku. – Wóda to nie szampan. Bierz przykład z Francuzów.

Hanzlik już tego nie usłyszał. Osunął się na podłogę, pod głowę podłożył łokieć i zasnął.

Rubusch poszedł odprowadzić dziewczynę do baraku. Kiedy wrócił, ściskając pod pachą tobołek z mundurem, Grohmann i Stoop kurzyli papierosy przed budynkiem koszar. Dołączył do nich.

– Której strażniczce to zwędziłeś? – Stoop pokazał mundur.

– Nieważne. Do rana będzie spać jak zabita. I jak, Herr Scharführer, zadowolony z nagrody?

Grohmann rzucił niedopałek i przydusił butem. Niebo wypełniały gwiazdy. Nabrał powietrza w płuca. Po raz pierwszy od tygodnia dymiły kominy tylko dwóch z czterech krematoriów.

– Dziękuję. Walther, co takiego jej obiecałeś?

– Że załatwię przeniesienie jej dziecka z przedszkola na blok kobiecy.

– W Birkenau nie prowadzimy przedszkola. – Grohmann się zaśmiał. – Kiedyś będziesz musiał jej powiedzieć.

– Nie muszę. Jutro idzie do gazu.

– Przejadła ci się?

- Zaszła w ciążę. To już trzeci miesiąc.
- Panowie – przerwał im Stoop – zajrzemy do kantyny?
- Idę spać – odparł Grohmann. – Od rana mam dyżur na rampie. – Szarpnął smycz i Mensch poderwał się na cztery łapy.
- Za to pojutrze w Berlinie. – Rubusch westchnął. – Jak ja ci zazdroszczę! Wciąż trzymasz psa na kwaterze? Nie boisz się, że ktoś się przyczepi?
- Sam mówiłeś, że Thurnov pojechał z komendantem i wróci dopiero jutro.

16. Z dziennika untersturmführera Stooopa (3)

Pierwszy śmiałem się z Hanzlika, rechotałem, że nie sprawdził się jako mężczyzna – choć bynajmniej nie było mi do śmiechu. Po cichu przyznawałem Jürgenowi rację. Bydlę patrzyło, jakby wzrokiem chciało człowieka zabić. Coś się kundłowi we łbie poprzestawiało. To już nie ten sam pies co przed zniknięciem. Może zasmakował wolności? Nawet zwierzaka nie wolno na chwilę spuszczać z oka.

A dziewczyna od Rubuscha niewarta zachodu. Ciało ładne, ale leżała jak kłoda. Rubusch zanadto ją rozpuścił.

Zaszedłem niespokojny do Kramera. Ponoć z Berlina wyszło już oficjalne pismo w sprawie przeniesienia Franza do Auschwitz. Kramer osobiście się dowiadywał przez telefon. Tak w każdym razie twierdzi, a nie mam powodu mu nie wierzyć.

Podziękowałem. Daj Boże każdemu takiego komendanta! Boję się tylko, żeby Thurnov czegoś nie wystrugał. Obersturmführer lubi dla czystej przyjemności robić ludziom na złość.

Wychodząc od komendanta, napatoczyłem się na Bogera. Nadal węższy wokół spisku wykrytego przez Grohmanną. Patrzy na mnie wilkiem. „Z martwego więźnia – piekli się – nawet gestapo niczego nie wyciśnie”; a Boger właśnie mnie obwinia za uniemożliwienie śledztwa. Że niby bezmyślnie pociągnąłem za spust. Zaciskam zęby, bo co mam odpowiedzieć. Przecież nie wypalę: „Herr Oberscharführer, miał pan w ręku Wuttkego i gówna pan wskórał”. W obecności Bogera obnoszę się z głupkowatą miną. Przy gestapo lepiej wyjść na durnia niż spiskowca.

Dziś, przydybawszy mnie w komendanturze, wyskoczył z taką gadką:

„Coraz mniej prawdziwych żołnierzy, Herr Untersturmführer. W tym miesiącu już drugiego wyekspediowaliśmy na front. Morale bliskie zeru. Odmawiają zabijania

żydowskich bękartów. Że to niby tylko dzieci. – Zapalił papierosa, mnie nie poczęstował. – Panu też zdarzają się podobne wątpliwości?”. Zaszło mi w gardle. Odparłem: „Nigdy, Herr Oberscharführer. Wróg to wróg”. „A co pan by takiemu żołnierzowi poradził?”. Krew momentalnie uderzyła mi do głowy. Myślałem nad odpowiedzią, zdawałem sobie sprawę, że od tego, co orzeknę, zależy zapewne powodzenie moich zabiegów o sprowadzenie Franza. „Powiedziałbym tak: Dzisiaj to dziecko, ale jak dorośnie, będziesz miał w nim śmiertelnego wroga. Każdy Żyd przychodzi na świat przepełniony nienawiścią do Niemców. Bo nienawiść mają we krwi”.

Milczał. Czulem, że chce mnie o coś jeszcze zapytać. Zaśmiał się sztucznie i tylko stwierdził: „Dopóki mamy takich żołnierzy, dopóty nie przegramy tej wojny”.

Wieczorem selekcja w rewirze kobiecym. Dwie godziny wcześniej przyjmowałem transport na rampie i dosłownie padałem z nóg, ale doktorowi Mengelemu nie mogłem odmówić. Na szczęście Mengele ma dobrą rękę, poszło jak z płatka. Swoją drogą, pierwszy raz spotykam lekarza tak oddanego sprawie. Gdyby to było fizycznie możliwe, nie odpuściłby sobie żadnej selekcji na rampie.

Grohmann ma rację: z cyklonem B szybciej dojdziemy do zwycięstwa.

Ważne: postarać się, by Franz choć na pierwsze tygodnie dostał jakieś mniej męczące zajęcie.

17. Sport na rampie

NA RAMPIE atmosfera była niemal senna. Więźniowie z komanda Kanada pod okiem kilku strażników rozstawili się wzdłuż torów, puste jeszcze ciężarówki stały w gotowości na końcu rampy. Nadjechała obsada esesmanów. Z nudów kazali pasiakom ćwiczyć: pady, żabki, turlanie. W końcu i to im się znudziło. Zaczęło się odliczanie czasu. Wszyscy spoglądali na wciąż puste tory i na nadciągające od wschodu chmury. W drodze był duży transport Żydów z Budapesztu i okolic, szykowało się robota dla Sonderkommand wszystkich czterech krematoriów. Jeśli spadnie deszcz, gruba powłoka dymu na długo zasnuje niebo nad obozem.

Grohmann nie żałował sobie rano wody kolońskiej. Zerkając co rusz na główną bramę, jakby mógł w ten sposób przyspieszyć ukazanie się wagonów, wdychał intensywną woń kosmetyku. Zapach kojarzył mu się z toaletką w berlińskim mieszkanku Lizy. Paradny mundur z dystynkcjami scharführera wisiał w koszarach w szafie,

wyszykowany na jutrzejszą podróż do Berlina. Grohmann wiele sobie obiecywał po berlińskim urlopie. Liza, był tego pewny, zgotuje mu gorące przyjęcie. Śniadania, kolacyjki, obiady z czterech dań. Liza doskonale gotowała. Miała niezgorsze ciało. Przez pierwszy dzień prawie nie będą wychodzić z łóżka.

Koniec wojny blisko, pora się ustatkować. Gdyby wierzył, że w wieku czterdziestu lat Liza nie roztyje się jak jej matka, może wiązałyby z nią małżeńskie plany. Do czego to podobne, by major Grohmann, ba, może nawet pułkownik, na przyjęciach dla rodzin oficerów pokazywał się w towarzystwie pułkownikowej grubej jak kolubryna.

Myślami był już w Berlinie. Marzył mu się majowy spacer wieczorem przez centrum miasta. Scharführer Ernst Grohmann, w błyszczącym od odznaczeń mundurze, kroczy pośród tłuszczy cywilów, którzy nigdy nie powąchali prochu. Dekownicy znają wojnę jedynie z gazet.

– Achtung! – wyrwało go z marzeń. Do rampy zbliżała się kawalkada czterech motocykli.

– No to mamy gości! – skrzywił się Rubusch.

Pierwsza maszyna przywiozła trzyosobową załogę esesmańską. Potem zajechał komendant Kramer; wygramoliwszy się z kosza motocykla, wyszedł na spotkanie pasażera trzeciego pojazdu. Oficer wysiadł, poprawił mundur i zdawkowo odpowiedział na pozdrowienie Kramera.

– Ki diabeł? – syknął Grohmann. – Sturbannführer oddaje honory obersturmführerowi?

– Pewnie inspekcja z Berlina – skwitował Rubusch. Dodał z przekąsem: – Berliński obersturmführer znaczy więcej niż obozowy sturbannführer.

Grohmann zaklął: ostatnim motocyklem przyjechał Thurnov. Wysiadł i gwizdnięciem przywołał zajmującego kosz Ralfa.

Kramer zarządził krótką odprawę. Postawiwszy oficerów i podoficerów na baczność, oznajmił:

– Obersturmführer Hans Salzing z ramienia dowództwa w Berlinie nadzoruje program dokumentacji fotograficznej życia w obozach koncentracyjnych. Sprawdzi stan naszego przygotowania w tym zakresie. Nie muszę dodawać, że winniśmy przychodzić mu z pomocą w każdy możliwy sposób.

Obersturmführer Salzing, słuchając, kiwał głową. Kierowca motocykla podbiegł do niego z dużą skórzaną teczką. Salzing wyjął z niej album; poczekawszy, aż zbliżą się Kramer i obozowy fotograf hauptscharführer Bernhardt Walter, jął z ożywieniem

demonstrować zdjęcia w albumie i objaśniać.

– Herr Scharführer, gratuluję awansu. – Grohmann wzdrygnął się; nie zauważył, kiedy Thurnov podszedł. Rubuscha nie było, najwyraźniej zdążył się oddalić.

– Dziękuję, Herr Obersturmführer.

– Gdyby każdy niemiecki podoficer miał takiego nosa do wykrywania spisków, psy nie byłyby nam potrzebne.

Thurnov poklepał Ernsta po ramieniu. Grohmann zmusił się do uśmiechu. Żałował poniewczasie, że nie przyjął oferty Hanzlika, który za dwie butelki wódki gotów był zastąpić go na dzisiejszym dyżurze.

– Dokumentacja, dokumentacja, dokumentacja! – Thurnov się skrzywił, ruchem brody pokazując Salzinga, na którym skupiała się uwaga zgromadzonych na rampie oficerów i podoficerów.

Grohmann nieco się ośmielił.

– Magia Berlina, Herr Obersturmführer – zaryzykował.

– Żeby pan wiedział. Gotów jestem się założyć, że żaden z tych berlińskich oficerów nawet nie powąchał prochu.

Grohmann poczuł, jak powoli opada z niego napięcie. Może zmiana w zachowaniu Thurnova to zasługa awansu? Bądź co bądź scharführer to nie to samo co unterscharführer.

– Właśnie – podchwycił – nie wiedzą, jak pachnie służba na froncie.

Ledwo to powiedział, przeraził się konsekwencji własnych słów. Thurnov zdawał się jednak nie wyczuwać podtekstu.

– Dlatego postanowiłem zabrać dziś Ralfa. Niech pozna smak żydowskiej pieczeni.

– Pogłaskał psa po łbie.

– Tak. – Grohmann zaśmiał się z ulgą. – Niech poczuje żydowską pieczeń.

Przerwał im zgiełk z przodu rampy. Esesmani postanowili wypełnić Salzingowi czas oczekiwania na przyjazd transportu – trzem więźniom wybranym z komanda kanadziarzy urządzili wyścigi w skokach „żabką”. Salzing był w swoim żywiole: biegał z aparatem i pstrykał zdjęcia. Dwóch esesmanów stało w odległości dwudziestu kroków od siebie, pasiaki musiały jak najszybciej pokonać ten dystans, zawrócić i zaczynać od nowa. Esesmani każdego przynaglali pałką. Im szybciej ktoś dokonał nawrotu, tym mniej ciosów spadało mu na grzbiet.

– Sport machen! – krzyczał komendant Kramer. Wezwanie do „uprawiania sportu” kierował chyba po równi do więźniów, jak i do esesmanów. Kapo krążyli w pobliżu,

gotowi się przyłączyć.

– Ja..... ist gut! – Salzing rozpiął mundur. Wyglądał jak chłopiec, który się zatracił w zabawie. – Hüpfen, schneller! – wołał. – Skakać, szybciej!

Esesmanów Kramer nie musiał zachęcać do zdwojenia wysiłków.

– Los, verfluchte Banditen! – krzyczeli, pracując pałkami.

Pociąg nie przyjeżdżał. „Przeklęci bandyci” gonili resztkami sił. Psy się rozszczękały. Udzieliło im się podniecenie ludzi.

– Stary padnie pierwszy – zawyrokował Thurnov. Poklepał Ralfa po boku.

„Stary” mógł mieć ze czterdzieści lat. Jak większość kanadziarzy był dobrze odżywiony; od samego początku po ruszał się ociężale, miał chyba problemy z sercem. Na niego spadała większość ciosów. Nie skakał już, raczej włókł się noga za nogą. Esesmani zaczęli z sobą rywalizować, który pierwszy go przewróci. Przestał osłaniać głowę przed ciosami, koncentrował się na tym, by jak najszybciej zawrócić i znaleźć się poza zasięgiem pałek. Przy kolejnym nawrocie zgubił czapkę. Nawet tego nie zauważył. Pierwszy dopadł go któryś z funkcyjnych, kapo z zielonym trójkątem kryminalisty. Sieknął starego pałką przez grzbiet. Ten poleciałby na twarz, gdyby w ostatniej chwili nie wsparł się na łokciach. Kapo puścił w ruch pałkę, wrzeszcząc:

– Wo ist deine Mütze, du Schweinehund?

Stary, macając ręką, szukał czapki. Po którymś z ciosów wreszcie osunął się na ziemię. Dopadli go esesmani i funkcyjni. Salzing kręcił się bezradnie z aparatem, w kłębowisku ciał i pałek niewiele mógł wypatrzeć. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Kiedy od starego odstepili, jeszcze się ruszał. Któryś z podoficerów – Stoop albo inny, Mensch ze swego miejsca dobrze nie widział – wziął od jednego z funkcyjnych pałkę, położył ją więźniowi na szyi i zaczął się na pałce huśtać.

Raptem jednak uwaga wszystkich skierowała się w przeciwną stronę. W odległej bramie głównej wartowni Birkenau dostrzegli pierwszy wagon. Uprzątnięto trupa, rozległy się wrzaski komend, tupot drewniaków, ryk zapuszczanych silników, poszczekiwanie psów. Komendant Kramer tłumaczył coś Salzingowi; tamten kiwał głową, obaj mieli zadowolone miny. Grohmann próbował wypatrzeć Thurnova. Zobaczył go dopiero wtedy, kiedy kanadziarze odryglowali pierwsze wagony i na rampę zaczęli wypadać Żydzi i sztuki bagażu. Obersturmführer Thurnov i ujadający Ralf przesunęli się na czoło składu, gdzie Salzing w towarzystwie komendanta Kra mera i hauptscharführera Waltera czatował z aparatem.

Grohmann, spoglądając na zachmurzone niebo, niepokoił się, czy przed deszczem

uporają się z robotą. Obliczył w pamięci: trzydzieści wagonów, w każdym średnio stu Żydów, w sumie trzy tysiące. Przy takiej masie ludzi, których w krótkim czasie trzeba przyjąć, poselekcjonować i ekspediować w tę czy tamtą stronę, najważniejszą rzeczą jest doskonała organizacja.

Nie od razu udało się zapanować nad żywiołem. Kręcili się przy wagonach jak zwierzęta wypuszczone z klatki. Zanim poddali się komendom, tracili czas, przywołując krewnych i szukając walizek.

„Teczki, koszyki, podręczne torby można zabrać, bagaż cięższy pozostaje w wagonach”.

„Mężczyźni z dziećmi powyżej czternastego roku życia stają po prawej stronie, kobiety i młodsze dzieci po lewej”.

„Starzy, chorzy i wszyscy ci, którym trudno się poruszać, mogą wsiąść do podstawionych samochodów ciężarowych”.

„Im szybciej się ustawicie, tym szybciej dostaniecie jeść i pić”.

„Liliputy i garbusy wystąp”.

„Bliźnięta przechodzą do przodu”.

„Cenne rzeczy od razu oddajcie do depozytu, wtedy macie pewność, że wam nie zginą”.

Grohmann z doświadczenia wie, że najczęściej zamieszania powstaje przy rozdzielaniu rodzin. Gdyby było to możliwe, akurat tę selekcję powinno się przeprowadzać jeszcze przed załadunkiem, wtedy praca na rampie przebiegałaby sprawniej, bez szarpaniny i powtarzania rozkazów.

Mensch słyszy wrzaski i płacz. Mijają go męskie buty, buciory i damskie czółenka, od czasu do czasu po żwirze rampy drobią dziecięce buciki; czasem któreś raptownie zmieniają kierunek, zaraz jednak wchłania je potok przelewający się obok walizek, paczek, tobołów i ciał.

Na szarpnięcie smyczą Mensch posłusznie idzie tam, gdzie esesman go prowadzi.

Grohmann wypatrzył liliputa w wiklinowym foteliku, pozostawionym w otwartych drzwiach jednego z wagonów. Na rozkaz Grohmanna dwóch kanadziarzy zestawia dziecięce siedzisko na ziemię. Normalnej wielkości głowę jakby wciśnięto w zbyt mały, zdeformowany korpus, z którego wystają nierównej długości ramiona i pokurczone nogi. Opuchnięte oczy w dorosłej twarzy patrzą apatycznie, kiedy więźniowie podążający za Grohmannem niosą liliputa na czoło rampy, gdzie na potrzeby doktora Mengelego są gromadzone najciekawsze okazy z dzisiejszego transportu.

Podczas gdy Salzing z entuzjazmem ustawia aparat, Thurnov i Kramer zdają mu pokrótce relację z badań doktora Josefa Mengelego. Liliput, pozując do zdjęcia, wciska krótszą rękę w kieszeń spodni, próbuje wyprostować nogi.

Mengele nie będzie miał dziś powodów do zadowolenia. Jeden liliput to niewiele jak na trzysięczny transport. Esesmani i funkcyjni wykrzykują raz po raz:

– Bliźnięta wystąp!

Uważnie lustrują podchodzące do selekcji kobiety z dziećmi. SS-Obersturmführer doktor Rohde, wspomagany przez Stoopą, kobiety zdolne pracować wysyła na drogę między odcinkami BIa i BIb, dzieci i kobiety niezdolne do pracy kieruje na drogę biegnącą równoległe do rampy kolejowej, do jednego z czterech krematoriów. Salzing z minuty na minutę traci zainteresowanie. Nawet w oczach nowicjusza selekcja z jej powtarzalnością obrazów i rytuałów wydaje się procesem zbyt mechanicznym. Ożywia się, kiedy untersturmführer Stoop policzkuje młodą kobietę.

– To bliźnięta! – powtarza Stoop.

Nie trzeba lekarza, zwykły podoficer też potrafi w dwojgu czterolatek rozpoznać parę bliźniąt.

– Nieprawda, panie oficerze – kobieta obstaje przy swoim. Chłopiec i dziewczynka trzymają się jej kurczowo.

Stoop uderza jeszcze raz, na odlew. Kobieta traci równowagę. Esesmani ciągną dzieci do ciężarówki, na którą załadowano już wiklinowy fotelik z liliputem. Matka puszcza się biegiem w tamtą stronę, któryś z kapo ją dogania i ciosem wymierzonym pałką pod kolana zbija ją z nóg.

Salzing spieszy z aparatem, ale wśród śmigających pałek i buciorów niewiele potrafi dojrzeć. Podniecenie udziela się psom. Ralf chce się zerwać ze smyczy; kiedy przestrzeń wokół leżącej pustoszeje, Thurnov spuszcza go wreszcie. Pies dopada ciała, tarmosi je z taką siłą, że przesuwa po ziemi. Esesmani kolbami przywracają porządek w pierwszych rzędach. Grohmann słyszy znajomy, wzbierający w psiej gardzieli charkot. Klepie Menscha po łbie i odpina smycz.

Mensch siłą rozpędu przewraca Ralfa na grzbiet, przygniata go ciężarem własnego ciała i zębami chwyta odsłonięte gardło, zaciska szczęki. Nie puszcza, kiedy Grohmann kopie go z furją. Thurnov wyszarpuje z kabury pistolet, ale podpalane podbrzusze Ralfa, Mensch i buty Grohmann zlewają mu się przed oczami w jedną drgającą plamę.

Ralf przestał się bronić. Grohmann nachylił się, złapał Menscha za obroźę i odciągnął; lewą nogą przycisnął go do ziemi, ściągnął pas i zaczął okładać metalową

klamrą.

Dalej selekcja potoczyła się bez przeszkód. Wiatr rozwiął chmury, roz pogodziło się. Kramer i gość z Berlina zrezygnowali z motocykli i spacerkiem zmierzali do domu komendanta na obiad. Ulicą średnicową szli mężczyźni tymczasowo przeznaczeni do życia, podobny pochód kobiet wypełniał drogę między odcinkami BIIa i BIIb, wzdłuż rampy maszerowali do lasu ludzie wyselekcjonowani do krematoriów.

18. Heftling bez numeru

IGNÁTZ Czigler po namyśle zawrócił z wózkiem znad dołu spaleniskowego. Zbył burknięciem Abrama Boskovic, który wraz z innymi wrzucał ciała do dołu. Pociągnął wózek dalej. Minął baraki kanadziarzy i budynki szpitala, zapuścił się wzdłuż końskich stajni przerobionych na kwatery więźniów. Przystanął przed barakiem komanda budowlanego. Zdjął z wózka pakunek, nie bez wysiłku zarzucił go sobie na plecy i pchnąwszy drzwi, wszedł do słabo oświetlonego wnętrza, zastawionego po obu stronach drewnianymi pryzkami. Od progu poczuł znajomy smród rzadko pranych ubrań i słodkawego odór towarzyszący chorym na biegunkę. Zapukał do pokoju blokowego.

W drzwiach pokazała się duża głowa Kąckiego osadzona na krótkim, grubym korpusie.

– W samą porę – powitał go Kącki. – Mam zamówienie od Rubuscha na złotą papierośnicę.

– Gdzie on się będzie z tym złotem obnosił?

– Potrzebuje chyba na prezent. Pewnie chce komuś podziękować za rychłe przenosiny do Berlina. Bo po co by innego?

– Będę się rozglądał, na razie jestem goły. W tych dniach przywozili z Węgier głównie chłopów. Ale taki cymes będzie go kosztował. Najmarniej dziesięć paczek papierosów i trzy butelki wódki.

– Zapłaci. Tylko się postaraj. Co masz w worku?

– Prezent z kuchni esesmańskiej.

Czigler rzucił worek na ziemię. Kącki zajrzał do środka.

– Po cholere przyniosłeś to ścierwo?

– Na handel.

– Zabieraj mi to!

– Co, mięso się wam przejadło?

Na słowo „mięso” w pierwszej sztabie zrobił się szum. Z najbliższej pryczy zsunęły się trzy postacie w pasiakach.

– Czego tu? – huknął Kącki.

– Panie blokowy, nikomu nie powiemy.

– Że niby co?

– Zjadłoby się coś.

– Poproś komendanta Kramera, że chcesz się stołować w kantynie oficerskiej. Może cię od razu nie zastrzeli. – Kącki się zaśmiał.

– Mięsa od dwóch lat nie miałem w gębie. – Cała trójka nie odrywała wzroku od worka na podłodze.

Kącki przyskoczył do rozmówcy.

– Sujkowski, a chcesz poczuć na gębie moją pięść? Czy ja sram mięsem?

Czigler trącił blokowego łokciem.

– Daj butelkę wódki i będziesz miał dla swoich Polaków wyzerkę na cały tydzień.

Przecież widzisz, że muzulmany ledwo stoją. Zgięło ich w pół jak prawdziwych Arabów przy ichniej modlitwie.

– Dwie paczki haudegenów.

– Nie chcę papierosów. Mam klienta na wódkę.

– Dawaj to tutaj, niech obejrzę.

Kącki szerzej otworzył drzwi. Czigler wciągnął worek do schludnego pokoiku z prawdziwym łóżkiem, stołem i obraz kami na ścianach. Cała trójka stłoczyła się za progiem. Kącki kazał im wejść i zamknąć drzwi.

– Tego by brakowało, żeby cały barak się zwiedziało. Sześciuset chłopów tym nie nakarmię. Sujkowski, morda w kubek!

– Co też pan! Tylko trzeba znaleźć sposobne miejsce, żeby zapach nikogo nie zwabił.

Czigler wysypał zawartość worka. Sujkowski gwizdnął przeciągle.

– Czyje to bydlę?

– Grohmanna – wyjaśnił Czigler.

– On go tak urządził?

– Szkopowi szajba odbiła.

Sujkowski przykucnął i przeciągnął ręką po zakrwawionej sierści.

– Wygląda gorzej niż ten Drechslerki – mruknął.

– Wilk esesmanki miał więcej szczęścia. – Kącki splunął na podłogę. – Wpadł na ogrodzenie pod prądem.

– Cicho! – Sujkowski nachylił się nad Menschem. Przyłożył ucho do brzucha. – Oddycha! Szmul, zobacz sam!

Niski chudzielec o ciemnej, pobrużdżonej twarzy nie bez wysiłku przyklęknął.

– Jeszcze nie zdechł – potwierdził niechętnie.

– Cholera! – zaklął Czigler.

Kącki pokręcił głową:

– Tak czy owak, to jego ostatnie chwile.

– Długo nie pociągnie – zgodził się Szmul.

Kącki pokręcił się po pokoju i wrócił z nożem.

– Masz. – Dał nóż Sujkowskiemu.

Sujkowski delikatnie przeciągnął palcem po ostrzu osadzonym w drewnianej rękojeści.

– Znać rękę fachury. – Cmoknął. – Tylko żeby go jakiś Niemiec nie wyniuchał, panie blokowy, bo wszyscy trafimy przez komin do nieba.

– Nie gadaj, tylko rób!

– Niby co?

– Najlepiej po gardle – doradził Szmul.

– Podłogę zapaskudzi – mruknął Sujkowski. – Ma pan coś do podłożenia?

– Trzeba prosto w serce – podpowiedział Czigler. – Mało krwi i szybka śmierć.

– Gdzie psy mają serce? – spytał Kącki.

– Skąd mam wiedzieć?

– Trzeba spytać doktora Mengelego – powiedział Sujkowski z poważną miną. – Pewnie psom też robi sekcje.

Wszyscy się roześmiali. Sujkowski stanął prosto.

– Masz – dał nóż Szmulowi. – Mówiłeś, że w Płońsku byłeś rzezakiem.

Szmul rzucił nóż na podłogę.

– Prowadziłem tylko koszerny ubój.

Nastała cisza. Nikt nie patrzył na podłogę.

– Panie blokowy – odezwał się ostatni z trójki. – Pan ma krzepę w łapach.

Wystarczy zacisnąć ręce na gardle i minutę tak potrzymać.

– Ja psa nie zabiję. Sam go zaduś, jakeś taki mądry.

– Raszpler tylko dużo miele jęzorem – włączył się Sujkowski. – Szczura by nie ubił.

– Esesmańskie bydlę zatłukłbym własnymi rękami! – burknął Raszpler. – Gdybym miał więcej pary...

– Trzeba poczekać, aż zdechnie – zaproponował Sujkowski.

– Właśnie – podchwycił Szmul. – Tylko patrzeć, jak kofnie.

– A jak przyjdzie długo czekać? – mruknął Kącki.

– Można by się upewnić – podsunął Sujkowski.

– Jak?

– Niechby Rajek go obejrzał.

– Racja – zgodził się Kącki. – Niech zarobi na swoją porcję potrawy z psiny.

*

Rajek zjawił się już po pół godzinie. Kącki na odgłos pukania otworzył drzwi. Flegger zatrzymał się za progiem i wciągnął nosem powietrze.

– Jaka pieczeń? – spojrzał pytająco na Kąckiego. – Nic nie czuję.

– Mięso dopiero kruszeje.

– Dziczyzna. – Czigler trącił nogą okryty workiem kształt.

Do pokoiku wślizgnęli się Szmul i Sujkowski, Raszpler został na czatach. Rajek zajrzał pod worek.

– Pies Grohmanna? Czyli to prawda...

– Zbił go do nieprzytomności – wyjaśnił Czigler. – Stoop woła mnie i powiada: „Spal to ścierwo”.

– Co zamierzacie?

– Jeszcze żyje. – Kącki wzruszył ramionami.

– Nie myślisz chyba, że dam mu szprycę z fenolu?

– Nikt się nie będzie z nim cackał – odezwał się Szmul. – Pamiętamy, co to esesmańskie bydlę wyrabiało z więźniami.

– Pies to pies. – Sujkowski podrapał się po ogolonej głowie. – Swojego rozumu nie ma.

– Coś mu się nieźle poprzestawiało. Słyszałem od kanadziarzy, że zagryzł Ralfa – powiedział Rajek.

– Psa Thurnova?

– Uhm. Ralf tarosił jakąś kobietę, a bydlak Grohmanna skoczył mu do gardła.

– Nie wierzę. – Szmul się skrzywił.

– Spytaj tych z Kanady.

– Coś musiało się tam wydarzyć. Grohmann nie bez powodu go skatował – włączył

się Sujkowski.

Wszyscy spojrzeli na Menscha. Trudno było poznać, czy jeszcze żyje. Pozlepiana zaschłą krwią sierść sterczała w kępkach. Fleger nachylił się nad psem i delikatnie, miejsce za miejscem, badał go palcami.

– Niech mi ktoś pomoże.

Razem z Sujkowskim przewrócił psa na drugi bok. Gołym okiem widać było duże wklęśnięcie.

– Ma złamane żebra, pewnie na skutek kopnięć. Na szczęście nie wyszły na zewnątrz. – Rajek przeciągnął dłonią po sierści. – Nie wiadomo tylko, czy organy wewnętrzne nie są uszkodzone. I czy mózg funkcjonuje normalnie.

– Wyliże się? – spytał Sujkowski.

– Żebra szybko się zrosną. Jeśli nie wystąpiło krwawienie wewnętrzne, będzie żył.

– Zabieraj go. – Kącki kopnął worek w stronę Cziglera.

– To nie mój kłopot.

– Na cholere go przyniosłeś!

– Wolałbyś, żebyśmy żywego wrzucił do ognia?

– Z ludźmi się tak nie cackasz.

– Gównu wiesz.

– Wiem o transporcie z Bolechowa.

Czigler rzucił się na Kąckiego. Górował nad nim wzrostem, ale krępy, krótkonogi Kącki okazał się silniejszy. Przewrócił Węgra na podłogę. Tarzali się po zakurzonych deskach, okładając pięściami. Rajek z pomocą Sujkowskiego i Szmula sporo się musiał natrudzić, zanim ich rozłączył.

– Trzeba coś postanowić – przypomniał Rajek, pokazując Menscha.

– Gównu wiesz – odezwał się ściszym głosem Czigler. Wciąż siedział na podłodze, plecami oparty o ścianę. – Czasem tak się zdarza. Niemcy teraz oszczędzają na cyklonie. Za mało wrzuca i to właśnie dlatego. Musiała na samym początku upaść twarzą do ziemi, tam w dole potrafi się zebrać odrobina wilgoci, a cyklon w środowisku wilgotnym nie działa. Ocknęła się w drodze do pieca. „Dokąd mnie ciagniesz?” – pyta. Załadowałem ją na taczkę i wywiozłem na świeże powietrze. A tam doskakuje do mnie szef obozowego gestapo, Grabner. „Co ty wyrabiasz?”. Więc mówię: „Herr Untersturmführer, skoro przeżyła, to chyba znak z nieba, że powinna żyć”. Wyciągnął pistolet. „Nie zastrzelę cię, śmierdzący Żydzie – mówi – każę cię żywcem spalić. Jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć, to bierz się do roboty”. Co mu zależało. Mógł ją najpierw

zabić. Do końca miałem nadzieję, że tak zrobi. Ale nie. Skurwysyn.

Nikt się nie odezwał. Dobięły ich odległe dźwięki skoczego marsza wygrywanego przez obozową orkiestrę. Znak, że pierwsze robocze komanda pracujące poza obozem wracają do Birkenau.

Rajek zaśmiał się histerycznie.

– No to rapportführer Palitzsch był bardziej ludzki. Rozmawiałem kiedyś z jednym starym numerem, przywieźli go do obozu z którąś z pierwszych grup jeszcze w czterdziestym roku. Na powitanie Palitzsch tak powiedział na apelu: „Nie jesteście ludźmi, tylko kupą gnoju. Przepuszczę was co do jednego przez kominy krematoryjne”. I prawie mu się udało. Zanim sam podpadł gestapo za zbyt częste wlewanie aryjskiego nasienia w Żydówki, posłał do pieca tysiące ludzi. Ale był bardziej ludzki od Grabnera, nie żałował nabojów. Tylko jednego dnia własnoręcznie zastrzelił dwieście osób pod ścianą bloku jedenastego.

– Świńskie gównu – skomentował Czigler.

– Świńskie łajno – poprawił go Rajek. – Tak się mówi po niemiecku.

– Jestem Węgrem.

– Numerem, Ignátz. Więźniem numer taki a taki. Zanim przepuszczą nas przez komin, zabierają nazwisko i narodowość. Zamiast tego znakują nas jak zwierzęta.

Szmul popatrzył na Menscha.

– Właściwie – zaczął – jest z nami teraz na równych prawach.

– To znaczy? – podchwycił Rajek.

– Też jest więźniem. I zostało mu niewiele życia.

– Taki z niego heftling jak ze mnie esesman. – Kącki przemówił pierwszy raz od czasu bójki. – Nawet nie ma numeru.

– A gdzie mieliby psom tatuować numery? – mruknął Sujkowski.

– Co z nim robimy? – przypomniał Szmul.

– W każdym razie tu nie może zostać – orzekł Kącki stanowczo. – Jakby Grohmann się dowiedział, już po mnie.

– Mnie pierwszego by posłał do gazu – sarknął Czigler.

– Ty go przyniosłeś, ty zabieraj.

Sujkowski ubiegł Cziglera. Nachylił się nad Menschem i drapiąc go między uszami, powiedział, patrząc na Rajka:

– Coś mi się widzi, że sam się nie wyliże.

– Nie myślisz chyba, że dla psa będę narażał życie.

– Nikt cię nie zmusza. Jesteś wolnym człowiekiem.

Nawet Kącki się roześmiał.

– Nawet nie jestem lekarzem – bronił się Rajek.

– Na twoim miejscu nie zwracałbym się o pomoc do doktora Mengelego.

– Ludzi nie mamy czym leczyć!

– To dasz mu zastrzyk z fenolu.

Rajek ruszył do wyjścia, kręcąc głową.

– Tylko nie chcę go widzieć wcześniej jak po wieczornym apelu.

– Jeśli dożyje. – Szmul przykucnął obok Sujkowskiego pochylonego nad psem.

19. Scharführer Grohmann zmienia skórę

W JEDNYM z drewnianych baraków, w których mieścił się obozowy szpital dla mężczyzn, Rajek zajmował z kilkoma sanitariuszami niewielki pokój. Po sąsiedzku mieściło się ambulatorium, gdzie zgodnie z obozową logiką więźniów równie często leczono, co uśmiercano. Fleger przestał zadawać sobie pytanie, czy usytuowanie szpitala w pobliżu krematoriów było sprawą przypadku, czy nosiło znamiona przemyślanego działania niemieckich planistów. Wystarczyło wdrapać się na ostatnią z trzypiętrowych prycz, by przez małe okienko mieć doskonały widok na odległe o zaledwie kilkadziesiąt metrów krematorium numer cztery. Z tej wysokości prowizoryczne ogrodzenie, które miało maskować doły spaleniskowe, krematorium i lasek między krematorium trzecim a czwartym, nie stanowiło przeszkody dla ciekawskich.

Hauptscharführer Otto Moll, od niedawna kierownik krematoriów, zwykł mieć nad wszystkim pieczę od początku do końca – od selekcji na rampie po wsypanie cyklonu B przez otwór w dachu. Jeden doktor Mengele, niezmordowany w wyszukiwaniu królików doświadczalnych spośród więźniów z całej Europy, mógł się z nim równać pod względem pracowitości. Moll wchodził na dach krematorium i stamtąd dyrygował ruchem. Popędzał sonderowców, że zbyt opieszale rozdzielają mydło i ręczniki. „Banda darmozjadów! – wrzeszczał. – Ci ludzie jechali tyle dni i nocy, muszą jak najszybciej iść do kąpieli”. Z czekającymi w kolejce do gazu urządzał sobie pogaduszki: „Pan jest z zawodu stolarzem? Doskonale się składa. Obóz wciąż się rozbudowuje, potrzebujemy nowych stolarzy. Tak, szanowny panie, murarzy też brakuje. Zaraz po wyjściu z łaźni

proszę się do mnie zgłosić, osobiście panów pokieruję, gdzie trzeba”.

Rajek ze swego punktu obserwacyjnego widział, jak ludzie zostawiają esesmanom kosztowności na przechowanie, biorą mydło, ręcznik i wchodzą do budynku. Wreszcie za ostatnim zamykały się ciężkie, szczelne drzwi. Chwilę wcześniej Mollowi zdarzało się jeszcze krzyknąć: „Tylko nie odkręcajcie za dużo gorącej wody, bo możecie się poparzyć”.

Ze wszystkich transportów, jakie Rajkowi przyszło podejrzeć, najbardziej zapadła mu w pamięć grupa Żydów holenderskich. Nawykli do wygod, kręcili nosami na kolejkę do łaźni; dali się wszak przekonać, że niemiecki porządek, który utożsamiali z zamięłowaniem do ładu nieobcym w ich rodzimej Holandii, ostatecznie pokona początkowy rozgardiasz. Sonderowcy uporali się z pierwszą partią, trupy zapakowali do pieców, przewietrzono krematorium – i już można było prosić czekających w lasku Holendrów do kąpeli. Zadowoleni znikali jeden po drugim we wnętrzu „czwórki”. Wszystko przebiegało we wzorowym porządku. Pod drzwiami została już tylko dwójka dzieci. Pochłonięte zabawą, ani myślały słuchać starszych i maszerować do łaźni. Moll zbeształ esesmanów, którzy wrzaskiem próbowali wymusić posłuszeństwo. Pobawił się z maluchami, po czym wziął je za ręce i poprowadził obydwójke ku czekającej w progu matce. Zasalutował jej szarmancko, pogłaskał dzieci po głowach i własnoręcznie zatrzaskał za nimi drzwi.

Od tamtego dnia Rajek nie odważył się wyglądać przez okienko wychodzące na krematorium. Obiecał sobie, że i dzisiaj nie uczyni wyjątku. Ale kiedy esesmani wyprowadzili ze szpitala ostatnią grupę wyselekcjonowanych chorych, nie wytrzymał. Wdrapał się na najwyższą pryczę i patrzył, jak Szmul, Sujkowski, Kosma i cała reszta, rozebrani do naga, najkrótszą drogą zmierzają do krematorium.

*

Sujkowski i Szmul przyszedli tuż po wieczornym apelu ich komanda. „Kącki – śmiali się już od progu – robi w portki ze strachu”.

– Albo się modli, albo chleje wódkę, byle tylko nie myśleć – relacjonował Sujkowski, sapiąc z wysiłku pod ciężarem dużej skrzyni. – Kiedy wychodziliśmy, siedział w swojej kanciapie i powtarzał: „Jak się wyda, że po apelu wypuściłem was z bloku, to najmarniej dostanę dwadzieścia pięć na gołą dupę”.

Rajek wprowadził ich do pustej o tej porze kancelarii. Kazał postawić skrzynię pod ścianą, z boku biurka. Szybko ściągnęli z siebie i oddali mu granatowe kombinezony instalatorów, pożyczone od komanda elektryków.

– W razie wpadki jesteśmy kryci – uspokoił ich Rajek. – Na wszelki wypadek wystarałem się dla was o skierowania do izby chorych.

Szmul popatrzył na Sujkowskiego. Uśmiechnął się i wysapał:

– Wolę, panie flegler, ruch na świeżym powietrzu. Jak na mój gust w tutejszym zakładzie leczniczym panuje zbyt duża śmiertelność.

– Jest robota do wzięcia – zachęcał Rajek. – Zwolniła się funkcja szajsmajstra. Praca lekka, pod dachem. I zawsze możesz liczyć na dodatkową porcję zupy.

– A idź mi! Jeszcze się na tyle nie zmuzułmaniłem, żeby nająć się do sprzątania po kimś gówien.

Rajek przykucnął i otworzył wieko skrzyni. Mensch leżał bez ruchu na wyściółce z czystej słomy. Drgnął, kiedy Rajek dotknął go ręką.

– Może się wykaraska. Trzeba go wyjąć i przenieść do mojego pokoju.

Ledwo zdążył to powiedzieć, blok jakby ożył. Korytarz wypełnił się stukotem dziesiątków drewniaków. Rajek zatrzasnął skrzynię i otworzył na chybił trafił rejestr chorych. Szmul z Rajkowskim rzucili się do wyjścia. Nie zdążyli dobiec, kiedy drzwi rozwarły się i w progu stanął zziązany sanitariusz Jachimek, Ślżak pełniący od niedawna funkcję blokowego w szpitalnym baraku.

– Idzie Klescher na selekcja! – wrzasnął. Zobaczył Szmula i Sujkowskiego. – Pieronie, a co tu robia te muzulmany?

– Wyprowadź ich! – zawołał Rajek i sam pobiegł ku drzwiom.

– Za późno. Klescher kazał zamknąć blok.

Rajek wyjrzał na korytarz. Wejściowe drzwi zatrzaśnięto. Chorzy w pierwszej sztubie na wyścigi wspinali się na prycze i naciągali cienkie koce po same szyje.

– Jachimek, upchnę ich gdzieś na bloku. Może Klescher przychodzi z gotową listą i nie zrobi przeglądu całego stanu.

Jachimek wycofał się na korytarz. Rajek pociągnął obu za sobą, między trzypiętrowe prycze wciśnięte po obu stronach baraku. Kiedy wrócił, Jachimek, wyprężony, już raportował:

– Herr Oberscharführer, melduję dwustu piętnastu więźniów na stanie, ciężko chorych pięćdziesięciu dwóch, dwudziestu ozdrowieńców...

Podoficer sanitarny Klescher, w asyście czterech esesmanów, przerwał Jachimkowi. Zmarszczył nos:

– Strasznie śmierdzi.

– Mamy dużo przypadków biegunki, Herr Oberscharführer. Nie nadążamy ze

sprzątaniem.

– Nic nie robią, tylko leżą, jedzą i srają. Ten szpital to jedna wielka wylęgarnia zarazków. No nic, będziemy ich leczyć.

Zrobił w lewo zwrot i wszedł do kancelarii. Dwóch eses manów zostało na bloku, dwóch podążyło za Klescherem. Rajek wsunął się za nimi. Klescher usiadł przy biurku, odsunął się z krzesłem i bujając się na tylnych nogach mebla, spojrzał na drewnianą skrzynię.

– Co to jest?

Rajek czuł, jak blednie.

– Próbkę kultury bakteryjnej na żywych tkankach. Szykujemy skrzynię do wysłania do Instytutu Higieny doktora Webera.

Klescher przymierzył się do uchylenia wieka.

– Herr Oberscharführer – przerwał mu Rajek – są tam też próbki z zarazkami tyfusu plamistego.

Klescher zerwał się z krzesła.

– Du polnischer Dreck! Trzymasz zarazki w niezaplombowanej skrzyni? – Otwartą dłonią trzasnął go w twarz.

Jachimek wpadł do kancelarii i zameldował:

– Herr Oberscharführer, melduję chorych gotowych do przeglądu.

– Zabrać mi stąd tę skrzynię! Los!

Rajek z pomocą blokowego sprzątacza zatargał skrzynię do swojej izby. Kiedy wracał, przed drzwiami kancelarii już formowała się długa kolejka więźniów. Odszukał Szmula i Sujkowskiego.

– Dobrze będzie, zobaczycie. Gorzej, gdyby selekcję przeprowadzał któryś z lekarzy. – Starał się dodać im otuchy. – Na szczęście Mengele, Rohde, Wirths, Helmersen, Thilo, Klein i reszta mają widać pilniejszą robotę.

Szum machnął ręką. Próbował nadrabiać miną.

– Sram na to. Jak się uda, to dobrze. A jak pójdę do gazu, przynajmniej odpocznę od szwabskich gęb.

Sujkowski uśmiechał się blado. Wyciągnął rękę do Rajka, nic nie powiedział. Kolejka więźniów szybko przesuwała się do przodu.

Rajek przepchał się do kancelarii. Klescher siedział przy przesuniętym na środek pokoju biurku. Jachimek stał u wejścia, spisywał numer każdego więźnia na kartkę i wręczał mu ją. Więzień podchodził do biurka, podawał kartkę jednemu z esesmanów.

Ten, poinstruowany przez Kleschera, stawiał jakiś znaczek, po czym kładł kartkę na lewą albo prawą stronę biurka.

Klescherowi wystarczały trzy, cztery sekundy. Wchodzili nagusieńcy, prostując plecy, wypinając do przodu zapadłe klatki piersiowe. Niektórzy tuż wcześniej szczypali się w policzki, żeby wywołać zdrowe rumieńce. Kolejka czekających malała, stosik kartek po lewej stronie przewyższał stosik po stronie przeciwnej. Szmul i Sujkowski przedefilowali przed obersturmführerem jak żołnierze na paradzie. Wzorem innych prężyli mizerne mięśnie i przybierali pewne siebie miny. Trafili na lewo jak wielu innych. Niektórym najzwyczajniej w świecie nie dopisało szczęście. Kosma, Żyd z Salonik, przed obozem występował w cyrku jako zapaśnik wagi ciężkiej. Chociaż w Birkenau nie został kapo, blokowym ani pisarzem, nie pełnił żadnej z funkcji, które stwarzały więźniom nadzieję na lżejszą pracę, lepsze jedzenie i utrzymanie się dłużej przy życiu, to mógł się śmiało zaliczać do obozowych prominentów. Był pupilkiem esesmańskiej załogi, zwłaszcza jej kobiecej części. Obozowe strażniczki przychodziły popatrzeć, jak sam jeden dźwiga ciężkie kolejowe podkłady. Elsa Drechsler na swoje przyjęcie urodzinowe ubrała Greka tylko w przepaskę biodrową i kazała mu podawać do stołu. Kosma jako paż, pipel, kelner, barman i obozowy fordanser w jednej osobie nażarł się na urodzinach Drechslerowej esesmańskich smakołyków – i dostał biegunki. Więźniowie trafiali do szpitala z powodu biegunki głodowej, Kosmę dopadła biegunka z przededzenia. W feralny majowy wieczór stanął przed komisją lekarską w pełnej, rzekłaby Drechslerowa, krasie; co z tego, skoro nie zdążył zmyć z siebie gówna. Wystarczyło, że podoficer sanitarny Klescher wciągnął powietrze nosem i karteczka Kosmy powędrowała na lewo.

Kosma nie znał nawet jidysz. Taki z niego Żyd, że przez całe życie mówił wyłącznie po grecku. Językowy antytalent. W obozie nie nauczył się niemieckiego bodaj na tyle, by odróżniać proste komendy. Mützen ab! i Mützen auf! mylił nagminnie. Inna sprawa, że od Kosmy nie wymagano zdejmowania i zakładania czapki na komendę. Aż trafił na podoficera sanitarnego Kleschera, który przywykł do smrodu z kominów, za to nie znosił brudu. „Kosma – myślał Rajek, patrząc z ukrycia na smutny pochód – chyba do samego końca nie wierzył, że oberscharführer Klescher wymyślił mu taki koniec”. Pożegnalne Verfluchte Bande! brzmiało w jego uszach podobnie do aplauzu widowni na arenie. Owszem, wzorem innych pisał na wychodzących z obozu listach obowiązkową formułkę Ich bin gesund und fühle mich gut. Tyle że w odróżnieniu od pozostałych Kosma z Salonik naprawdę mógł powiedzieć: „Jestem zdrowy i czuję się dobrze”. Do czasu

feralnej wyżerki u Drechslerowej, po której zrównał się w szansach na przeżycie z Sujkowskim, Szmulem i resztą obozowych, zapędzanych do niewolniczej pracy muzułmanów, którym na wodziance z kapusty i kromce chleba udawało się przeżyć miesiąc, dwa, góra trzy miesiące.

*

– Złaż, pieronie! – wrzasnął Jachimek. – Jak cie Szwaby zobacza, to bydom strzeloć! Co, życie ci obrzydło?

Rajek poprawił koc na górnej pryczy i zsunął się na podłogę. Drżał na całym ciele. Jachimek musiał to zauważyć. Niezdarnie poklepał Rajka po plecach.

– I jak?

– Słyszałeś strzały. Kazali im stawać po dziesięciu twarzą do dołu, a potem seriami w nich. Na koniec któryś wskoczył z pistoletem i dobijał.

– Pierony, gazu im było szkoda!

– Jachimek, długo to jeszcze potrwa?

– Tego nie wiem. Ale nie myśl, że oni wszystkich ubijom. Ktoś ta robota w obozie musi robić. A jak jednych puszcza kominem, to przywozom drugich. Tego towaru na świecie długo nie zabraknie.

– O wojnie mówię.

– Coś ci powiem, Rajek. Jo wiem, że Hitler ta wojna nie wygra. Ale jo by chciol dożyć, żeby to zobaczyć. Jo musza widzieć, jak Hitler dostaje w dupa. I wiesz co? Jo sie ciesza, że Klescher nie wybrał dzisiaj mnie. Jo sie, pieruna, nie ciesza, że tamtych zabił, co to, to nie! Ale Bogu dzienkuja, że to nie jo leża teraz w dole polany benzynom i sie kopca. Czy ty mnie rozumiesz?

– A jakże, Jachimek. Każdy chce żyć.

Ślązak wyjął paczkę papierosów i przysiadł na dolnej pryczy. Drapiąc się po owłosionym przedramieniu, spytał:

– Ty, fleger, dlaczego tu trafiłeś?

Rajek wzruszył ramionami.

– Do obozu? Jak każdy. Jest wojna.

Jachimek poczęstował go papierosem. Sam zapalił, zaciągnął się dymem. Kiwając głową, powiedział:

– Nie, Rajek. Niemce cie capneli, bo jesteś Polok. Sujkowski poszedł do dołu, bo tyż Polok. Szmula wzieli i zabili, bo Żyd. Niby Polok, ale i Żyd. Puszczajom przez komin żydowskich Madziarów, Greków, Pepiczków. Ale dlaczego jo?

– Jachimek, idź się przespać.

– Jo wiem, co mówia. Jo jezdem Ślonzok. Dobrze posłuchaj. Jak sie wojna zaczynała, to jo chcioł iść do polskiego wojska. A Poloki do mnie: jaki z ciebie Polok, przecie ty Niemiec. Nastali Niemcy, to jo sie musioł ukrywoć, bo mówili, że jo Polok. No to jo sie ukrywoł. I tak se myśłoł: po cholera jo taki sie urodził. Trocha Polok, trocha Niemiec. A dla innych albo Polok, albo Niemiec.

– Wódki bym się napił.

– Jo też. Ale nie powiedziołech ci jeszcze, za co jo tu trafił.

– Boś Ślązak?

– Przez miłość. Miałech jo tako jedno Niemka. Jak jo do niej przed wojnom przychodził, to nie pytoła, skond jo sie wzion na tym świecie. A potem jej ojciec do mnie: moja Inga nie bydzie sie zadowoć z Polokiem. Jak jo cie jeszcze roz tu zobocze, to wydom cie Niemcom. Osiem dni wytrzymołech, a dziewiontego ida do Ingi. A tam już na mnie jej pater czekoł z karabinem.

– Wciąż żyjesz, Jachimek, w obozie tylko to się liczy. A tu kiedyś takiego Czecha przywieźli. To znaczy czeskiego Żyda. To było panisko. Właściciel całej sieci fabryk obuwia. Buty męskie, damskie i dla dzieci, w dziesiątkach fasonów i kolorów, sprzedawał je niemal do wszystkich krajów świata. Za czwartą część majątku mógłby kupić połowę całkiem sporego miasta, więc pewnie i obóz taki jak nasz. Ale tutaj liczył się tyle samo co Szmul. Miał krzepę, więc dali go do komanda budującego tory kolejowe między Auschwitz a Birkenau, właśnie tę odnogę, która działa od dwóch tygodni i umożliwia wyładunek transportu na nowej rampie, skąd tylko dwieście metrów spacerkiem do pierwszych krematoriów. Nie zdążył nawet stracić na wadze. Czwartego dnia esesmani dla zabawy urządzili mu sport. A jak już upadł, zaczęli go dobijać. Musiał mieć zdrowe serce, taki jego pech, normalny człowiek nie przetrzymałby pięciu minut podobnego pałowania, a ten męczył się z godzinę. Grohmann na koniec zrobił sobie zdjęcie z trupem jak z upolowanym niedźwiedziem. Wiesz, jak ładują ciała do pieca, to zazwyczaj po cztery naraz, chude na przemian z tłustymi. A słyszałem od jednego sonderowca, że na tego fabrykanta musieli mieć osobne palenisko. Taki z niego był pan.

– Po co mi to godosz?

– Tak mi się jakoś zebrało.

Jachimek zgasił papierosa, ostrożnie schował niedopałek do paczki. Podeszedł do drzwi i wyrzwał na ciemny korytarz.

– Czego ty właściwie chcesz?

Rajek zaciągnął się kilka razy i przydusił papierosa drewniakiem. Spojrzał na skrzynię przy pryczach.

– Musisz mi pomóc, Jachimek.

– A jednak.

– Ty już przed wojną liznałeś trochę medycyny.

– Taaa... Odbierałem cieloki, badałem kury i grzebałem koniom w zadkach. Ludzi nie leczyłem.

– Właśnie. Byłeś weterynarzem.

Rajek otworzył skrzynię i przykucnął. Nie patrzył na Jachimka.

– Rany boskie, pieronie! W obozie koncentracyjnym ochronka dla psów zakładasz?

– Ledwo zipie. Scharführer Grohmann tak go urządził.

– Grohmann? To ten, co chciał się boksować z Szajnerem?

– Słyszałeś, jak Szajnera załatwił?

– Tyle o ile. Wtedy jeszcze robiłem za fryzjera i tatuatora. Ale Szajnera dobrze pamientom, na klatce piersiowej miał wytatuowanego jednorożca. Jak tatuowałem mu numer obozowy, to dobrze się przyjrzołem rysunkowi, ktoś mu to całkiem ładnie wydziarował.

– Grohmann podrzucił mu czapkę podoficera SS i nóż. Niby że Szajner organizuje ucieczkę z obozu.

– I to jest wilczur Grohmann? Ten, co zagryzł psa adiutanta samego Kramera?

– Ano właśnie.

– A jo sie ciesza. Jak owczarki niemieckie esesmanów skaczom sobie do gardła, to Niemcy musza przegrać ta wojna.

– Nie żartuj. Pomóż mi go wyciągnąć.

– Przecia nie bydziesz go tu trzymoł. Pies to nie flaszka wódki. Któryś z flegerów cie zmiarkuje i wydo.

– Co robić?

– Oj, Rajek, Rajek, zaraz mi sie ta moja niemiecka narzeczono przypomino! W co jo sie pakuja? Zatargamy skrzynia do mnie.

W pokoju blokowego Jachimek stworzył sobie lokum w starokawalerskim guście. Stół przykrywał ręcznie tkany obrus o grubym splocie, ściany niemal ginęły pod tandetnymi makatkami ilustrującymi domowe scenki: „Dobra gospodyni dom szczęśliwym czyni”, „Zdrowa woda zdrowia doda”. Zaraz przy drzwiach kłął oczy

kolorowy malunek z koniem siorbiącym wodę z wiadra. W rogu pokoju blokowy urządził osłonięty parawanem kącik kąpielowy z miską, dzbankiem na wodę i lustrem. Jachimek nie miał zaufania do obozowych fryzjerów, sam się golił i strzygł.

– Dawoj go za parawan.

Rozstawili parawan na całą długość, wysunęli stojak z miską i na jego miejscu dali skrzynię. Jachimek rozłożył na podłodze koc, we dwóch dźwignęli psa ze skrzyni i przenieśli na koc. Przelewał im się przez ręce. Zaskomlił, kiedy Jachimek wprawnymi dłońmi zaczął obmacywać zranione miejsca.

– Przez skóra nic nie widza, ale na moja wycucie ze dwa żebra mo złamane. Powinny sie zrosnąć. A te rany... Tłukł go czymś ostrym i w kilku miejscach poprzecinoł. Ale pies z czegoś takiego szybko sie wylize. Najważniejsze, czy po łbie nie dostał. Chyba nie, miołby jakieś ślady.

– Przydałby się spirytus do dezynfekcji. I zastrzyk przeciwężcowy.

– Zobacza w ambulatorium. Zaroz wracom.

Jachimek nie zdążył dojść do drzwi, kiedy z korytarza dobiegł ich rumor upadającego ciała. Zaczęli nasłuchiwać. Ktoś gramolił się na nogi, bełkocąc niewyraźnie. Rajek poczuł, jak Mensch się napina, jakby próbował wstać. Drzwi zaskrzypiały i do pomieszczenia wtoczył się scharführer Grohmann, omal nie przewracając Jachimka.

– Kcie ta polska szfinia! – wrzasnął do Jachimka, kalecząc polski. – Wo ist das polnische Schwein?

– Herr Scharführer! – Jachimek próbował zasłonić Rajka, wyprężył się jak do raportu: – Nummer.....

– Ta polska szfinia, co ze mnom kce boks robicz... – bełkotał Grohmann. Ręką niezdarnie odpychał Jachimka.

Blokowy chwycił esesmana pod łokieć i bez ceregieli pociągnął na krzesło przy stole, posadził go bokiem do parawanu. Rajek mozolił się z kocem, ale skrzynia blokowała mu dostęp za parawan. Wreszcie zrezygnował; przesunął parawan, by zasłonić Menscha.

– Ululał się. – Jachimek ściszył głos. – Coś mu sie poprzestawiało z Szajnerem.

– Musimy się go szybko pozbyć.

Jachimek nachylił się nad Grohmannem i krzyknął po niemiecku:

– Herr Scharführer, mam dobrą wódkę.

– Dawaj!

– Trzymam w ambulatorium. Zapraszam!

Grohmann pogroził mu palcem:

– Przyszedłem w gości! Nigdzie się stąd nie ruszę! – Pochylił się na krześle i przez zmrużone powieki popatrzył na Jachimka: – Podejdź no tu bliżej! To nie ty się chciałeś ze mną boksować? Przyznaj się!

Jachimek okręcił się na pięcie, podszedł do łóżka i spod siennika wyciągnął opróżnioną do połowy butelkę. Wrócił z nią i dwoma metalowymi kubkami, rozlał wódkę i podniósł rękę do toastu.

– Herr Scharführer, strzemiennego!

Grohmann trzema haustami opróżnił kubek. Rozkasłał się.

– Strzemiennego? To daj na drugą nogę.

Jachimek podsunął mu swój kubek. Esesman odchylił głowę, przymknął oczy i przyłożył naczynie do ust. Wstrzymał się, żeby wygłosić toast:

– Piję za obersturmführera Thurnova. Żeby szlag go trafił. Niech jak najszybciej wyląduje tam gdzie ja. – Wlał w siebie drugą porcję i cisnął kubek na podłogę. – Wiesz, jak skurwysyn mnie urządził? Załatwił mi wyjazd na front wschodni. Zamiast na urlop do Berlina jutro jadę do Rosji.

– Za pana szybki powrót, Herr Scharführer.

– Lej. Masz rosyjską wódkę?

– Nie mam.

– W Rosji będę chlał, aż zdechnę. Chyba że mnie wcześniej zabiją. Nie, nie mogę dać się zabić. Muszę poczekać na Thurnova. Dokąd idziesz?

– Wódka się skończyła. Przyniosę nową butelkę.

– Jak się nazywasz?

– Marcel Jachimek.

– Świnia. Jesteś świnią bez nazwiska. Masz tylko numer.

– Tak jest.

– Marcel jak?

– Świnia.

– Świnia z wytatuowanym numerem. Numery nie mają grobów. Rozumiesz?

– Chyba tak, Herr Scharführer.

– Führer puszcza was kominem prosto do nieba. Wierzysz w Boga?

– Tak.

– Heil Hitler, Panie Boże. Tak Mu powiesz na powitanie. Tylko nie zapomnij

podziękować Führerowi. Należ mi jeszcze.

- Wszystko już rozlałem, Herr Scharführer.
- Kłamiesz! Podejdz tu!
- Wezmę nową butelkę.
- Komm hier! Du polnischer Dreck, komm hier! Los!

Rajek nie przewidział tego, co się wydarzy. Mensch na krzyk Grohmanna dzwignął łeb i, nim flegler zdążył zareagować, pies głośno zawarczał. W scharführera jakby piorun strzelił. Zerwał się, przewracając krzesło, i ruszył do parawanu. Jachimek w porę do niego doskoczył. Grohmann zdążył jeszcze wyciągnąć pistolet, kiedy mocny cios w kark zwałił go na podłogę.

- Przytrzymoj go! – krzyknął Jachimek.

Wypadł na korytarz. Kiedy wrócił, Rajek siedział okrakiem na próbującym się uwolnić Niemcu, dłonie zaciskał mu na gardle. Blokowy przykucnął i prawie nie mierząc, przez materiał munduru wbił w lewe ramię esesmana igłę strzykawki. Niemiec szarpnął się raz i drugi, znieruchomiał. Jachimek długo nasłuchiwał jego oddechu.

- Co mu dałeś? – spytał Rajek.
- Nie pytoj co, ino czy nie za wiela. Nie chca, żeby kojfnął.
- Co z nim zrobimy?
- Pies się uspokoił?
- Tak. Co teraz?
- Niech pomyśla. – Jachimek trzasnął Grohmanna w twarz. Esesman podniósł powieki, wybelkotał coś, powieki znowu mu opadły. – Z godzina bydzie jeszcze społ.
- Nie możemy go wypuścić.
- Tyla to i jo wiem.
- A jak go znajdą? Ciała nie ukryjesz.
- Nie znajdom. Pomóż mi.
- Co chcesz zrobić?
- Trzeba z niego te łaszki zrzucić.
- Chyba go nie spalisz?
- Jo nie.
- Lepiej nie wciągać w to sonderowców. Wyda się.
- Nie zawracaj mi dupa, dobrze? Za daleko to zaszło i biadolenie na nic sie zda.

Czasu szkoda.

Rozebrali Grohmanna do naga. Rajek podtrzymał esesmanowi głowę, a Jachimek

za pomocą swojej maszynki ściał mu włosy przy samej skórze.

– Ani on ładny, ani brzydki – mamrotał Jachimek, biorąc do ręki brzytwę. – Taki sie, skurwysyn, urodził i jo nic na to nie poradza. Jo go ino zmienia, coby som sie w lustrze nie poznoł.

Pozacinał Grohmanna na policzkach i na brodzie. Kiedy skończył, wyprostował się i obejrzał go z każdej strony.

– Gemba może być. Pieron trocha za tłusty, ale benca mu przecia nie utne. Ida do kancelarii po zeszyt z umarlakami.

Jachimek wrócił po kilku minutach. Długo przewracał kartki z ewidencją zmarłych. Wybrał numer sprzed trzech tygodni, w sześciocyfrowej liczbie dziewiątkę przerobił na ósemkę, stary numer wypisał na karteczkę – i z wprawą zabrał się do roboty. Rajek patrzył, jak spod przyrządu podobnego do wiecznego pióra wylania się na przedramieniu znajomo wyglądający wzór. Grohmann kilka razy zastękał, poruszył ręką, ale oczu nie otworzył. Jachimek skończył i splunął na szczęście.

– Jak ci sie widzi?

– No, Marcel, teraz to on jest heftling jak każdy z nas.

– Jeszcza nie.

Kiedy Jachimek z pomocą Rajka ubierał Grohmanna w pasiak z naszytym na piersiach nowym numerem, Niemiec próbował się podnieść. Dźwignęli go i usadowili na krześle. Jachimek założył na głowę esesmańską czapkę, stanął na wprost krzesła i strzelił Grohmanna w twarz. Ten otworzył oczy.

– Bacność! – ryknął Jachimek po niemiecku.

Grohmann zamrugął.

– Bacność! – powtórzył Jachimek. Spoliczkował Niemca. – Pijana świnió, nie poznajesz komendanta!

– Heil Hitler, Herr Sturmbannführer... – Ręka Grohmanna powędrowała w górę, zaraz opadła z powrotem.

– Powstań!

Rajek chwycił Niemca pod ramiona i szarpnięciem poderwał go w górę. Przytrzymał, żeby nie upadł.

– Natychmiast do komendantury! – wyrzaskiwał Jachimek Grohmannowi prosto w twarz.

Z pomocą Rajka Grohmann wytoczył się na korytarz. Dalej już poszedł sam. Rajek otworzył drzwi baraku i nakierował esesmana ku wyjściu. Niemiec stanął za progiem,

popatrzył na swoje bose stopy, machnął ręką i zrobił niepewne cztery kroki do przodu.

– Co ty wyprawiasz?! – syknął Rajek, ujrzawszy pistolet w ręku Ślązaka.

Jachimek położył palec na ustach. Odsunął Rajka, wychylił się na zewnątrz i strzelił w powietrze.

– Cisza nocna, panie flegler – powiedział. – Więźniom pod karom śmierci nie wolno opuszczać baraków.

Patrzyli przez szparę w uchylonych drzwiach. Grohmann na odgłos wystrzału przystanął, wyglądało, jakby zamierzał zawrócić. Raptem niezdarnie puścił się biegiem. Strzały z dwóch sąsiednich wież wartowniczych padły niemal jednocześnie. Grohmann leżał, a strażnicy nie przestawali strzelać. Jachimek zachichotał ponuro:

– Trudno będzie dojść, któremu należom się przepisowe trzy dni urlopu.

20. Z dziennika untersturmführera Stoop (4)

Oberscharführer Klescher zaprosił mnie do domu na niedzielny obiad. Mieszka w sąsiedztwie obozu – ładny parterowy domek, ogródek, żona dla zabicia czasu uprawia warzywa. Od dwóch lat nie była w Berlinie, tęskni za atmosferą dużego miasta, zżera ją nuda. Choć na brak zajęć nie narzeka. Przy trojgu małych dzieci pracy jest dość od rana do wieczora. Przytulne, zadbane pokoje, kuchnia lśni czystością, dzieci miłe, schludnie ubrane. Czegoś, wyczuwałem, jednak mi brakuje, by obraz rodziny był kompletny. No tak, przypomniały mi się słowa Lotty; jej marzenie jeszcze z dzieciństwa, które, wymogła na mnie, ziści się, kiedy w domu pojawi się pierwsze dziecko.

„Frau Klescher – odezwałem się przy obiedzie – nie myśleliście państwo o wzięciu psa? Dzieci ponoć lepiej dorastają przy zwierzętach”.

Nie skończyłem jeszcze, a już miała łzy w oczach. Dalibóg, czyżbym powiedział coś niestosownego?

„Wiem – odparła, dyskretnie przecierając oczy. – Sama jako dziecko miałam ukochanego psa. Ale zwierzęta, Herr Stoop, tak krótko żyją”.

Po obiedzie Klescher wyciągnął mnie do ogródka na papierosa. W trosce o bliskich w domu nie pali.

„Po cholere wyskoczyłeś pan z tym psem?! – huknął na mnie. – Zostawiłbyś dzieci choć na moment z takim mordercą jak to bydlę Grohmanna?”.

Wypalił papierosa i poszedł. Usiadłem przed domem na ławeczce, żeby ochłonąć.

Okno kuchni miałem tuż nad sobą i raptem, pośród szczęku talerzy, usłyszałem głos pani Klescher:

„Josef, musimy porozmawiać. Doszły mnie słuchy, że w obozie zabijacie ludzi”.

„Wierutne bzdury! Więźniowie umierają, ot co. Jest wojna. Przecież to też tylko ludzie”.

„Zagazowujecie ich. Ponoć sam bierzesz w tym udział”.

„Kochanie, jak bym mógł? Jestem podoficerem sanitarnym, nie katem! Przyjechałem tutaj, by leczyć. Kto ci takich kłamstw naopowiadał?”.

„Wiem od żony jednego z oficerów. Ponoć Anglicy podają takie informacje o Auschwitz przez radio. Wymieniają nazwiska winnych Niemców”.

„Brudna, wroga propaganda! – Klescher zaśmiał się głośno. – Alianci nie cofną się przed niczym, żeby nam zaszkodzić”.

Pani Klescher wymusiła na mnie, bym został na podwieczorku. Niepotrzebnie uległem. Przez cały ten czas zamartwiała się przy stole, że kiedy dzieci osiągną wiek szkolny, ona wciąż będzie tkwiła na tym odludziu. Przecież nie wyśle ich do szkoły z internatem!

„Święte słowa, Frau Klescher – zgodziłem się szczerze. – Żadna matka by się nie zgodziła na tak długą rozłąkę z dziećmi”.

Wieczorem byłem w dużo lepszym nastroju. Dałem się namówić i poszedłem na występ obozowej żeńskiej orkiestry. Koncert specjalny na cześć wizyty tego berlińskiego fircyka z aparatem fotograficznym. Niektóre dziewczyny niczego sobie. Sporo Żydówek. Mają szczęście, dłużej pożyją. Doskonały, zgrany zespół. Wierzyć się nie chce, że tępa, nieokrzesa Mandel potrafiła w krótkim czasie doprowadzić do powstania takiej orkiestry. Przebąkuje się, że niedługo dostanie awans na stanowisko SS-Oberaufseherin w którymś z podobozów Dachau.

Grohmann nie było. Nie jest tajemnicą, że Thurnov z zemsty załatwił mu wyjazd na front. Nie pochwalam takiego zachowania. Nie godne oficera. Ale Ernst też nie jest bez winy. Katował psa – i proszę, bydlę tak mu się odwdzięczyło.

Na zakończenie dnia miłe dwie godzinki w kantynie. Zaopatrzenie znacznie się poprawiło. Wina, wódki i jedzenia do woli. Chyba polubię węgierską śliwowicę.

A nazajutrz z samego rana wyczekiwana wiadomość – pod koniec przyszłego tygodnia przyjeżdża Franz. Kramer dotrzymał słowa.

21. Pies dla Frau Drechsler

NA ODGŁOS wystrzałów więźniowie zaczęli wyglądać na korytarz, ciekawi, co się stało, z pokoju flegerów wylegli zaspani sanitariusze. Jachimek chwycił drewnianą pałkę i z pomocą Rajka zaprowadził porządek. Ukryci we dwóch za uchylonymi drzwiami baraku, nasłuchiwali. Dwóch esesmanów rozprawiało o nowo przybyłym transporcie kobiet. Przekomarzał się z nimi podoficer sanitarny, dowodząc, że więźniarki zatrudnione w obozowym burdelu dają gwarancję profesjonalnej obsługi i regularnie przechodzą wymagane badania lekarskie. Więźniom z komanda trupiarzy kazał ściągnąć z zabitego pasiak i spisał wytatuowany numer. Trupiarze załadowali ciało na rolwagę i pod eskortą jednego z esesmanów ruszyli w stronę czwartego krematorium. Napływający z wiatrem odór dowodził, że sonderowcy palą już kobiety z ostatniego transportu, których nie wybrano do pracy.

Wrócili do pokoju Jachimka. Blokowy popatrzył na pustą butelkę po wódce i dwa opróżnione kubki.

– Wiesz co? Nie zazdroscza Grohmannowi.

– Ja myślę!

– Jak prościutko z komino wywieja go do nieba i tam powie Panu Bogu Heil Hitler, to tak dostanie od Niego w gemba, że zapomni niemieckiego.

– Nie gadaj głupot, Jachimek. Esesmani nie idą do nieba.

– A czy ja mówią, że idom? Zanim trafi do piekła, musi ktoś takiemu morda obić.

Przece nie diabeł. W piekle Grohmannowi bydzie jak w rodzinie.

Rajek się zaśmiał. Jachimek spoważniał.

– Pomyślmy teroz, co dalej.

– Trzeba usunąć mundur. Najlepiej spalić.

– Nie od razu. Mundur nam się przydo.

– Chyba nie zamierzasz...

– A mosz inny pomysł? Pies nie może tu zostać. Ktoś go prendzej czy później wypatrzy i rozpozno. Jak zacznom wenszyć za Grohmannem, to lepiej, coby jego pies nikomu nie rzucił się w oczy.

– Co proponujesz?

– Lubisz Frau Drechsler?

– Tę esesmańską gnidę?

– Gnida, kanalio, kurwizson i sadystka. Setki kobiet posłało do pieca. Ale, pieronie,

staroj sie myśleć o niej ciepło. SS-Rapportführerin Drechsler wcionż nie może sie pozbieroc po stracie ukochanego owczarka. Rozumiasz?

*

– Du polnischer Dreck! Ruszaj się, ruszaj!

– Pocałuj mnie w dupę!

– W dupa to cie może Drechslerka bydzie całować, jak sie jej spodobosz. Czemuś, pieronie, nie założył garnituru? Jak wyglondom?

– Prawie jak Grohmann.

– No to się nie zdziw, jak ci przy jakim Niemcu w facjata przyfasuja. Nie moga sie wyróżniać. Gotowy?

– Marcel?

– No?

– Obiecałeś.

– Obiecałech, to słowa dotrzymom. – Jachimek zacisnął usta. – Jak sie wydo, to pierwszo kulo dla ciebie, drugo dla mnie. No, zbieraj dupa w troki! Musimy dojść, zanim apel sie skończy.

Wyszli przed barak. Skrzynia spoczywała już na rolwadze. Jachimek kopniakiem nakierował Rajka, Rajek pchnął rolwagę i ruszyli ulicą średnicową do wartowni między obozem męskim a kobiecym.

– Owczarka Drechslerowej bali się nawet esesmani. – Jachimek ręce trzymał luźno na pasie munduru. Pierwsze z komand pracujących na zewnątrz maszerowały piątkami przy dźwiękach obozowej orkiestry do głównej bramy. – Pewnego ranka, to było gdzieś w marcu, psa znaleźli przy ogrodzeniu pod wysokim napieniem. Pewnie za czymś gonił, za blisko podszedł i prond go kopnoł. Poszła gadko, że ktoś mu w tym dopomógł, jednak dowodów nie było. Drechslerowa ryczało jak bóbr. Ale co miało robić, kazała psa pochować. A jak sobie poszła, „grabarze” odkopali owczarka, wykroili jak z cielaka co lepsze, reszta zakopali z powrotem. Minso długo sie gotowało, ale w smaku było niezgorsze. Zapach taki sie rozszedł, że nawet Szwaby sie wprosiły. Wtranżały esesmańskiego wilczura, aż im sie uszy trzensły! Groźnie sie zrobiło, bo któryś z naszych zaszczekoł, któryś inny dołonczył i zaczeno sie ujadanie. Na szczyńście Niemcom wóda już zdonżyła uderzyć do głowy i zamiast pytać, o co chodzi, skamlaniem...

– Jachimek? – przerwał mu Rajek, nie odwracając głowy.

– Co?

- Po cholere mi to mówisz?
- Cobyś w razie czego wiedział jak najwiecej o Drechslerowej i tym jej wilczurze!
- A jak się wabił?
- Pies?... Nie pamientom...
- To przestań mlec jęzorem. Dobrze, Marcel?
- Dobra, pieronie, boja sie. Jak jo szedł do tej mojej niemieckiej dziolchy, to też miolech strach u tyłka, ale jo nie wiedział, czym to sie może skończyć. A teraz wiem.
- Trzeba było tak od razu.

W wartowni pełnił służbę blondyn o końskiej szczęce. Kilka metrów od celu Jachimek zatrzymał konwojowanego, wyjął z kieszonki munduru paczkę papierosów, zapalił jednego i wydmuchując dym, niespiesznie ruszył dalej. Blondyn wychylił głowę z okienka wartowni. „Szeregowiec” – ucieszył się Rajek.

- Z frontu? – zagaił Jachimek po niemiecku.

Rottenführer podejrzliwie skinął głową. Lewą stronę twarzy miał posiekaną jak świeże mięso.

- Granat – wyjaśnił opryskliwie.
- Szczęście w nieszczęściu – skomentował Jachimek. – Tutaj będziesz miał jak u Pana Boga za piecem.

Podał wartownikowi wypisaną przez siebie, lewą przepustkę na więźnia. Niemiec porównał numer na przedramieniu konwojowanego z wypiską.

- Co jest w skrzyni?
- Lekarstwa i środki higieniczne dla szpitala kobiecego. – Poczęstował Niemca gauloisem. Przypalając mu papierosa, dodał: – Zabronili otwierać. Podobno to jakieś materiały z eksperymentów medycznych do wysyłki do Berlina.

– Dobrze. – Rottenführer zaciągnął się papierosem. – Nie ma pan pojęcia, Herr Scharführer, jakie gówno paliłem na froncie.

Patrzył, jak ręka Jachimka wędruje do kieszonki munduru.

- Wiadomo już, co ze scharführerem Grohmannem? – spytał Jachimek.
- Gdzie tam! Wciąż szukają.
- Pewnie nie mógł się doczekać wyjazdu na front. – Jachimek się zaśmiał.
- Pieszko daleko nie ucieknie. Złapią go.
- I jakiś szczęśliwiec dostanie parę dni ulopu. Bierz, częstuj się. – Położył przed wartownikiem ledwo napoczętą paczkę gauloisów.
- Dziękuję, Herr Scharführer. Urlop to świetna rzecz. Ale w Auschwitz tak czy owak

czuję się jak na urlopie.

– Święte słowa. Heil Hitler! No, ruszaj się, ty kupo łajna! Schnell, schneller!

Poszli dalej ulicą średnicową. Na rampie kanadziarze kończyli ładować na ręczne wózki bagaże z nocnego transportu.

Minęli budę instalatorów. Szczęście im dopisało – przy bramie obozu kobiecego pełniła dyżur więźniarka. Nie patrząc na przepustkę, podniosła szlaban. Uliczki i place między barakami świeciły pustkami. Większość komand pracowała poza obozem, po porannym apelu na miejscu zostały tylko funkcyjne i więźniarki zatrudnione do robót na terenie Frauenlager.

– Gdzie teraz, Herr Scharführer?

– Nie słyszołeś, głupi Poloku, co mówiłem na wartowni? Kierunek: szpital.

– Tylko wstydu mi nie narób. Wiesz, kto tam pracuje.

Przebiegli pusty plac odcinka B1a i skierowali się do bloku

24. Jachimek pierwszy wszedł do budynku i od razu skierował się do pokoju blokowej. Szarpnięciem otworzył drzwi.

Na jego widok młoda kobieta, w białym kitlu i opasce funkcyjnej, szybkim ruchem schowała prawą rękę za siebie. Na krześle obok niej siedziała więźniarka z odsłoniętym lewym ramieniem.

– Herr Scharführer... – Blokowa próbowała położyć trzymany w ręku przedmiot na stoliku za plecami.

– Was ist hier los? – Z marsową miną, kalecząc język, Jachimek powtórzył po polsku: – Co sze tu cieje? Na froncie tysionca niemiecka soldat kaput, bo nie ma zaszczyka, cigaretten ani wótki, a ty marnujesz zaszczyka dla wienzień?

Blokowa wybałuszyła ciemnoniebieskie oczy. Lewą ręką machinalnie poprawiła chustkę na głowie, jakby chciała schować wymykające się spod materiału kosmyki jasnoblonde włosów.

– Kopnij tego zafajdanego Ślązaka w dupę, zasłużył sobie. – W drzwiach pokazał się Rajek. – Wyobraź sobie, Lucyna, że nawet Niemcy nie chcieli wziąć go do Wehrmachtu, gdzie by mógł chlubnie oddać życie za Führera i Reich.

*

Rajek i Jachimek uzgodnili zawczasu, że część historii pominą milczeniem. Ni słowem nie wspomnieli, jaki los spotkał Grohmana. Opowiedzieli za to ze szczegółami, jak scharführer Grohmann potraktował przydzielonego mu wilczura. Lucyna z początku oponowała przeciwko pomysłowi, by do sprawy mieszać Drechslerkę. „Po tym chudym

mściwym pokurczu – twierdziła – można się spodziewać najgorszego”. Ustąpiła przed argumentem, że bez aprobaty i pomocy rapportführerin Drechsler cały misterny plan legnie w gruzach.

– Nie mówileś, pieronie, że masz tako narzeczona! Głowa u panny Lucyny nie od parady. A uroda! – Jachimek po blamażu z „esesmańską inspekcją” próbował się w oczach kobiety zrehabilitować.

Przebrał się już w cywilną marynarkę – dla odróżnienia od ubioru cywilów oznakowaną na plecach krzyżem pomalowanym czerwoną farbą – do której noszenia miał prawo z racji pełnionej funkcji.

– Pani, nie panna – poprawiła go Lucyna. – Mąż nie przeżył transportu.

Jachimek zamilkł. Z opresji wybawił go krzyk od drzwi baraku:

– Uwaga, zbliża się!

Rapportführerin Drechsler nadjeżdżała rowerem od strony odcinka B1b. Spod furkoczącej spódnicy wystawały spiczaste kolana. Furażerkę głębiej nacisnęła na oczy i przyspieszyła na widok czterech więźniarek dźwigających tragi z ubraniami do odwszenia. Wybrała pierwszą z lewej. Skręciła raptownie, uderzając w nią rowerem niczym taranem. Muzułmanka zważyła się jak długa. Ledwo wygrzebała się spod stosu ubrań, esesmanka kopniakiem przewróciła ją na plecy i zaczęła siec szpicrutą, gdzie popadło.

– Ruszamy – postanowił Jachimek.

We dwóch pociągnęli rolwagę, kierując się prosto na Drechslerkę. Nie mogła ich nie zauważyć. Przerwała bicie, obciągnęła spódnicę.

– Co jest w skrzyni?

Postawili skrzynię i przepisowo ściągnęli czapki. Jachimek, wyprężony, wyrecytował ścisłym głosem, jakby zawierał tajemnicę:

– Właśnie pani szukamy, Frau Lagerführerin.

Przyglądała mu się, niepewna, czy awansując ją na kierowniczkę obozu, nie kpi sobie z niej.

– Otwierać!

Jachimek podniósł wieko. Mensch, oślepiiony słońcem, poruszył się niemrawo.

– Czyj to wilczur?

– Scharführera Grohmanna, Frau Lagerführerin.

– Ten, co rzucił się na psa Obersturmführera Thurnova?

– Scharführer Grohmann specjalnie tak Menscha wytresował, Frau Lagerführerin.

– Skąd wiesz?

Jachimek wytrzymał spojrzenie Niemki. Nachylony nad skrzynią, ściszym głosem powtórzył:

– Thurnov! Thurnov!

Mensch wyszczerzył zęby, próbował się zerwać.

– Grohmann tak go urządził? – Drechsler przeciągnęła ręką po psim łbie.

– Dwa żebra złamane, rany cięte na boku i brzuchu. Mózg chyba nienaruszony, ale pewność dałoby prześwietlenie rentgenem. Chociaż w przypadku urazu głowy zazwyczaj występuje krwotok z nosa albo pyska.

– Jesteś lekarzem?

– Flegierem. Przed wojną pracowałem jako pomocnik weterynarza.

– Dlaczego pomyślałaś akurat o mnie?

– Przy dobrej opiece mógłby się wylizać. Potrzebuje troskliwej ręki.

– Komm! – Ruszyła do bloku 24, prowadząc rower za kierownicę. Jachimek i Rajek z rolwąga podążali kilka metrów w tyle. Z bloku wybiegły dwie młode flegerki, za nimi pokazała się Lucyna. Stała na wprost Drechsler: wysoka, postawna, o regularnych, wciąż ładnych rysach twarzy, jakby samą obecnością urągając esesmance, którą nawet niemiecka załoga przechrzciała na „Kostuchę”, „Kobylę”, „Zębata” i „Strzygę”.

Drechslerce chyba podobna myśl przyszła do głowy. Lewą ręką zerwała Lucynie chustkę z głowy, drugą trzasnęła ją w twarz.

– To jest obóz koncentracyjny! Zetniesz te kudły albo sama ci je wyrwę!

– Tak jest!

– Zajrzyj do skrzyni. Co widzisz?

– Psa.

– Swoją przyszłość. Jeśli go nie wyleczysz, to pošlę cię do bloku 25. Zrozumiałaś?

– Tak jest.

– Ten pies należy do mnie. Masz siedem dni, żeby postawić go na nogi.

– Frau Lagerführerin – wtrącił się Jachimek – jeśli ma pani takie życzenie, chętnie pomogę.

– Kto jest twoim przełożonym?

– Doktor Helmersen.

– Blokowa – esesmanka patrzyła na Jachimka – ten flegier będzie ci pomagał. Jest weterynarzem.

– Tak jest.

Drechslerka kierowała się już do bloku na inspekcję. Jachimek zdobył się na odwagę:

– Frau Lagerführerin, możemy mieć prośbę?

– Słucham?

– Przeszliśmy z psem na teren obozu kobiecego bez przepustki. Scharführer Grohmann mógł się w każdej chwili pokazać, baliśmy się. Kazał psa dobić i spalić. Gdyby zobaczył, że nie posłuchaliśmy rozkazu...

– Zanieście psa na blok. Dokończę inspekcję, to was odprowadzę.

Pokołowali rolwąę pod blok. Kiedy ściągnęli skrzynię na ziemię, Rajek zapytał Jachimka:

– Jak to zrobiłeś? W tak krótkim czasie nauczyć psa agresji na komendę!

– Odruch warunkowy, pieronie. Żeby mi od razu nie podł, musiołech dać mu kilka zastrzyków. Jak jo wbijoł mu igła, to mówiołech: „Thurnov”. Nikt nie lubi, jak go w dupa kłujom.

– Znasz się na zwierzętach! Szkoda, że cię jeszcze z nami nie było, jak pies Grohmanna trafił tu za pierwszym razem.

– Wielą bym mu nie pomógł.

– Skąd ta pewność?

– Bo z miejsca dałbych mu szpryca z fenolu. Nie wierza, że esesmański pies może się zmienić. – Po namyśle mruknął: – Nie wierzyłech aż do teraz.

22. Dla wyższych celów

DZIEŃ W DZIEŃ Lucyna Steiner widziała, jak wyprowadzane z baraków, po raz ostatni przemierzają Birkenau i znikają za bramą w murze odgradzającym blok 25 od reszty obozu. Ciężarówka zabierała je o wpół do dziewiątej wieczorem. Muzułmanki z popołudniowej selekcji miały przed sobą trzy, cztery godziny życia, te z porannej wybiórki czekały nawet pół dnia. Zastanawiała się, o czym myślą przed przyjazdem ciężarówki. Nie trzeba wyobraźni, by rozrysować ostatnią trasę punkt po punkcie: ciężarówka, gaz, krematorium.

„Frau Steiner, mąż jest uparty. Wielu mężczyzn w imię fałszywie pojmowanego honoru woli zginąć. Wstydzą się przyznać przed kobietą, że też odczuwają lęk. Pani może uratować jego i siebie. Proszę podpisać listę. Mąż zrobi to samo i, zaręczam,

będzie pani wdzięczny”. Hauptsturmführer Riedel niemal do końca wierzył, że odniesie zwycięstwo. Odwiedził ich w więziennych celach jeszcze w przeddzień transportu. Nie mieściło mu się w głowie, że Niemcy z dziada pradiada, spolszczeni zaledwie od dwóch pokoleń, nie chcą za cenę jednego podpisu zachować życia i przywilejów, włącznie z możliwością kontynuowania lekarskiej praktyki. Nie mógł wiedzieć, że Bruno poza niepraktycznym przywiązaniem do honoru zachował niemiecki pragmatyzm. „Moja droga, kto jak kto, ale ja Niemców znam – przekonywał ją jeszcze w bydłącym wagonie. – Działają z przestrzeganiem procedur i nigdy na oślep, dążą w uporządkowany sposób do jasno wytyczonego celu”. Gdyby Bruno przeżył transport, zdziwiłby się wielce z odkrycia, że niemiecki porządek obrał sobie za cel zamianę człowieka w popiół.

Tego ranka Drechsler przeprowadziła selekcję bez zwykłej dla niej celebry, jakby tylko wykonywała zleconą jej pracę, nie próbując czerpać z zadania zwykłej dla siebie w takich okolicznościach przyjemności. Należało zwolnić dwadzieścia miejsc, bo tyle kobiet wracało do baraku szpitalnego po eksperymentach doktora Wirthsa; wracają na krótko, na czas potrzebny do przeprowadzenia ostatecznych badań porównawczych. Dopiero potem się zdecyduje, które trafią przez blok 25 do krematorium, a które jako materiał badawczy zaliczą pośredni przystanek – stół sekcyjny.

Szpicruta Drechslerki wskazywała dziś na chybił trafił. Do „dwudziestki piątki” trafiły więźniarki z podejrzeniem tyfusu, wycieńczone przez biegunkę muzułmanki, ale i kobiety spodziewające się wypiski ze szpitala do pracy.

Blokowa Steiner pod okiem esesmanki sporządziła listę kobiet poddanych „specjalnemu traktowaniu”. Większość szła z rezygnacją, żadna nie stawiała oporu. Groźne dla porządku w obozie były nowo przybyłe, jeszcze nieodwykłe od wolności. Tak jak owa młoda Francuzka, która już pierwszego dnia rzuciła się na ogrodzenie pod napięciem. Albo Czeszka, która podniosła rękę na rapportführerin Drechsler. Nie chciała pracować dla Reszy, od tego się zaczęło. „Dlaczego ta świnią jeszcze wyleguje się na pryczy?!” – ryknęła Drechslerka podczas porannej inspekcji bloku. „Odmawia pójścia do pracy” – zaraportowała sztubowa z bloku Czeszki. „Nie chcesz pracować?” – spytała Drechsler, kiedy Czeszkę postawiono na baczność na placu apelowym. „Nie będę pracować dla Niemców”. Esesmanka trzasnęła ją w twarz. A Czeszka na oczach więźniarek na placu apelowym wymierzyła jej tak siarczysty policzek, że Niemce furażerka spadła z głowy. Większość zazdrościła Czeszce śmierci, jaka ją spotkała. Zginąć od jednej kuli, w aureoli zwycięzcy! Owszem, zgodnie z obozową praktyką podzieliła los innych i zamieniła się w popiół; ale od teraz, patrząc na Drechsler, łatwo

pomyśleć, że gdyby Czeszka zamachnęła się mocniej, Niemka straciłaby kilka z wystających zębów. Można sobie było wyobrazić, że wystarczy otoczyć rapportführerin Drechsler ciasnym kręgiem i krok za krokiem zaciskać wokół niej pierścien z ciał, by na chwilę odzyskać godność, zobaczyć, że Niemiec też umiera.

Poza samą obozową śmiercią przerażała biurokracja stosowana wobec trupów. Choć przyczyną zgonu był niemal zawsze cyklon B, Niemcy domagali się papierkowej ekwilibrystyki, każdemu z zagazowanych i ze spalonych należało przypisać indywidualną śmierć. Fikcyjna przyczyna i wzięta z powietrza godzina zgonu wpisywały się w mechanizm oszustwa, były częścią tego samego porządku, który odbierał ludziom narodowość, domy i nazwiska, a na koniec pozbawiał życia.

Drechsler, po odstawieniu więźniarek do bloku 25, powróciła zarumieniona, podobna do czerstwej chłopki, która korzystnie sprzedała gęsi na targu. Wpadła do pokoju blokowej i pochyliła się nad psem.

– Jak się wabi?

– Mensch – odpowiedział Rajek zza progu. – Tak wołał na niego scharführer Grohmann.

– Mensch – powtórzyła Drechsler. – Oczywiście, że Mensch. Nawet patrzy jak człowiek.

Nagle zaczęło jej się spieszyć. Wybiegła przed blok, wskoczyła na rower i popedałowała do wartowni, przynaglając Rajka i Jachimka, by nie zostawali w tyle. Lucyna wyjrzała za nimi: szlaban się podniósł i esesmanka z dwoma więźniami ruszyła w kierunku drogi prowadzącej do męskiego obozu.

Kiedy wróciła do pokoju, czekała już na nią Teresa Melliqué. Belgijska Żydówka urodzona w Polsce, która do wybuchu wojny ukończyła trzy semestry farmacji, była prawą ręką Lucyny – sprawowała kontrolę nad lekarstwami i nadzorowała czystość w szpitalnych sztabach.

– Nie mamy świeżych sienników. Jak przywiozą te kobiety od Wirthsa, musimy położyć je na starych – poinformowała Lucynę.

– Wiem.

– Niektóre sienniki nie nadają się do użytku.

– Przecież wiem!

– Co cię ugryzło?

– Po co zaczęłaś z tymi siennikami? Te nowe dziewczyny od Wirthsa i tak długo tu nie zostaną!

– Chodzi o psa? Właśnie to wyprowadziło cię z równowagi?

– Nie mamy czym leczyć ludzi! A Niemra przychodzi i każe mi pielęgnować to esesmańskie bydlę!

– Nie masz wyboru.

We dwie pochyliły się nad psem. Wyczuł ich obecność, bo otworzył oczy i spróbował zamerdać ogonem.

– Żebym chociaż miała pojęcie o leczeniu zwierząt! – Lucyna ostrożnie dotknęła boku Menscha.

– No to narzeczony cię urządził.

– Rajek nie jest moim narzeczonym.

– Kocha cię.

– Może. Ale jakie to ma znaczenie w Auschwitz?

– Auschwitz kiedyś się skończy.

Lucyna nie odpowiedziała, zajęta badaniem psa.

– Pęknięte żebra powinny się zrosnąć... Ale kto wie, co jest w środku. Drechsler chyba nie sądzi, że przeprowadzimy tu operację!

– Rajek musiał zdawać sobie sprawę, że na wiele się nie przydasz. Nie próbowałaś mu tego wyperswadować?

– Bali się, że w męskim rewirze Grohmann prędzej psa wypatrzy. Drań był pewny, że udało mu się zakatować zwierzaka na śmierć.

– Wierzysz w tę historię?

– Że Mensch w obronie więźniarki rzucił się na esesmańskiego wilczura? Nie.

– Mogło coś mu się przywidzieć.

– Przy takiej tresurze? To automaty. Nie pomylą „bierz” z „podaj łapę”.

Mensch się poruszył. Nie miał siły wstać, ale wyciągnął łapę.

– Zupełnie jakby rozumiał. – Lucyna się zaśmiała. – Może Grohmann na wszelki wypadek nauczył go polskich komend?

– Chcesz powiedzieć, że niemiecki żołnierz nie do końca wierzy w zwycięstwo Rzeszy?

Przerwały im krzyki i strzały na zewnątrz. Teresa podeszła do frontowych drzwi i wyjrzała. Po dwóch minutach wróciła.

– Drechsler przeprowadza selekcję w sąsiednich barakach. Któraś z ciężarnych nie chciała iść, więc ją zastrzeliła.

– To musi być bardzo łatwe. Mierzysz i pociągasz za spust. Jak myślisz?

*

Wczesnym popołudniem szpitalny barak odwiedził doktor Edward Wirths w towarzystwie rapportführerin Drechsler. SS-Sturmbannführer Wirths wciągnął nosem powietrze: ze wszystkich kątów przepisowo zalatywało chlorem, mokra podłoga sprawiała wrażenie świeżo wymytej. Była wojna, niemieccy synowie ginęli na froncie, przelewali dobrą niemiecką krew, aryjskie nogi i ręce trzeba było amputować nierzadko bez znieczulenia; w takiej sytuacji trudno wymagać, by obozowy więzień, który ma w dupie Führera, Rzeszę i ogólnie życzy Niemcom jak najgorzej, wylegiwał się w prawdziwym szpitalu i łykał prawdziwe medykamenty. Rajek wyraził to w podobnie dosadny sposób już na samym początku swego flegerowania, i trudno było się z nim nie zgodzić. „Latryna ma śmierdzieć gównem, a szpital chlorem” – parodiował podoficera sanitarnego Josefa Kleschera. Od siebie dodawał: „Jak w krótkim czasie zbudować nowoczesny szpital? Polewasz podłogę baraku roztworem chlorowanego wapna i gotowe”.

Doktor Wirths obwąchał barak, zlustrował podłogę – i dał znak, by wnieść jego pupilki. Na zwolnionych rano siennikach układano więźniarki wysterylizowane promieniami rentgena; młode kobiety poddane sztucznemu zapłodnieniu albo operacyjnie pozbawione jajników; właścicielki macic zamienionych przez naukę niemiecką w żywe hodowle rakowych komórek; Żydówki z Polski, Francji, Niemiec, Belgii, Holandii, Czech i ze Słowacji zakażone drobnoustrojami, na które medycyna niemiecka dopiero szukała nazwy i wojennego zastosowania.

Doktor Wirths musi być na bieżąco informowany o postępach choroby – materiał badawczy winien bez opóźnień trafić na stół sekcyjny. W przeciwieństwie do praktyk szpitalnych w tak zwanym wolnym świecie choroba w Auschwitz ma pełne prawo bytu, dla tak zwanych wyższych celów jest sztucznie wywoływana i podtrzymywana, zatem zwalczanie jej byłoby występowaniem przeciw owym wyższym celom, przez które należy rozumieć dobro niemieckiego narodu.

Doktor Wirths sprawił się szybko i już opuszczał blok, Drechsler podreptała za nim. Zatrzymała się na chwilę, by zajrzeć do pokoju blokowej. Rajek z Jachimkiem zajmowali się psem: usztywniali bandażem miejsce, gdzie doszło do złamania żeber. Wyraźnie ukontentowana, esesmanka powiedziała po polsku:

– Robicz, robicz, dobsze! Wy się staracz, nagroda. No, to dla pies. – Rzuciła papierową torbę na łóżko blokowej i wybiegła za Wirthsem.

Jachimek wysypał zawartość na łóżko.

– No, no! – Gwizdnął przez zęby. – Może pani doktor otwierać klinika.
– Ta zmora pewnie wszystko dokładnie przeliczyła! – zachnęła się Lucyna.
– Guzik się zna na leczeniu – skomentował Rajek. – A pies się jej nie poskarży, że czegoś nie dostał. – W trój kę zaczęli przeglądać medykamenty. – Zastrzyki, środki przeciwbólowe, rozkurczowe, węgiel na biegunkę. Nawet tabletki na pobudzenie apetytu! Tak, to ostatnie to w Auschwitz najbardziej chodliwy towar.

Nawet Lucyna się roześmiała.

– Długo będzie nosił ten opatrunek z bandaża? – spytała. Mensch zmienił pozycję: położył się na brzuchu, oparł mordę na przednich łapach i nie spuszczał z nich ślepiów.

– Trzy, cztery dni. – Jachimek obejrzał się na drzwi. – Tak po prawdzie, to wcale by nie musiał, bo żebra nie przebiły skóry. Ale pomyśleć, że trocha teatru nie zaszkodzi. Niech Drechslerka widzi, jak sie storomy.

– Marcel przed wojną był weterynarzem – przypomniał Rajek.

– Pomocnikiem.

– Skoro zwaliliście mi ten kłopot na głowę, to chciałabym chociaż wiedzieć, w jakim pies jest stanie?

– W nie najgorszym. – Rajek odpowiedział za Jachimka. – Chyba nie doszło do krwotoku wewnętrznego, bo brzuch byłby opuchnięty.

Jachimek się roześmiał.

– Pieronie, lepiej lecz ludzi, od zwierzków trzymoj się z dala. Jakby on miał krwotok, to dzisiaj nie widziolbyś psa, ino trupa.

Lucyna przyjrzała się Menschowi.

– I tak wygląda lepiej, niż jak go przynieśliście.

– W myśl powiedzenia: goi się jak na psie – skomentował Rajek.

– Jak na esesmańskim psie. – Jachimek wstał, podniósł rozkazująco rękę i zawołał:
– Gib Laut!

Mensch poruszył się niespokojnie. Lucyna stanęła na wprost niego i wyraźnie wydała polecenie:

– Daj głos!

Mensch spróbował się unieść; łapy rozjeżdżały mu się, w końcu zdołał usiąść – i zaszczekał.

– A to pieron! Chyba jednak zdrowo dostał po łbie od Grohmanna. – Jachimek pokręcił głową. – Pierwszy roz widza owczarka niemieckiego w służbie SS, który rozumia po polsku lepiej niż po niemiecku.

– Podobny do ciebie, Marcel.
– Nie rozumia?
– Trochę Niemiec, trochę Polak.
– Coś jak Ślonzok? Niech ci bydzie. No, Rajek, pora na nos. Helmersen zwolnił nosino na godzina. Pani doktor, prosza mu dać wieczorem ten zastrzyk. O jedzeniu nie mówia, Drechslerka na pewno nie pozwoli własnemu psu zdechność z głodu.

Jachimek wyszedł pierwszy, pozwalając, by Rajek i Lucyna chwilę zostali sami. Rajek przytulił ją niezdarnie.

– Włosy ładnie ci odrosły.
– Muszę ściąć, Drechslerka mi nie odpuści.
– Przepraszam, że ściągnąłem na ciebie ten kłopot. Chciałem dobrze...
– Wymyśliłeś sobie, że będziesz mógł mnie częściej widywać?
– Tak to łatwo rozszyfrować?
– Zapominasz, Rajek, że my, lekarze, mamy rentgena w oczach.
– Nie „Rajek”, „Michał”! Dlaczego się uparłaś, żeby nie mówić mi po imieniu?
– Jeszcze nie teraz.
– Proszę!
– W Auschwitz jesteśmy tylko numerami. Próbuję sobie wmawiać, że to nie na zawsze, ale czasem chyba sama w to nie wierzę. Muszę oddzielić te dwa światy. Chcę mieć dokąd wrócić, kiedy to się skończy.

23. Z dziennika untersturmführera Stoop (5)

Przeżyłem najkoszmarniejsze chwile mojego życia! Pomagałem przyjmować na rampie południowy transport. Poszło sprawnie. Zanościło się na deszcz, więc nakazałem szybszy marsz. Nawet nie trzeba ich było specjalnie popędzać. Zawsze wierzą, że u kresu czekają na nich ciepła kąpiel i zupa. Do teraz nie wiem, jakim cudem rzecz się stała, ale jeden z Żydów coś wywachał. Nie spostrzegłem, kiedy prze sunął się na tył kolumny. Wtem patrzę, a Hanzlik krocący obok mnie ściąga automat. Żyd niepostrzeżenie zdołał się wykminić i gnał teraz przed siebie jak zajac.

W jednej chwili byłem mokry, jakbym wyszedł spod prysznica. Powstrzymałem Hanzlika, a sam rzuciłem się za zbiegiem. Nie chciałem strzelać. Pamiętałem, co spotkało Hansa Anhalta, kiedy dopuścił do wybuchu paniki wśród Żydów idących do

krematorium. Mało brakowało, a by go zdegradowali i odesłali na front. „Jezu, dopomóż mi” – modliłem się w myślach. Uciekał, jakby dostał skrzydeł. Dogoniłem go i przewróciłem na ziemię. Wciąż bałem się użyć broni, żeby nie robić hałasu. Uduśiłem gada gołymi rękami. Po tym długo jeszcze nie mogłem się otrząsnąć. Biedny Franz! Gdyby mnie się oberwało, spokojna służba w Auschwitz przesłaby mu koło nosa.

Coraz więcej przemawia za tym, że Grohmann uciekł w obawie przed wysłaniem go na front. Nawet po nim bym się nie spodziewał tak dalece posuniętego tchórzostwa.

24. Żydowski brzuch

Mensch poruszył się pod stołem. Po zastrzyku ból w boku złagodniał. Miał wrażenie, że przykrywa go wielka, emanująca ciepłem ręka. Ciepło rozchodziło się po całym ciele, wraz z nim ogarnęło go senne rozleniwienie. Kobieta, do której więźniowie zwracali się per „Lucyna” albo „pani doktor”, powróciła do przeglądania medykamentów w prowizorycznej apteczce w szafie. Potem wyszła, zostawiając drzwi uchylone. Mensch wypełził spod stołu i położył się pod ścianą przy drzwiach. Z korytarza dobiegły go odgłosy bieganiny. Bieganina ustała i zaraz potem rozległy się niemieckie komendy. Wydawano rozkazy, przyjmowano meldunki. Dominował spokojny, męski, władczy głos. Lekarka próbowała coś tłumaczyć. Mężczyzna, do którego zwracała się „doktorze Mengele”, odpowiedział rozkazująco. Zaległa cisza. Dało się słyszeć szuranie drewniaków i przytłumiony płacz. Trzasnęły drzwi wyjściowe. Naraz barak ożył. Słysząc było przekleństwa i śmiech, o betonową podłogę energicznie stukały drewniane podeszwy. Ucichło, kiedy nadjechały ciężarówki i motocykle. Zatrzymały się w pobliżu, czekały z pracującymi silnikami. Przez warkot silników przebijały kobiece krzyki. Słaby głos zaintonował pieśń w niezrozumiałym dla Menscha języku. Śpiew zagłuszyły komendy i ujadanie psów. Padł pojedynczy strzał, po nim dwa następne. Wreszcie trzasnęły drzwi szoferek i ciężarówki odjechały w asyście motocykli.

Do baraku wrócił spokój. Mensch zasypiał. Przez sen, jakby z bardzo daleka, dobiegł go płacz dziecka. Po chwili i ten dźwięk rozplynał się we mgle, która spowijała go coraz szczelniej.

*

Doktor Mengele zjawiał się krótko po rozpoczęciu apelu. Dwóch esesmanów zostało na zewnątrz, kurzyli papierosy. Towarzyszący doktorowi podoficer sanitarny Klescher

stał z otwartym notesem, gotów zapisywać numery. Dwóch więźniów z komanda truponoszy czekało przy drzwiach, tragi oparli o ścianę. Mengele wysłuchał meldunku blokowej Steiner o stanie izby chorych. Pogwizdując arię z Rigoletta, zapuścił się między prycze, Steiner podążyła za nim. Pilnował się, by niczego nie dotknąć. Dłonią w skórzanej rękawiczce wskazywał chorą, a Klescher zapisywał numer w notesie. Kobiety zsuwały się z piętrowych łóżek i kuśtykały na korytarz. Te, które nie były w stanie iść o własnych siłach, truponosze kładli na drewniane tragi i wynosili na zewnątrz.

Steiner z duszą na ramieniu nasłuchiwała, czy dziecko się nie rozplacze. Dla pewności matkę i trzytygodniowe niemowlę kazała umieścić w przedostatniej sztubie. Szczęśliwie Mengele skupił się na pacjentkach z pierwszych sztub, pozostałe pomieszczenia przebiegł w ekspresowym tempie. Oberscharführer Klescher przeliczył wybrane chore, porównał numery na przedramionach z wpisem w notesie. Złożył meldunek Mengelemu – i już można było zabierać się do roboty.

Lucyna Steiner zastąpiła Mengelemu drogę.

– Panie doktorze, ta kobieta za kilka godzin będzie rodzić.

Młoda węgierska Żydówka, plecami oparta o ścianę, oburącz podtrzymywała sterczący brzuch.

Mengele zsalutował przed Steiner.

– Najmocniej przepraszam. Oczywiście, to niedopatrzenie. – Ukłonił się przed Żydówką. – Szanowna pani, zapraszam na nosze.

Leichenträgerzy w mig rozstawili tragi. Mengele poprawił mundur i wykonał ręką zapraszający gest:

– Obsłużymy panią w pierwszej kolejności.

– Jak pan może! – Steiner prawie wrzeszczała. – Jest pan lekarzem!

Klescher doskoczył i wolną ręką trzasnął ją w twarz. Zamierzył się ponownie, ale Mengele krzykiem osadził go w miejscu.

– Oboje jesteśmy lekarzami. – Rozkładając ramiona, stanął twarzą do Steiner. – W innych okolicznościach, spodziewam się, relacje między nami ułożyłyby się zgoła inaczej. Tymczasem jest jak jest. Mam do wykonania swoją pracę, pani niech robi swoje. Proszę nie wchodzić mi w paradę. – Uśmiechnął się. – Wierzę, że możemy rozmawiać jak ludzie cywilizowani.

– Herr Hauptsturmführer – powiedziała dobitnie. – Herr Hauptsturmführer – powtórzyła jakby na potwierdzenie, że widzi w nim esesmana w mundurze, nie lekarza – medycynę studiowałam we Wrocławiu, praktykowałam w Berlinie i Linzu. Lekarze,

których poznałam, dzielili się na dwie kategorie: tych, którzy chcą leczyć, i tych, którzy myślą tylko o karierze. Tu, w obozie, dowiedziałam się, że są jeszcze lekarze mordercy. Pan do nich należy.

Wypowiadając te słowa, zdawała sobie sprawę z konsekwencji. Mengele nie przełknie obrazy. Nie będzie miał wyjścia. Nie teraz, kiedy rzuciła mu wyzwanie w obecności tylu osób. Wyciągnie pistolet z kabury i zastrzeli ją. Czekala na to. W Auschwitz trudno o lepszą śmierć.

Ale chwila minęła i Steiner zrozumiała, że Mengele i tym razem będzie górą. Grzeczny uśmiech ani na moment nie schodził mu z twarzy. Kiedy skończyła, powiedział:

– Brawo, pani doktor. Nie pozostaje mi nic innego, jak uznać siłę przedstawionych argumentów. Z nas dwojga właśnie pani wydaje się lekarzem z powołania. Rozumiem w takim razie, że chce pani towarzyszyć swej pacjentce do samego końca. Oczywiście nie mam prawa pani tego odmówić.

Huczalo jej w głowie. Zapamiętała, że Klescher się uśmiechnął. Z galanterią otworzył jej drzwi. Zmierzchało już. Nad drugim i trzecim krematorium unosiła się czerwona łuna. Kobiety przed barakiem zbiły się w stado jak kurczęta. Pomyślała, że musi je ustawić i przeliczyć. „Działam jak automat – zganila się zaraz. – Osiemnaście miesięcy w Auschwitz zrobiły ze mnie maszynę do składania meldunków i przyjmowania rozkazów”. Bruno miał więcej szczęścia. Umarł jak człowiek, ominęła go obozowa śmierć.

Przyjechały dwie ciężarówki. Ustawiły się tyłem do baraku 25 i czekały na pracujących silnikach. Smród spalin mieszał się z wszechobecnym słodkawym odorem. Nadjechali esesmani na motocyklach, rozstawili się z psami. Zaczęło się oczyszczanie baraku. Mengele stał z boku, bał się zarazków. Wynurzały się z wnętrza jedna po drugiej, przynaglone ujadaniem psów próbowały o własnych siłach wejść do bud ciężarówek po podstawionych schodkach. Truponosze czekali w gotowości. Te, które same nie dadzą rady wsiąść, esesmani dobijają chirurgicznym strzałem, truponosze złożą ciało na tragi i wrzucą do ciężarówki; zamiast drewnianych trag zabrali metalowe, z takich łatwiej zmyć krew.

Mengele nadal trzymał się na uboczu. W wypucowanym mundurze, pachnący dobrą wodą kolońską, odstawał od tego miejsca. Któraś z kobiet zaintonowała pieśń w jidysz. Kilka innych przyłączyło się do niej i przez chwilę ponad warkot silników niesły się słowa: Szpil ze mir a tango ojs fun szolem. Zol dos zajn szolem, nit kejn cholem, Az

Hitler mit zajn Rajch zol di kapores wern glajch – Dos wet zajn a tencele far ajch!

– Dobrze, śpiewać, śpiewać! – Oberscharführer Klescher poruszał butem w rytm melodii tanga. Na hasło „Hitler” esesmani nabrali podejrzeń. Uciszyli więźniarki pałkami. Wiatr ustał i w gęstym od smrodu powietrzu trudno było oddychać. Niemcom zaczęło się spieszyć.

Mengele zdjął czapkę i przecierał czoło chusteczką. Obie ręce miał zajęte. Nie spodziewał się ataku, Auschwitz nie przygotowało go na żadne nadzwyczajne okoliczności. Wachlując się chusteczką, obserwował zasnute dymem niebo, myślami był chyba gdzie indziej. Zbyt późno ją dostrzegł. Kobieta oderwała się od szeregu zmierzającego do ciężarówki i biegła prosto na niego. Esesman stojący najbliżej przytomnie spuścił psa. Wilczur dopadł ją w trzech susach, ale zanim wczepił się zębami w gołą łydkę, strzyknęła w Mengelego śliną. Upuścił chusteczkę, wyszarpnął broń z kabury i strzelił. Nachylił się i wypalił jeszcze dwukrotnie.

Steiner poczuła, jak ktoś szarpie ją za rękaw. Żydówka z Węgier napierała na nią sterzącym brzuchem, bełkotała w swoim języku. Steiner próbowała się uwolnić. Tamta nie zrozumiała jej intencji. Wytrzeszczając wielkie, żydowskie oczy, krzyczała:

– Danke! Danke, Fhrau Dohter!

Nasiliły się wrzaski esesmanów. Porwana przez tłum, pilnowała się, by nie upaść. Żydówka, której nawet nie znała, dzikuska niewładająca żadnym ludzkim językiem, tuż obok niej dźwigała swój żydowski brzuch. Nagle Lucyna zapragnęła znaleźć punkt odniesienia, który pomoże jej choć na moment odzyskać poczucie bezpieczeństwa. Przed oczami stanął jej sekretarzyk z sylwestrowej wyprawy do Wiednia, prezent od Brunona na drugą rocznicę ślubu; górna szufladka po otwarciu okazywała się pozytywką wygrywającą Marsz Radetzky’ego. Kiedy ciężarówka wiezie ją w stronę krematorium, Marsz Radetzky’ego wydaje się jej naraz najpiękniejszym wspomnieniem wolności.

Stają, motor gaśnie, pora wysiadać. Wysypują się na ziemię. Przyjeżdża motocykl z Mengelem. Postanowił być z ni mi do końca.

– Rozbierać się! – woła Klescher.

Oberscharführer marzy, by za kobietami zamknęły się wreszcie drzwi. Źle znosi widok chudych, za życia gnijących ciał. Krzyki i płacz naruszają równowagę, na jakiej zbudował sobie życie w Auschwitz. Jest jedynie robotnikiem, fachowcem oddelegowanym do zadania, jakiego nie można powierzać dyletantom. Epidemii, która opanowuje świat, inaczej nie da się powstrzymać. Zawszone ubrania, zawszony świat

można oczyścić tylko gazem.

– Szybciej, szybciej! – przynagła.

Inni też tracą cierpliwość. Przyjęli już dwa transporty, należy im się odpoczynek.

Esesmani psami zaganiają kobiety w szeroko otwarte drzwi łaźni, gdzie tabliczki w kilku językach proszą, by ubrania schludnie składać i zapamiętać numer wieszaka.

– Pani doktor, czekamy! – Mengele, na powrót opanowany, lustruje ją chłodnym spojrzeniem. – Zaniedbuje pani pacjentkę.

Żydówka ściągnęła już pasiak. Pod ciężarem brzucha rozkraczyła się jak żaba, czeka.

– Ubranie proszę złożyć w kostkę – Mengele instruuje Steiner – żeby nie pomieszało się z innymi.

Kiedy zaczęła się rozbierać, Mengele odsunął się kilka kroków. Pamięta, jaka przygoda kilka miesięcy wcześniej przytrafiła się Schillingerowi. Oberscharführer Schillinger, miłośnik mocnych trunków i kobiet, z upodobaniem selekcionował więźniarki na rampie. Gdy któraś wpadła mu w oko, zwykł jej towarzyszyć aż do gazowej kąpieli. Lubił patrzeć na młode, ładne ciała z Holandii, Belgii, Grecji, Francji. Sprawdzał, czy która nie zamierza okraść Rzeszy, aryjskimi paluchami grzebał w zakamarkach żydowskich ciał, węszył za złotem, biżuterią i dziewictwem. Feralny dla Schillingera transport przybył z Francji, podobno z samego Paryża. Był październik, niektóre francuskie dziewczęta miały jeszcze letnią opaleniznę. Spod pachnących perfumami wdzianek, sukienek i bielizny wyłaniały się przed Schillingerem zadbane uda, biodra, piersi i brzuchy. Oberscharführer był w swoim żywiole. Ponoć była tancerką, ponoć bardzo piękną. Ozdobą paryskich kabaretów. Na scenie za pieniądze pokazywała uda, ale rozbierała się przed mężczyznami, których sama wybrała. Schillinger zaczął się niecierpliwić. Stała przed nim w samej bieliźnie, nalegając, by wyszedł z rozbieralni. Schillinger zagroził jej pistoletem. „Śmierdzisz – powiedziała – cuchniesz wódką i potem”. Schillinger się zaśmiał. Jakkolwiek na to patrzeć, miał przewagę. To był jednak prawdziwy niemiecki mężczyzna, wyhodowany na piwie, golonce i narodowym socjalizmie, w dużym aryjskim ciele Schillingera płynęła czysta aryjska krew. Ta krew zagotowała się w nim, wódka dodała mu animuszu. Mierząc z pistoletu, wyciągnął rękę, by zerwać biustonosz. Odskoczyła. Schillinger stracił równowagę, a Żydówka jakimś cudem pochwyciła pistolet i śmiertelnie Oberscharführera postrzeliła. Zmarł jeszcze tej nocy. W powstałym zamieszaniu kobiety próbowały uciekać, zrozumiały, że nie przyprowadzono ich do kąpieli; esesmani potracili głowy, strzelali do francuskich

Żydówek jak do kaczek. Zmarnowała się amunicja potrzebna na froncie wschodnim, gdzie Rosjan nie da się zabijać szybko i higienicznie cyklonem B. Dalej już wszystko potoczyło się bez niespodzianek, trupy jak należy trafiły do pieca. O pechu Schillingera, który zginął w krematorium z ręki kobiety, Niemcy woleliby jak najszybciej zapomnieć. Patrząc na to ich oczami, źle się przysłużył Rzeszy.

Mengele z lekarską wprawą taksował jej ciało – nieduże, kształtne piersi, wciąż zgrabne nogi i ciemny trójkąt w dole płaskiego, wolnego od blizn brzucha. Klescher przykleił się do niej wzrokiem, okrążał ją jak pies zwierzynę. Zebrało się jej na mdłości. Nienawidziła Mengelego. Nienawidziła Żydówki i jej dziewięciomiesięcznego brzucha.

Zamknęła oczy i na oślepie ruszyła w stronę drzwi. Zatrzymał ją głos Mengelego:

– Powołanie powołaniem, ale nadal jest pani własnością Rzeszy. Proszę się ubierać.

Zobaczyła, jak Klescher po drabince wdrapuje się na dach budynku. Założył maskę przeciwgazową, naciągnął rękawice, otworzył pojemnik i jego zawartość wsypał przez otwór do środka.

*

Menscha obudził odgłos kroków. Ktoś się skradał. Drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju zajrzała obca kobieta. Schyliła się, włożyła drewniaki i pewnym już krokiem przeszła dalej. Mensch dźwignął się na łapy. Poczul szarpiący ból w boku, który po chwili ustał. Nie ruszając się z miejsca, zawarczał. Odwróciła się. Zapadnięte oczy w zniszczonej twarzy, spalone brwi, luźna pasiasta sukienka. Chwyliła krzesło i zamierzyła się na niego. Pokazał zęby. Osłaniając się krzesłem, zaczęła się wycofywać. Stąpał tuż za nią. Wiedział, co zamierza – kiedy cisnęła meblem, w porę uskoczył. Słyszał, jak postukując drewniakami, odbiega w głąb baraku. Legł w progu i walcząc z sennością, wyczekiwał.

Rozpoznał odgłos kroków Steiner. Wstał i wypatrywał. Weszła chwiejnym krokiem, w ubraniu rzuciła się twarzą na łóżko. Trącił ją nosem. Poruszyła się, położyła mu rękę na łbie. Przez chwilę stał sztywno, potem polizał jej rękę. Na języku został mu słonawy smak.

25. Obozowe choroby i węgierska bielizna

TERESA zapukała jeszcze przed porannym apelem. Nasłuchiwała odpowiedzi. Ponowiwszy pukanie, cicho uchyliła drzwi. Steiner leżała na łóżku w ubraniu, na

dywaniku wzdłuż łóżka wyciągnął się pies. Podniósł łeb, ale nie zawarczał. Odważyła się podejść. Doktor Steiner czoło miała rozpalone, oddychała spokojnie. Obudziła się na dotyk jej dłoni.

– Zasnęłam?

– Nie zrywaj się, jeszcze czas. – Teresa przysunęła sobie krzesło i usiadła. –

Wiedziałam, że wrócisz.

– Skąd ta pewność?

– Jesteś tu potrzebna.

Steiner podniosła się energicznie.

– W rzeczy samej. – Zaśmiała się sztucznie. – Muszę nadgonić z robotą. Doktor Mengele dostarczył nam dużo interesujących przypadków. Muszę każdy dokładnie opisać, pamiętając, że przy poszczególnych pacjentach trzeba odnotować inną godzinę zgonu. Śmierć w obozie ma prawo zdarzyć się w odstępach dwuminutowych, nigdy częściej. I w dokumentacji nie może to wyglądać na epidemię.

– Wiem.

– Nie można kazać wszystkim umierać na przykład na zawał serca.

– To tylko papierki. Obozowa biurokracja. Od nas nic nie zależy.

– Byłe w księdze zgonów panował wzorowy porządek: „Więźniarka żydowska narodowości węgierskiej taka a taka zmarła o 19.08 na tyfus plamisty”. „Więźniarka żydowska narodowości niemieckiej taka a taka zmarła o 19.10 na zapalenie płuc”. „Więźniarka aryjska narodowości polskiej taka a taka zmarła o 19.12 na zawał serca”. „Więźniarka żydowska narodowości francuskiej taka a taka zmarła o 19.14 na gruźlicę...”.

– Życia im nie przywrócisz.

– To banał.

– Powinnaś przywyknąć. Inaczej nie da się przeżyć.

– Przychodzi taki dzień, że przestaje ci zależeć.

Teresa przyjrzała się jej uważnie.

– Najważniejsze to doczekać końca tego koszmaru. O resztę będziesz się martwić potem. – Spojrzała na Men scha. – Wyliżesz się, jak ten pies.

– Chyba już za dużo widziałam.

– Człowiek jest w stanie dużo znieść. – Już w progu Teresa dodała: – Uważaj na Tauschową. Poluje na twoje miejsce. Zaglądała tu dziś w nocy. Pies ją wypłoszył.

– Żal mi Tauschowej.

– Nie cofnie się przed niczym, żeby cię wygryźć.
– Przesadzasz.
– Ma motywację, której tobie zaczyna brakować.
– Motywację?
– Chce stąd wyjść. Chce przeżyć.
– Bo ma do czego wracać.
– Niby do czego? Przecież nie do rodziny. Jeszcze zanim ją uwięzili, mąż przeprowadził rozwód. Czystej krwi aryjski berlińczyk nie będzie sobie komplikował życia małżeństwem z Żydówką.

– A czwórka dzieci?
– Na razie Rzesza przymknęła oko na to, że są z kundlego miotu. Próbują zrobić z nich porządnym Niemców. Córeczki wychowuje ojciec, młodszy chłopak trafił do Hitlerjugend, starszy służy w pomocniczych oddziałach Luftwaffe. Strąca alianckie samoloty i robi w portki ze strachu, bo a nuż ktoś wykryje, że w jego żyłach płynie nie dość dużo niemieckiej krwi.

Steiner się uśmiechnęła.

– Droga Melliqué, w pani przypadku skundlenie wyszło tylko na dobre. Nie słyszałam innej Belgijki, która by tak dobrze mówiła po polsku.

– Bo nie każda urodziła się w Polsce i tu ukończyła gimnazjum. Mówię po polsku, francusku, angielsku, niemiecku i włosku. Wiesz, co w tym wszystkim jest zabawne? Zanim Hitler orzekł, że jestem Żydówką i moje miejsce jest w Au schwitz, nie znałam ani słowa w jidysz czy hebrajskim.

Sztubowe, stukocąc chodakami, już obchodziły swoje sale, sprawdzały stan bloku po nocy. Teresa wyszła pierwsza, Lucyna dołączyła do niej po pięciu minutach, zostawiając Menscha w zamkniętym pokoju. Wysłuchiwała meldunku o stanie bloku, wydała dyspozycje i oszczędnie rozdzieliła lekarstwa. Zajrzała na salę chorych na tyfus plamisty; odosobnione przypadki nie dawały powodu do obaw o wybuch epidemii. Na sali królików doświadczalnych doktora Wirthsa zmarła kobieta poddawana sterylizacji rentgenem, dwa zgony zanotowano wśród chorych na biegunkę. O siódmej truponosze zabrali ciała. Mijał kwadrans za kwadrans, a nikt nie zjawiał się na kontrolę bloku. Blisko wpół do dziewiątej przybiegła Słowaczka pełniąca funkcję gończyni Drechsler. Odszukała Steiner i zameldowała:

– Oberscharführer Klescher panią wzywa!

Już z daleka odgadła, co się święci. Klescher wybrał ze dwie setki kobiet z czterech

sąsiednich bloków i kazał im biegać w koło. Drechsler, która mu sekundowała, na widok Steiner zrobiła wrogą minę. Za to Klescher zdawał się wniebowzięty.

– Czekałem na panią – powiedział, jakby ignorując obecność rapportführerin. – Bez fachowej pomocy się nie obejdzie.

Klescher polował na więźniarki zdradzające choćby najmniejsze objawy zmęczenia. Wyciągał rękę uzbrojoną w laskę, zagięciem laski chwycił wypatrzoną kobietę za szyję i odciągał ją na stronę. Mimo wczesnej pory czerwcowe słońce dawało się we znaki.

– Do czego jestem panu potrzebna?

Oplatał ją wzrokiem, niewidzialne macki wślizgiwały się jej pod ubranie.

– Jestem tylko podoficerem sanitarnym, to pani jest prawdziwym lekarzem z dyplomem i praktyką. Nie chcę popełnić błędu przy selekcji. W końcu chodzi o ludzkie życie. Pani zdanie będzie ostateczne.

Zrozumiała, do czego Klescher zmierza. Krew uderzyła jej do głowy.

– Nie potrafię panu pomóc. Mnie uczono leczyć.

– Ależ nic innego nie robię! Leczę! Niszczę chorobę w zarodku.

– Widzę, że od czasu moich studenckich lat medycyna niemiecka poczyniła ogromny postęp. Nie czuję się wystarczająco kompetentna.

Nie odrywał od niej spojrzenia. Oberscharführer Klescher, spec od fenolowych szpryc i leczenia tyfusu cyklonem, nie silił się ukrywać, że poranną selekcję zorganizował specjalnie z myślą o niej.

– Dobrze powiedziane, pani doktor. Medycyna Niemiec ka zrobiła ogromny krok do przodu. Pod każdym względem Niemcy wyprzedzają świat. Nie żałuje pani teraz?

Nie rozumiała sensu pytania. Domyślił się tego po jej minie, bo spytał:

– Jako Niemka mogłaby pani mieć w tym niemały udział. Budować Niemcy, zajmować poczesne miejsce w Rzeszy. Nie żał pani straconej szansy?

Podwinęła lewy rękaw sukienki i pokazała numer wytatuowany na przedramieniu.

– Jak pan widzi, Herr Oberscharführer, Rzesza znalazła mi już miejsce i przydzieliła narodowość. Jeśli nie jestem panu potrzebna, wrócę do chorych.

Odchodziła już, kiedy za nią zawołał:

– Doktor Steiner!

– Tak?

– To nie jest pani ostatnie słowo, proszę mi wierzyć. Widocznie zbyt krótko jeszcze przebywa pani w obozie.

W drodze do bloku zobaczyła długi pochód zmierzający drogą wzdłuż rampy przy

dźwiękach orkiestry obozowej. Byli zbyt daleko, by mogła widzieć ich twarze. Bogaty transport z Zachodu. Jeśli to z Węgier, Kanada się ucieszy – węgierska bielizna ma wśród esesmanów i więźniów największe wzięcie. W kuchni też zacierają ręce. Esesmańska kantyna nie da rady wszystkiego przerobić, więc do obozowej kuchni trafia cukier, mąka, słonina, kiełbasa i biały chleb w takiej ilości, że wystarczy nawet dla muzułmanów. A do domów w Niemczech, gdzie niemal wszystko jest dostępne wyłącznie na kartki, znów powędrują paczki pełne konserw, kawy, czekolady, cukru i ubrań z wysokogatunkowych tkanin.

Lagerführerin Mandel ma osobne powody do satysfakcji – żeńska orkiestra, oczko w głowie kierowniczkii obozu, ledwo zdążyła powstać, a gra nie gorzej od męskiej; wielka szkoda, że dyrygentka i skrzypaczka Alma Rosé, bratanica Gustawa Mahlera, ozdoba sal koncertowych Wiednia, Paryża, Berlina a ostatnio Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau, od dwóch miesięcy unosi się z wiatrem gdzieś ponad obozem. Krwawa Mandel do dziś nie może jej odżałować. Pod batutą Rosé orkiestra wzniosła się na najwyższy poziom, grała koncertowo esesmanom, więźniom wyruszającym do pracy i tłumom wysypującym się na rampę z bydlęcych wagonów.

W baraku szpitalnym czekała Lucynę niespodzianka. Ledwo otworzyła drzwi swojego pokoju, Mensch rzucił się ją witać.

– Pieronie, słyszałem o cudownych kroplach nasercowych, ale temu to musiała pani doktor zaaplikować jakiś psi lubczyk!

Jachimek kuczał na podłodze przy torbie z medykamentami; wyprostował się i dokończył, mrugając do Rajka:

– Nie zdążyłem mu założyć nowy bandoż. Usłyszał kroki, zerwał się i do drzwi jak torpeda.

– Każde bydlę swój rozum ma – skwitował Rajek. – Gdzie będzie mu lepiej? Na pewno nie u „Zębatej”.

Na wzmiankę o Drechsler obaj się zaśmiali. Lucyna próbowała zmusić się do uśmiechu. Rajek spostrzegł to i poważniejąc, powiedział:

– Wiem wszystko od Teresy.

Schyliła się, żeby pogłaskać Menscha. Położył się na zdrowym boku, odsłaniając brzuch.

– Wszystko?

Rajka zastanowił ton jej głosu. Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

– Stałaś w obronie chorej. Mogło cię to drogo kosztować. Całe szczęście, że tak

to się skończyło.

– Bałam się. Przez całą drogę do krematorium nie mogłam zwalczyć strachu. Sama nie wiem, kogo bardziej nienawidziłam, Mengelego czy tej kobiety. Wiesz, dlaczego nie padłam Mengelemu do stóp? Bo się wstydziłam. Wstyd mi było przy wszystkich pokazać, jaki ze mnie tchórz.

Rajek podszedł i przytulił ją. Długo stali bez słowa. Mensch dźwignął się na łapy i zaczął oboje obwąchiwać.

Jachimek odchrząknął.

– Bo człowiek to jest tak dziwno maszkaro. Jo byłech kiedyś na wiejskiej zabawie, miołech wtedy dwadzieścia lot. Byłech trocha na rauszu, no, nie na tyła, by nie wiedzieć, co sie dzieja. Jak takich dwóch wzięno mnie w obroty, to marzyłech ino, coby uciec. Ale jo sie boł, że wszyscy wezmom mnie za tchórze. No i z tego tchórzostwa zostałech bohaterem, bo stłukłech ich na kwaśne jabłko.

Lucyna się uśmiechnęła. Usiadła na łóżku, Mensch podreptał za nią.

– W nocy uciekło trzech Rosjan – powiedział Rajek, żeby zmienić temat.

– Nie słyszałam syren.

– Niemcy jeszcze węszą za nimi po obozie. Ale to już pewne, wiem od Hanzlika.

Scharführer Hanzlik za pół litra wódki sprzeda własny karabin.

– To już chyba trzecia udana ucieczka Rosjan w tym miesiącu?

– Trzecia – potwierdził Rajek. – Są wzorowo zorganizowani, u nich żaden przeciek się nie zdarza.

– Rosjanom jest łatwiej – mruknął Jachimek.

– W jakim sensie? – spytał Rajek.

– Nie muszą się bać, że za kara do obozu trafi cało ich rodzinę.

– Prawda – podchwyciła Lucyna. – Chyba że ktoś nie ma rodziny.

– Chyba nie myślisz...

– Nie, Rajek, nie starczyłoby mi odwagi.

Przygryzł wargę. Upewnił się, że drzwi są zamknięte; ścisząc głos, zapytał:

– Pozbyłaś się munduru?

Spojrzała szybko na Jachimka. Rajek zauważył to spojrzenie.

– Przy Marcelu możesz mówić.

– Wszystko dobrze ukryłam.

– Nie spaliłaś? Prosiłem wyraźnie...

– Może się przydać. Niczego nie znajduję, schowałam każdą sztukę oddzielnie w

bezpiecznych miejscach.

- To nie najlepszy pomysł.
- Zabezpieczenie na czarną godzinę.
- Przed chwilą powiedziałaś, że byś się nie odważyła.
- Nie wiem, co będzie jutro.
- Wiele ryzykujesz.
- Naprawdę? – Zaśmiała się sztucznie. – Odkąd przyjęłam zaproszenie do

Auschwitz, nie ma godziny, bym nie ryzykowała. Dobrze, powiedzcie lepiej, co z pupilką Drechslerki?

– Pupilek Drechslerki? – Jachimek podrapał się po głowie. – Coś mi się widzi, pani doktor, że pani bardziej mu przypasowała.

– Rapportführerin prędzej czy później zgłosi się po niego. No to jak z nim?

– Nie najgorzej. Jeszcze dzień, dwa i na upartego mogłaby go zabrać. Ale daleko mu zastrzyk, żeby nie był za zwawy. Niechby jeszcze odpoczął trochę od „Zębatej”. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu?

Pokręciła przecząco głową. We trójkę wyszli przed barak. Mensch pokolibał się za nimi, podniósł niezdarnie łapę i zaczął podlewać ścianę. Przybiegła jedna z obozowych gończyń.

– Rapportführerin Drechsler to przysłała – wysapała, wręczając zawiniątko w pergaminowym papierze. – Dla swojego psa.

Jachimek pociągnął nosem. Kiedy Lucyna rozwinęła papier, aż zagwizdał.

– Kielbasa i boczek? Pieronie, jak on by to zeżorł, toby się zesroł albo dostał skryntu kiszek.

– Skąd tyle tego wytrzasnęła? – zdziwił się Rajek. – Nawet w esesmańskiej kantynie nie co dzień jadają takie frykasy.

– Jak to skąd? Świeża dostawa – powiedziała cicho Lucyna.

Jak na komendę wszyscy troje spojrzeli w stronę kominów drugiego i trzeciego krematorium.

*

„Frau Steiner – nalegał hauptsturmführer Riedel, zupełnie jak przy ostatniej wizycie w celi więzienia – proszę się dobrze zastanowić. W żyłach was obojga płynie niemiecka krew. Podpisze pani listę i jeszcze tego samego dnia wyjdzie pani razem z mężem na wolność. Bardzo proszę!”

Riedel chyba wreszcie pojął, że wykorzystał już wszystkie argumenty.

Nieoczekiwanie dla niej samej stał się napastliwy. Zupełnie zmienił ton. Przycisnął ją do ściany i zrzuciwszy maskę dobrze wychowanego oficera, wywrzaskiwał: „Zrobisz to, suko! Jeśli nie po dobroci, to pod przymusem!”.

Próbowała go odepchnąć. Zaczynało jej brakować powietrza. Młóćąc rękami na oślepie, trafiła go raz i drugi. W odpowiedzi uderzył ją w twarz.

Ocknęła się. Jakiś ciężar przygniatał ją do łóżka. Owionął ją odór alkoholu. W ciemności widziała zarys pochylającej się nad nią twarzy.

– Nie chcesz po dobroci? Nie szarp się, suko!

Rozpoznała głos Kleschera. Usiadł na niej okrakiem i bełkocąc, próbował podciągnąć jej sukienkę. Na próżno starała się go zrzucić. Raptem zawył z bólu. Mensch! Z gardłowym powarkiwaniem pies tarł się napastnika. Klescher zaklął, ręką opędzał się od zwierzęcia. Stracił równowagę i zwałił się z łóżka na podłogę.

Poderwała się, by zapalić nocną lampkę. Oberscharführer leżał na plecach, Mensch szarpał go za nogę, nie pozwalając wstać. Esesman lewą ręką zdołał wyszarpnąć broń z kabury. Nie tracąc czasu na przełożenie pistoletu do prawej ręki, wymierzył.

– Nie strzelaj! – krzyknęła ostrzegawczo. – To wilczur rapportführerin Drechsler! Mensch, zostaw! Do mnie!

Mensch zrozumiał komendę i niechętnie posłuchał. Klescher, klnąc pod nosem, usiadł, wziął pistolet do prawej ręki. Wciąż mierząc, niezdarnie dźwignął się na nogi. Lewa nogawka spodni była dziurawa w kilku miejscach, materiał nasiąkł krwią. Nic nie zauważył, alkohol przytępił ból.

– Mensch? – wybelkotał. – Tak się wabił pies Grohmana.

– Nie wiem. – Siedząc na łóżku, otuliła się kocem. – Ten jest własnością rapportführerin Drechsler.

Klescher, z palcem na spuście, cofał się tyłem. Zatoczył się i poleciał plecami na ścianę. Mensch gotował się do skoku.

– Zostaw! – Położyła psu rękę na karku.

Klescher już w progu zatrzymał się, z pijackim uporem wpatrywał się na przemian w nią i Menscha. Spowolnionym ruchem poprawił zmierzwione włosy. Dopiero teraz spostrzegł, że zapodział gdzieś czapkę. Wypatrzył zgubę na podłodze, wrócił po nią, otrzepał o spodnie i z przesadną pedanterią założył. Zrobił w tył zwrot i chwiejnym krokiem pomaszerował do wyjścia, po drodze chowając pistolet do kabury. Huknął drzwiami, chwilę później trzasnęły te od baraku.

Zgasła lampkę. Skuliła się na łóżku, okrywając się szczelnie kocem. Chwyciły ją

dreszcze jak przy gorączce. Leżała, próżno czekając na sen. Wyostrzonymi zmysłami wylapywała najmniejszy szelest. Zapachy zlewały się w jedną woń – słodkawy, ciężki odór palonych ciał. Ciało przybywało, kopiec rósł i rósł, aż wierzchołek zniknął jej z oczu.

Z sennej maligny wybudziły ją o czwartej kroki porządkowych. Za chwilę odezwą się gwizdki. Potem przy dźwiękach obu obozowych orkiestr pasiaki piątkami wymaszerują do pracy. Ze stukotem kół wjadą na rampę kolejne pociągi z Europy, pasażerowie bydlęcych wagonów przy wtórze komend ustawią się na rampie i dwoma strumieniami popłyną – jedni na prawo, drudzy na lewą stronę.

26. Z dziennika untersturmführera Stoop (6)

Franz przyjechał. Po tak długim niewidzeniu zdążyłem zapomnieć, jaki z niego chuchrak. Mundur wisi na nim jak na drucie. Ponieważ spodziewałem się go dopiero nazajutrz rano, w ostatniej chwili nie dałem rady zamienić się z nikim służbą, zatem najtrudniejsze pierwsze godziny przyszło mu spędzić w nowym miejscu z obcymi. Błąd. Wracalem z roboty na „czwórce”, kiedy zobaczyłem, jak idzie mi naprzeciw. Prowadził go Hanzlik. Jürgen niepotrzebnie się z tym wrywał, mógł zostawić Franza w koszarach. Przestraszyłem się, że Franz coś po mnie pozna; podobno najtrudniej pozbyć się zapachu. Ale nie, chyba nic nie zmiarkował. Przywitał mnie serdecznie. Ledwo jednak Hanzlik odszedł, zaczął mnie wypytywać: dlaczego tyle ogrodzeń, na każdym kroku wieże strzelnicze, psy, karabiny, druty pod napięciem, każda tablica straszy śmiercią. „To obóz pracy – próbowałem się wykpić – niektórzy więźniowie, zamiast pracować, próbują ucieczek, bądź co bądź władze obozowe ponoszą za osadzonych tu pełną odpowiedzialność”. Na nieszczęście w tej właśnie chwili odezwała się orkiestra. Przeczulem niebezpieczeństwo, ale nie byłem już w stanie niczemu zapobiec. Franz ruszył jak ćma do światła.

Zdążyłem już wyrzucić z pamięci moje pierwsze spotkanie z obozową orkiestrą. A powinienem był zawczasu zobaczyć całą scenę oczami Franza! Przestał zwracać uwagę na muzykę. Przy dźwiękach marsza szli jak zwykle piątkami, tak nakazuje obozowy regulamin, a na plecach dźwigali trupy zmarłych kolegów.

27. Z dziennika untersturmführera Stoop (7)

Przyszedł list od Lotty. Złe wieści. Nie zamierza opuszczać Berlina. „To jest wojna mężczyzn – pisze. – Nawet Amerykanie nie są tak głupi, żeby spuszczać bomby na kobiety i dzieci”. Boję się. Rozwiązanie może nastąpić lada dzień. Gdyby nie Franz, wyblagałbym u Kramera przepustkę, żeby być z nią choć na czas porodu.

Właśnie, Franz. Nikt mu jeszcze nie powiedział. Wczoraj spytał mnie, dlaczego bez przerwy dymią kominy. „Dezynfekcja – odparłem. – Spalamy zawszone ubrania i grzejemy wodę na kąpiel”. „Niemał przez okrągłą dobę?”. „Czerwiec to pełnia lata, okres największego wylegania się zarazków. A w samym Birkenau żyje ponad sto tysięcy więźniów”. Tą arytmetyką chyba zamknąłem mu usta. W każdym razie o więcej nie pytał.

Za butelkę wódki Hanzlik zgodził się wziąć pierwszy dyżur Franza na rampie.

28. Polowanie na szczury

APEL dawno się skończył, komanda poszły do pracy, można było na poszczególnych blokach zabrać się do tak zwanych porządków. Tymczasem truponosze spóźniali się z zabraniami ciał ze szpitalnych baraków. Mieli pilne zlecenie – od świtu kursowali z metalowymi tragami między rampą a krematorium, zbierali trupy rozrzucone wzdłuż torów kolejowych, niektóre ściągali nawet spod bramy głównej wartowni, bo aż tam dobiegli co szybsi pasażerowie z porannego transportu, którzy po wyjściu z wagonów podjęli próbę ucieczki. Esesmani zaczęli do nich strzelać, w tłumie, który tymczasem zdążył się podzielić na przepisowy lewy i prawy szereg, wybuchła panika. Łamiąc szyki, ludzie zaczęli się rozbiegać na wszystkie strony, esesmani otworzyli ogień. Poszło sporo amunicji. „Siła wyższa – uznało kierownictwo obozu – nieszczęśliwy wypadek przy pracy, podobnych zapewne nie da się uniknąć również w przyszłości”. Esesmani mieli więcej roboty, zrekompensowano im to dodatkowym przydziałem jedzenia i wódki. Pracy leichtenträgerów, rzecz jasna, nikt nie docenia, w najlepszym razie dostaną dodatek w postaci esesmańskiej kiełbasy, którą można kupić tylko za marki w kantine. Zwijają się jak w ukropie, by zaprowadzić porządek, zanim nadjedzie południowy transport.

Bo maj i czerwiec to w historii Auschwitz Birkenau największe jak na razie piętrzenie pracy; bywa, że dzień w dzień trzeba przyjąć trzy transporty. Skoro już na

rampie należy postanowić, kto nadaje się do pracy, a kogo posłać do kąpieli, trudno przejmować się trupami zajmującymi prycze w szpitalnych barakach; bądź co bądź ich status został już ustalony, mogłyby spokojnie poczekać, aż leichenträgerzy uporają się z ważniejszą robotą. Jednak doktor Steiner poszła za przykładem blokowych innych szpitalnych baraków: przed rozpoczęciem porannego sprzątanego kazała porządkowym złożyć ciała przed barakiem. „W ten sposób – uznała – ułatwi pracę sprzątacjom, o personelu medycznym nie wspominając”.

Zapomniała o szczurach.

W Auschwitz jak w każdej porządnej fabryce wysoką wydajność gwarantuje dobra organizacja pracy: z rampy towar wysyła się do gazu, z gazu trafia on do pieca albo dołu spaleniskowego. Cykl produkcyjny trwa średnio trzy, cztery godziny. Przystoje należą do rzadkości. Tłuste lata, kiedy jeszcze nie zbudowano nowoczesnych krematoriów i ciała musiały swoje odleżeć w kolejce, szczury mają za sobą. Takiej gratki nie mogły więc przepuścić.

Steiner po obchodzie wybrała się do jednego z baraków kanady. Wyprawa zakończyła się powodzeniem: zdobytą cienką flanelę, która po pocięciu nada się na prowizoryczne pieluchy, owinęła ciasno pod ubraniem i wyruszyła w drogę powrotną. Dochodziła do szpitala, kiedy padły pierwsze strzały. Ukryta za załomem bloku 24, wyjrzała: przed ambulatorium stał oberscharführer Klescher i mierzył z pistoletu do trupów złożonych pod ścianą baraku. Zmieniając magazynek, dojrzał, że od strony krematorium zmierza czterech leichenträgerów z pustymi tragami; odwrócił się na szeroko rozstawionych nogach i ich wziął na cel. Puścili wózki i rzucili się do ucieczki. Kule dosięgły jednego, pozostali odbiegli na bezpieczną odległość. Klescher podjął przerwany ostrzał nieruchomych celów pod ścianą.

Ulicą średnicową pełnym gazem nadjeżdżał motocykl z dwoma esesmanami; najwidoczniej po porannym incydencie załoga obozu wołała dmuchać na zimne. Lucyna zebrała się na odwagę i wyszła z ukrycia. Motorem kierował scharführer Hanzlik, w koszu przyczepy siedział untersturmführer Stoop. Zatrzymali się i wysiedli. Podoficer sanitarny zdawał się niczego nie zauważać. Stoop podszedł pierwszy, Hanzlik był tuż za nim. Stoop krzyknął ostro:

– Co się dzieje?!

Klescher odwrócił się w jego stronę. Ruchy miał spowolnione, jakby raptem przybyło mu kilkadziesiąt kilogramów.

– Oczyszczam teren – wybełkotał. Był pijany. – Podoficer sanitarny Klescher

wypełnia przypisane mu obowiązki.

Stoop poprawił czapkę, spojrzął na Hanzlika. Ten wzruszył ramionami; sam miał mętne spojrzenie, jakby trzy noce z rzędu nie spał. Stoop powiedział ostrzej:

– SS Oberscharführer Klescher, proszę oddać broń!

– Nie mogę, Herr Untersturmführer. Poluję na szczury.

Chwila spokoju wystarczyła, by znowu się pokazały. Wychynęły spod zwłok i wężąc, zaczęły się rozglądać. Klescher położył palec na ustach, obrócił się jak manekin, wycelował i pociągnął za spust. Czmychnęły pod osłonę ciała. Klescher zaklął. Zataczając się, podszedł do ściany baraku, broń trzymając w gotowości.

Wszystko trwało kilka sekund. Drzwi uchyliły się i w powstałej szparze pokazała się głowa Teresy; zaniepokojona strzałami, postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Lucyna krzyknęła ostrzegawczo, ale Klescher pierwszy dojrzał kobietę. Nawet nie mierzając, strzelił i trafił.

– Szczury! – wydarł się. – Wszędzie szczury!

Stoop stracił cierpliwość. Na jego wrzask Klescher się odwrócił. Zobaczył Lucynę. Strzelił do niej, chybił. Hanzlik był bliżej i następna kula go powaliła. W tej samej chwili untersturmführer Stoop wyszarpnął pistolet z kabury i raz za razem pociągnął za spust, dwukrotnie trafiając Kleschera w klatkę piersiową.

*

Czym naprawdę jest Auschwitz, Lucyna Steiner zrozumiała dopiero sześć tygodni po przyjeździe. Pracowała wtedy w komandzie budowlanym. Auschwitz pękało w szwach, zapychały się piece, kruszyły kominy. Fabrykę pod nazwą Auschwitz należało rozbudować. Naród niemiecki poszerzał swą przestrzeń życiową poprzez podbój kolejnych krajów, obywateli tych krajów posyłając do Auschwitz, by poszerzali przestrzeń obozu, tym samym podnosząc wydajność fabryki śmierci. Perpetuum mobile, jakiego świat jeszcze nie widział.

Pchała załadowane piaskiem taczki, ciągnęła walec do utwardzania obozowych dróg; zaprzężona do rolwagi przewoziła ciężkie belki do budowy nowego odcinka torów, którym pociągi zwożące ludzi niemal z całej Europy pojedą prosto do krematorium. Dzień w dzień głodowe porcje: miska brukwiowej zupy, lurowata zbożowa kawa i ćwiartka czarnego, gliniastego chleba. W myśl obozowej statystyki więzień w takich warunkach dożywał trzech miesięcy. Szedł do pieca, a tymczasem z bydlęcych wagonów już wysypywali się aryjscy i niearyjscy Włosi, Grecy, Polacy, Węgrzy, Czesi, Słowacy, Francuzi, nawet Niemcy, z których bez trudu dawało się wybrać świeżą siłę

roboczą.

Zdarzyło się to pod koniec marca, może na początku kwietnia. Po dniu pracy wracali na noc do obozu. Orkiestra witała ich przy bramie, wygrywając marszowe melodie, zmuszała ustawione w piątce kolumny do równego kroku. Myślamy byli przy kolacji. Wlewali się nieprzerwanym potokiem w obozową bramę, nogi w chodakach zapadały się w błoto – z naprzeciwka zaś, równoległe do głównej drogi, biegł chłopczyk w marynarskim ubranku. Zgubił czapkę, ale się nie zatrzymał. Mógł mieć cztery lub pięć lat; niedobry wiek dla dziecka, które właśnie teraz trafia do Auschwitz. Niemcy zdrowo dostają w skórę, front wschodni pochłania coraz więcej żołnierzy i pieniędzy. Oszczędzać, oszczędzać i jeszcze raz oszczędzać – słychać z lewa i prawa, więc obozowe władze, tnąc koszty, oszczędzają również na cyklonie B. Dorośli dostają mniejszą dawkę – umierają dłużej, ale finalny efekt jest taki sam. Na dzieciach łatwiej zaoszczędzić. Cały proces można uprościć, wrzucając je żywe do dołu spaleniskowego.

Wreszcie ujrzeli pościg – esesman na motocyklu posuwał się wolno, koła pojazdu grzęzły w wiosennym błocie, ale wynik był z góry przesądzony. Orkiestra grała, kobiety prostowały się jak na rozkaz, mężczyźni zdejmowali czapki – setki, tysiące czapek, które zaraz za bramą znowu powędrują na głowy. Wszystko zgodnie z obozowym regulaminem. Trudno w takiej chwili nie pomyśleć, że szczeniak wystąpił przeciw regulaminowi Auschwitz. Zupełnie jakby się łudził, że wśród maszerujących z naprzeciwka kobiet i mężczyzn ktoś przyjdzie mu z pomocą.

Nazajutrz nie wstała z pryczy. Tyfus. Szczęście jej dopisało, zamiast jak wielu innych chorych pójść z miejsca do gazu, trafiła do szpitala. Tam szczęście uśmiechnęło się do niej po raz drugi, bo dni mijały, a Niemcy, zajęci dzieleniem łupów, jakby zapomnieli o szpitalu, pozwalali chorym w zgodzie z naturą zdrowieć albo umierać. Fetowali bogate transporty z Grecji: żarli sardynki i południowe owoce, polowali na złoto, kosztowności, pieniądze – i ładne Greczynki. Czystej krwi Niemcy uciszali aryjskie sumienia greckim winem; zresztą grzech „nieczystego związku” łatwo było wymazać, ostatecznie bowiem greckie Żydówki wypełnione niemieckim nasieniem i tak trafiały do pieca. Leki odebrane Grekom zasiliły esesmański szpital, część posłano na bloki szpitalne, a Lucyna Steiner w porę dostała środki, które zbiły gorączkę i zapobiegły osłabieniu serca. Już po czterech dniach była na nogach, by pomagać innym chorym. Do komanda budowlanego więcej nie wróciła. Doktor Wirths uznał, że lekarka z dyplomem i przedwojenną praktyką w niemieckich szpitalach bardziej się przyda na bloku szpitalnym. Steiner dostała swoją szansę: funkcja, praca pod dachem, lepsze

wyżywienie. Niewielu w Auschwitz miało podobne szczęście. Wyrwać się z kręgu heftlingów skazanych na zmuzułmanienie, dożywających co najwyżej statystycznych trzech miesięcy – tak, ta sztuka udawała się nielicznym. Dlaczego akurat jej dopisało szczęście? Próbując na to pytanie odpowiedzieć, musiała wziąć pod uwagę indywidualne doświadczenie Auschwitz, to, co w tamten wiosenny dzień, sześć tygodni po przywiezieniu do obozu, stało się jej udziałem. Prawdziwe Auschwitz, zrozumiała wówczas, to nie tylko dymiące kominy. Śmierć zadaje się tu na wiele sposobów, ale najgorsze, co może człowieka spotkać, to wyciszenie sumienia.

Przez pierwsze lata historii Auschwitz cięża równała się wyrokowi. Ciężarne, podobnie jak chore na tyfus czy biegunkę, posyłano do gazu. Ale Auschwitz, jak każdy ziemski byt, stopniowo ewoluował. Z nastaniem 1943 roku ciężarna kobieta w pasiaku miała prawo żyć i urodzić dziecko; tyle że samego noworodka należało się pozbyć, tak jak eliminuje się ognisko zakaźnej choroby. Jednak od połowy 1943 roku medycyna niemiecka podzieliła tę przypadłość już na dwie osobne jednostki chorobowe: noworodki aryjskie i niearyjskie. Dzieciom pochodzenia aryjskiego warunkowo pozwalano żyć, dzieci żydowskie uśmiercano. Położne otrzymały jasny rozkaz: noworodka żydowskiego należy się pozbyć, choćby wrzucając „to” razem z łóżyskiem do obozowej latryny. „Przecież to tylko łóżysko” – powtarzały służące w obozie Niemki. „Chorobę trzeba stłumić w zarodku” – tłumaczyli sobie Niemcy, kiedy po dniu pracy wracali do żon i dzieci.

W blokach kobiecych porody przyjmowano zazwyczaj na długim, podobnym do stołu piecu, który ciągnął się przez środek baraku, pomiędzy pryzkami. Dziecko uprawnione przez Rzeszę do życia, wzorem każdego nowego więźnia, dostawało numer; z przyczyn, by tak rzec, technicznych, cyfry tatuowano na udzie. Naczelnym lekarz obozu nie mógł się nadziwić, że żadne obozowe dziecko nie decyduje się umrzeć już przy porodzie; wszystkie choćby przez kilka godzin kurczowo trzymały się życia, jakby życie w Auschwitz miało jakiś szczególny powab. Potem dzieliły los matek: chorowały na tyfus, głodowały, marzły, zapadały na zapalenie płuc, umierały. Te, które przetrwały, czekała obozowa selekcja innego rodzaju: malce spełniające standardy nazistowskiej antropologii wysyłano do rodzin niemieckich do adopcji.

Auschwitz wyhodowało jeszcze jedną kategorię obozowych noworodków: dzieci, które oficjalnie nie istniały. Życie, które przed władzami obozu starano się ukryć, było albo skażone żydowskim pochodzeniem, czyli skazane na zagładę, albo też wyróżnione przez naturę czysto aryjskim wyglądem, a zatem odbierane matkom i skazane na

wynarodowienie. Z wiadomych powodów liczba „nielegalnych dzieci” wmykała się obozowej statystyce. Dla każdego zdrowo myślącego człowieka walka ta była z góry skazana na przegraną. Skoro jednak Auschwitz samo w sobie było zaprzeczeniem tego, co potocznie nazywa się zdrowym rozsądkiem, na blokach kobiecych co jakiś czas podejmowano tę nierówną walkę. W Auschwitz nie wybiegało się myślą daleko w przyszłość. Przeżyć kolejny dzień – na tym należało skupić wszystkie siły. Przecież jutro może przynieść koniec wojny. Niemcy dostawali łupnia na froncie wschodnim, alianci zrzucali bomby na niemieckie miasta, niedługo obiorą sobie za cel obóz koncentracyjny Auschwitz Birkenau; rosyjskie tanki i alianckie bomby przypominały, że Niemcy też są śmiertelni. Każdy kolejny tydzień, każdy nowy dzień mógł przynieść radykalną zmianę sytuacji. Wobec takiej perspektywy warto było podejmować działania, które wedle obozowej logiki wydawały się nie mieć najmniejszych szans powodzenia. Tak właśnie myślały doktor Lucyna Steiner i Teresa Melliqué.

Oczywiście, to jednak wciąż było Auschwitz. Zawsze mogło zdarzyć się coś – lub ktoś – co wszelkie plany obróci wniwecz. Wybiórka do gazu, szpryca z fenolu, skażona woda, tyfus. Albo Oberscharführer Klescher.

*

Truponosze przyjechali z rolwągą – chcieli jak najszybciej uporać się z robotą. Na zwłoki zmarłych pacjentek wrzucili ciało Teresy, dołożyli trupa zabitego kolegi i ładunek powieźli do krematorium. Po ciała Hanzlika i Kleschera kazano im zjawić się osobno. Najpierw uporali się z Hanzlikiem. Potem załadowali na tragi Kleschera i dostarczyli go do prosektorium w wydzielonym miejscu krematorium. Przyczyna śmierci podoficera sanitarnego była aż nadto znana, chodziło raczej o to, by Niemiec, do tego w mundurze, nawet po śmierci nie musiał się bratać z numerami w pasiakach. Leichenträgerzy robili zakłady z sonderowcami, gdzie ostatecznie Klescher wyląduje: w ziemi czy w piecu. „W grobie” – przekonywali ci pierwsi, jako argument podając, że podoficerowi niemieckiemu nie wypada wychodzić z obozu tą samą drogą co więźniom. Ci z sonderkommanda obstawali przy krematorium. „Jakkolwiek na to patrzeć – mówili – Oberscharführer Klescher zginął od niemieckich kul, a nic nie zatrze tego faktu równie skutecznie jak ogień”. „Bądź co bądź – dodawali niektórzy po namyśle – jest w końcu jakaś ziemską sprawiedliwość”. „Niezupełnie – ripostowali truponosze. – Urnę z prochami Kleschera żona otrzyma gratis; urna będzie zawierać Kleschera w detalicznej, by tak rzec, postaci, podczas gdy ciała więźniów są poddawane hurtowej obróbce, zatem do urny wysyłanej rodzinie sypie się popiół bez podziału na nazwisko, płeć, przyczynę zgonu, wyznanie

czy narodowość, poniekąd kosmopolitycznie, co więcej, za takie kosmopolityczne prochy rodzina musi jeszcze słono zapłacić”.

Całą tę dyskusję można by skwitować wzruszeniem ramion, co najwyżej dodać: „No tak, Auschwitz to jednak przedziwny eksperyment, nie sposób w tym hitlerowskim przedsięwzięciu doszukiwać się ludzkiej logiki”. Truponosom, którzy tego dnia transportowali trupy do krematorium, Niemcy kazali śpiewać piosenkę. I była w tym jakaś logika. Więzień, który śpiewa, pokazuje, że tryska energią. Siły ma za dwóch. Więc pasiaki mocowały się z załadowaną trupami rolwą i, na rozkaz esesmanów, w marszowym rytmie wykrzykiwały obozową przyśpiewkę: „Leją kawę, leją zupę, a najczęściej leją w dupę”. Niemcy, powtarzając ostatnie pięć słów, śmiali się do rozpuku. „Hej, Żydzi, na całym świecie nie spotkacie uczciwszego narodu nad Niemców – dowcipkowali. – My, Niemcy, zawsze dotrzemy słowa. Tak jak obiecaliśmy przy przyjmowaniu was do Auschwitz, lejemy was w dupę i posyłamy do gazu. Śpiewać, śpiewać!”.

Kiedy doktor Steiner poznała Rajka, pracował w komandzie blacharzy. W samą Wigilię słowacki kapo oskarżył Rajka o kradzież bochenka chleba. Oberkapo męskiego komanda budowlanego, Niemiec z zielonym trójkątem kryminalisty, zarządził apel całego komanda i w obecności wszystkich powiedział: „Polacy to naród złodziei. Za kradzież w obozie jest jedna kara: śmierć. To sprawiedliwa kara: zabrałeś chleb, Rzesza zabiera ci życie. Ale dziś jest Wigilia. Zamiast cokolwiek zabierać, coś ci jeszcze podaruję. Dostaniesz dwadzieścia pięć kijów na goły tyłek”.

W tamtych dniach szpital kobiecy był lepiej zaopatrzony niż męski. Na prośbę kolegów Rajka Steiner zorganizowała środki przeciwbólowe, następnie własnoręcznie zademonstrowała, jak robić okłady na krwawiące miejsca. Już jakiś czas później Rajek wspominał wigilijne bicie ze śmiechem, żartując, że dzięki słowackiemu kapo, który chleb pewnie sam ukradł dla niemieckiej kochanki, Lucyna miała okazję już pierwszego dnia poznać go od ładniejszej strony. Chociaż po prawdzie w tamten wigilijny wieczór nikomu w obozie nie było do śmiechu. Pod wielką choinką ustawioną na placu apelowym Niemcy ułożyli ciała mężczyzn rozstrzelanych tego dnia i spędzili więźniów, by na ten gwiazdkowy prezent każdy mógł się napatrzeć.

ZARAZ po obiedzie Josef Mengele przysłał funkcyną z bloku eksperymentalnego po młodą Jankę. Doktor Steiner próbowała wybronić dziewczynę.

– Jest chora. Ledwo co gorączka zaczęła jej spadać.

Funkcyjna uśmiechnęła się, mówiąc:

– Doktor Mengele szybciej ją wyleczy.

– Sama nie jest w stanie zrobić nawet jednego kroku.

– Zaniesiemy ją na noszach.

Janka była w pełni przytomna.

– Niech mnie pani ratuje! – prosiła Steinerową. – Przecież dobrze wiem, po co mnie zabierają.

– To tylko badania – pocieszała ją Lucyna. – Tam na miejscu mają laboratorium z prawdziwego zdarzenia.

– Nie mogę umrzeć. Sama pani wie, co się wtedy stanie z Hanną.

– Wrócisz jeszcze dzisiaj – kłamała Lucyna.

– Wyjdiesz na wolność. Kominem! – odezwała się po niemiecku Tauschowa ze swej pryczy. Po krótkiej szamotaninie sąsiadki zdołały ją uciszyć.

Janka nie dała po sobie poznać, czy zrozumiała odzywkę Tauschowej. Pozwoliła się położyć na noszach.

– Właściwie czuję się już lepiej – zapewniła.

– No widzisz! Mengele zainwestował w ciebie zbyt dużo czasu i lekarstw, by wszystko teraz zaprzepaścić. Przebada cię specjalistycznie i odeśle. Musi mieć pewność, że nie nastąpi nawrót choroby.

– Obiecuję pani?

– Masz moje słowo.

By dodać dziewczynie otuchy, Lucyna odprowadziła ją przed barak. Janka nie spojrzała już w jej stronę, kiedy cała procesja zmierzała w kierunku bloku eksperymentalnego na odcinku BIIId.

Zerwał się wiatr. Z kominów szły w górę strzępiaste słupy czarnego dymu. „Zapach palonych ciał” – rozpoznał Mensch. W ślad za panią doktor podreptał z powrotem do bloku.

*

Na godzinę przed wieczornym apelem zajrzeli Rajek i Jachimek. Wiedzieli już o Klescherze i Teresie. Mensch ze swego miejsca pod stołem słyszał, jak starają się Steiner pocieszyć. Przerwała im:

– To nie koniec złych wieści. Mengele zabrał Jankę.
– Może chce dziolche ino przebadoć – odezwał się Jachimek. – Potrzymy dzień, dwa i wypuści.

– To silna dziewczyna – przekonywał Rajek. – Nie oplaca mu się zbyt wcześnie spisywać jej na straty.

Lucyna oczy wciąż miała czerwone od łez. Powiedziała, kręcąc głową:

– Stracił cierpliwość. Akademia Medyczna w Grazu domaga się regularnego zaopatrywania w materiał badawczy.

Z dalszej rozmowy trojga Mensch dowiedział się również tego, że doktor Mengele jest częstym gościem w barakach kanady. Szuka tam słodczy i dziecięcych zabawek. Lubi, kiedy obozowe dzieci nazywają go „wujkiem” i dają się wszędzie prowadzić za rękę. Polowania na zabawki zaczyna już na rampie. Rampa i Kanada to chyba największy dziś bazar świata. Oferuje zabawki (oraz, naturalnie, wszelki asortyment towarów) niemal z każdego kraju Europy. Dzieci, które prosto z rampy trafiają do gazu, nie potrzebują przywiezionych z domu zabawek. W przeciwieństwie do ludzi misie, lalki, koniki, samochody, pajace czy piłki nie muszą przechodzić selekcji, doktor Mengele automatycznie pozwala im istnieć nadal. Zabawki trafiają do rąk dzieci, z których Rzesza, czyli medycyna niemiecka, czyli doktor Mengele, mogą mieć jeszcze jakiś pożytek.

Josef Mengele lubi wszystkie dzieci, szczególnie jednak hołubi bliźnięta i dzieci z anomaliami: karły, garbusy, egzemplarze o cerze albinosa, osobniki o różnym zabarwieniu tęczówki oka. Wypreparowane szkielety karłów i garbusów ostatecznie trafiają do Instytutu Antropologii, Nauki o Dziedziczeniu i Eugeniki; co ciekawsze preparaty anatomiczne z bliźniąt zasilają ponadto szereg innych placówek badawczych na terenie Niemiec i Austrii. O przeznaczeniu preparatów z Janki i Hanny Szober doktor Mengele zdecydował dopiero na stole sekcyjnym. Po obu czternastolatkach Mengele wiele sobie obiecuje. Rzadko trafia się gratka, że para bliźniąt umiera jednocześnie. Przypadkowi trzeba dopomóc. Mengele przez trzy tygodnie poddawał Jankę eksperymentom medycznym, między innymi spuszczał jej krew i wstrzykiwał zarazki; zakończywszy badania, od tygodnia czekał już tylko, by dziewczyna wyzionęła ducha. Nie mogąc się doczekać, postanowił przyspieszyć bieg wypadków: dał jej zastrzyk z fenolu w serce, a następnie o tej samej godzinie, z dokładnością co do minuty, naszprycuje fenolem Hannę. Auschwitz stwarza medycynie niemieckiej szansę, o jakiej lekarze innych krajów mogą jedynie marzyć: możliwość równoczesnego dokonania

sekcji na biologicznie bliźniaczych osobnikach, które zakończyły życie dokładnie w tym samym czasie. Wbrew obiegowym sądom życiem i śmiercią w Auschwitz nie rządzi brak logiki. Podczas gdy eksperymenty sterylizacyjne doktora Wirthsa służą temu, by narody niaryjskie sprowadzić po wojnie do skarłałych rozmiarów, doktor Mengele, pracując nad fenomenem bliźniactwa, czyli szprycując fenolem, a potem krając niaryjskie bliźnięta, realizuje ideę wielkich Niemiec, przybliża chwilę, gdy naród niemiecki szeroką rzeką bliźniąt rozleje się na cały glob.

Uwagę takiej mniej więcej treści wygłosił Rajek. Mensch zapamiętał, że Steiner powiedziała wtedy:

– Gdybym miała wybierać, to wolałabym być tą dziewczyną, niż pewnego dnia znaleźć się na miejscu Mengelego.

Na co Jachimek oburzył się:

– Pani doktor, niech pani lepiej wypluła te słowa...

Chciał coś jeszcze dodać, ale naraz dał się słyszeć rumor gwałtownie otwieranych drzwi i na korytarzu wydarła się rapportführerin Drechsler.

*

Auschwitz-Birkenau w czerwcu czterdziestego czwartego roku to nie to samo co obóz sprzed roku czy dwóch lat. Więźniowie nie umierają masowo na tyfus, rzadsze są przypadki czerwonki i biegunki głodowej; na niektórych salach chorzy leżą na prawdziwych prześcieradłach. Ale każdy barak szpitalny wciąż zapełnia średnio trzysta osób. Znaleźć konkretny obozowy numer pośród takiej mnogości to nie lada sztuka. Zwłaszcza gdy poszukiwany, mówiąc w dużym skrócie, w obozowej ewidencji nigdy nie zaistniał.

Tymczasem Drechsler sprawiała wrażenie, że zmierza do celu jak po sznurku. Zjawiwszy się w asyście dwóch esesmanów i czterech uzbrojonych pomocnic, od razu przystąpiła do realizacji planu. Nie zważając na protesty doktor Steiner, kazała pościagać pacjentki z prycz i zgromadzić je na środku baraku. Sama zapuściła się w głąb pomieszczenia. Nim upłynęły dwie minuty, wróciła, niosąc w ramionach zawiniątko.

– Co to jest?

Spod szmat ukazało się nagie ciało dziecka. Rzuciła szmaty na ziemię i podsunęła Lucynie noworodka.

– Dlaczego nie zgłosiłaś?

– Wczoraj się urodził. Nie zdążyłam.

– Kłamiesz. Żyje co najmniej od trzech tygodni.

– Nie, Frau Rapportführerin, dopiero co się urodził. Nie dopilnowałam rejestracji.

Przepraszam.

Drechsler, przyciskając chłopca jak pakunek, prawą ręką uderzyła Lucynę w twarz.

– To żydowskie dziecko. Dlatego je ukrywasz.

*

Jachimek mocno trzymał smycz; Mensch w końcu się poddał, zaprzestał szarpaniny. Widział, jak Drechsler podaje dziecko Niemce w wojskowym uniformie, sama staje twarzą do więźniarek i coś mówi. Z tłumu wysunęła się kobieta w pasiakach. Drechsler wydarła się na nią, kobieta wydukała kilka słów po niemiecku i rozłożyła ręce. Drechsler przywołała jedną z esesmanek. Stukając szpicrutą o skórzaną cholewkę buta, mówiła po niemiecku, a esesmanka tłumaczyła jej słowa na polski:

– Jak masz na imię? Odpowiadaj!

– Irena.

– Ty urodziłaś to dziecko?

– Tak.

– Jesteś Żydówką.

– Nie, Polką.

– Kłamiesz! To nie twoje dziecko.

– Moje, jak mi Bóg miły.

– Przysięgnij.

– W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Drechsler się zawahała. Długo patrzyła na Lucynę. Wreszcie powiedziała, przenosząc spojrzenie na matkę:

– Skoro to aryjskie dziecko, trzeba je ochrzcić. – Podeszła do beczki z wodą w kącie sali. – Jak ma na imię?

– Franciszek.

Dziecko do tej pory nie wydało dźwięku. Rozkrzyczało się, kiedy Drechsler wsadziła je do wody.

Mensch słyszał dobiegające z beczki bulgotanie. Nikt się nie poruszył. Matka dziecka tkwiła na wprost rapportführerin niczym słup soli. Wszyscy zdawali się czekać, aż hałasy w beczce ucichną.

Raptem z grupy więźniarek wyskoczyła kobieta z żółtą gwiazdą na obozowej sukience. Rzuciła się na Elbę Drechsler.

Mensch zapamiętał jeszcze, że padły dwa strzały. Esesmanki wyciągnęły trupa

Żydówki przed barak i wróciły po Irenę, na koniec zabrały doktor Steiner.

Rapportführerin Drechsler wzięła smycz od Jachimka. Jachimek nie zaprotestował. Menscha wyprowadzono przed barak. Mijając zwłoki młodej Żydówki, odwrócił się, żeby na nią spojrzeć; Drechsler szarpnęła smyczą, pociągając go za sobą.

30. Z dziennika untersturmführera Stoopą (8)

Kłopot z Franzem sprowadza się głównie do tego, że chłopak bezgranicznie wierzy w to, co mu się mówi. Dzisiaj pierwszy raz – zadbałem, by stało się to w mojej obecności – był na rampie przy selekcji; kiedy odjechała ostatnia ciężarówka z transportem do gazu, nadal był przekonany, że chorym i starym zapewniamy podwózkę, by zaoszczędzić im fatygi. Uznałem, że nie mogę dłużej utrzymywać go w niewiedzy. Zwymiotował cały obiad. Pamiętam, że na początku i ja rzygałem. Franz z czasem też przywyknie.

Wieczorem czeka mnie niemiły obowiązek złożenia wizyty żonie Kleschera. Wdowa szykuje się z dziećmi do wyjazdu. Jak na razie wierzy w oficjalną wersję z wypadkiem samochodowym i eksplozją baku z benzyną. Drechsler z uwagi na dzieci zaoferowała się towarzyszyć mi z psem. Wilczur swoimi sztuczkami potrafi każdego rozbawić. Drechsler lubi się nim popisywać; ot, dla kaprysu wysłała go z koszyczkiem do kantyny po obiad albo, lizuska, z wiktuałami do żony komendanta. Thurnov się wścieka, ale głównie może zrobić, komendant jest ponoć wniebowzięty. „Mensch – powiada Kramer – to dowód, że pies właściwie prowadzony pokazuje swoje najlepsze cechy”. Oczywiście, komendant pije do Grohmana, że to niby tylko z winy Ernsta pies tak strasznie zdziczał.

Dobre wieści: Kramer jest skłonny udzielić mi okolicznościowego urlopu. Za jakiś tydzień, jak tylko Franz na dobre się zadomowi, jadę do Berlina! Da Bóg, będę przy Lotcie w dniach porodu.

31. Czapki z głów

KOMENDANT obozu sturmbannführer Josef Kramer siedział przy zarzuconym papierami biurku. Obersturmführer Thurnov, adiutant Kramera, stał plecami do okna.

Kiedy ją wprowadzono, Kramer podniósł głowę znad dokumentów.

– Zechce pani usiąść?

Opadła na podstawione krzesło. Mrużąc spuchnięte powieki, próbowała wytrzymać jego spojrzenie. Twarz wciąż piekła ją od uderzeń.

Kramer wyjął papierosnicę. Thurnov podszedł sprężysto i przypalił mu papierosa.

– Nie mogła pani trafić gorzej, doktor Steiner. – Kramer tłumaczył tonem służbisty. – Pani sprawa jest już w gestii gestapo.

Czekał na jej reakcję. W głowie huczało jej jeszcze od krzyków i strzałów na postrach.

– To dopiero wstępne przesłuchanie. – Strzepnął popiół z papierosa do pustej szklanki po herbacie. Poprawił wiązanie krawata, jakby zaczął go uwierać. – W najlepszym razie skończy się to całą w bunkrze. Siedmiu dni bunkra nie wytrzymują najtwardsi mężczyźni. Chce pani coś powiedzieć?

Milczała. Nie wiedziała, jak będzie wyglądał koniec, ale chciała, by nadszedł jak najprędzej.

Thurnov wyszukał na biurku dokument i podsunął go komendantowi, palcem wskazał miejsce na papierze. Kramer zrobił zaszępiłą minę. Otworzył wieczne pióro i przybliżył stalówkę do kartki. Zawahał się. Odłożył pióro na blat biurka i wstał z fotela. Obciągnąwszy mundur na korpulentnej sylwetce, zaczął marszowym krokiem przemierzać gabinet. Zatrzymał się na wprost niej, spytał niemal życzliwie:

– Czemu akurat pani zachciało się bawić w politykowanie? Po co było drażnić gestapo?

– Nie zajmuję się politykowaniem. Jestem lekarzem.

– Właśnie. Tyle że na pani oddziale plenią się zarazki.

– Zarazki w Auschwitz Birkenau? Raczy pan żartować.

Kramer przysiadł na skraju biurka. Mundur sfałdował mu się na brzuchu.

– Zarazki buntu i niesubordynacji. Ingeruje pani w decyzje lekarzy SS. Ukrywa pani żydowskie dzieci.

– Na stażu w Berlinie uczono mnie, że każde ludzkie życie należy ratować.

– Herr Sturmbannführer! – Thurnov przynaglająco pokazał tarczę zegarka na przegubie dłoni.

Kramer zbył go machnięciem ręki. Nachylił się do Steiner.

– Występuje pani wbrew interesom Rzeszy.

– Jestem w zgodzie z moim lekarskim sumieniem.

– Pani działalność nosi charakter zdrady ojczyzny.

– Ojczyzny?

– Jest pani Niemką.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– W pani żyłach płynie niemiecka krew. Po niemiecku mówi pani nie gorzej ode mnie.

– Równie płynnie mówię po polsku. Oraz po francusku.

Kramer przywołał do siebie Thurnova i zapytał go o coś ściszym głosem. Adiutant odpowiedział mu równie cicho.

Kramer zwrócił się do Steiner:

– La mort. Jak to będzie po polsku?

– Śmierć.

Komendant obszedł biurko i klapnął na fotel. Wziął pióro do ręki.

– Rozumiem, że nie boi się pani śmierci?

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Boję się. Ale w Birkenau nic innego mnie nie czeka.

Kramer wolną ręką otarł czoło chusteczką. Westchnął, złożył staranny podpis na dole dokumentu. Następnie przyłożył stalówkę w górnym miejscu pisma i równą, ciągłą linią wykreślił nieduży fragment tekstu.

– Dziwne – mruknął jakby do siebie. – Doktor Mengele wstawił się za panią. Postanowiłem przychylić się do jej prośby.

Zawiesił głos. Pewnie czekał, że mu podziękuje. Milczała. Wiedziała, ku czemu Kramer zmierza: udając życzliwość, chciał rozbudzić w niej nadzieję.

– Doktor Mengele uważa panią za doskonałego lekarza. Wierzę, że się nie myli. Co pani na to?

– Rzesza niechętnie pozbywa się ludzi, zanim ich do końca nie wyeksploatuje.

Zamknął pióro, położył je na biurku i przyciskiem sygnału wezwał esesmana z korytarza. Rozparł się w fotelu.

– „Koniec”, Frau Steiner, to słowo o wielorakim znaczeniu. – Zaciśnięte grube, mięsiste usta. – Nawet mnie nie uda się kolejny raz wyrwać pani z rąk gestapo. Proszę to mieć na uwadze.

Kuśtykała już pod eskortą esesmana do drzwi, kiedy usłyszała głos Kramera. Odwróciła się.

– Żałuję, że gestapo potraktowało panią w ten sposób. – Wstał i założył czapkę. –

Nie lubię, kiedy coś podobnego przytrafia się Niemcom.

*

– Pflieger! – hauptscharführer Ruhe wydarł się już w drzwiach męskiego rewiru. – Wpadł do środka, rozejrzał się po twarzach czekających na baczność sanitariuszy i wskazał Jachimka: – Ty. Pójdiesz ze mną. Koń komendanta Hössa zaniemógł, a z ciebie podobno weterynarz. Jak się dobrze sprawisz, zdążysz na obiad.

– Ida. – Jachimek uśmiechnął się do Rajka. – Ratować kobyła komendanta to świnty obowionzek. – Skierował się do pokoju sanitariuszy.

– Dokąd? – ryknął za nim Ruhe.

– Mam tam torbę z instrumentami, Herr Hauptscharführer.

– Nie trzeba, w samochodzie wszystko już jest. Pospiesz się!

Przed barakiem czekał odkryty wóz terenowy z dwoma esesmanami. Ruhe kazał Jachimkowi usiąść z tyłu obok uzbrojonego w automat rottenführera, sam zajął miejsce przy kierowcy.

„Pierona, koń samego Hössa! – zadumał się Jachimek, kiedy wóz telepał się po gliniastej drodze, między barakami prawie pustego o tej porze obozu. – Z takiej odchowanej sztuki to dopiero by było kiełbasa!”.

Wyjechali przez bramę obozu, minęli posterunki, za dnia tworzące pierścień straży wokół obozowego kompleksu. Niebo na wschodzie się chmurzyło. Esesman obok Jachimka zakasłał i wypluł ślinę.

Na ostatnim posterunku Ruhe pokazał przepustkę i szlaban powędrował w górę. Pojechali dalej. Zamiast w stronę domu Hössa skręcili tam, gdzie wylewy Wisły wiosną i wczesnym latem tworzyły mokradła. Ruhe musiał zauważyć spojrzenie Jachimka, bo powiedział:

– To będzie gdzieś w terenie nadrzecznym. Zwierzę przewróciło się podczas porannej przejażdżki komendanta. Za parę minut będziemy.

Ruhe zapalił papierosa. Po namyśle poczęstował Jachimka. Jachimek zaciągnął się ostrożnie. Francuskie. Napełnił płuca dymem.

Czerwcowe słońce przygrzewało. Ruhe zdjął czapkę. Jachimek z zadartą głową śledził hałasujące na niebie jaskółki – w Birkenau spotykało się tylko wrony. Esesmana chwycił atak suchego kaszlu. Wycharkał flegmę i zaklął pod nosem.

Wiatr od rzeki przywiewał zapach wody i zieleni. Jachimek nabrał w płuca czystego powietrza. Przymknął powieki i oddychał rytmicznie.

Poczuł pieczenie w koniuszkach palców. Otworzył oczy, wyrzucił niedopałek na

zewnątrz. Samochód zwolnił i się zatrzymał.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Ruhe. – Wsiadaj!

Jachimek zobaczył pustą trawiastą przestrzeń i nieodległy pas zieleni nad rzeką.

Rozejrzał się.

– Schneller! – przynaglił Ruhe.

Jachimek wysiadł.

– Torba z instrumentami? – zapytał.

Ruhe nerwowo zapalił drugiego papierosa. Wytoczył się z samochodu.

– Kitzmann! – warknął.

Esesman otworzył drzwiczki po swojej stronie i wyskoczył; obciągnął zmięty mundur, poprawił automat przewieszony przez pierś.

– Wszystko czeka na miejscu – oznajmił Ruhe. – Naprzód, szkoda czasu!

„A więc to tak” – powiedział do siebie Jachimek. Przed sobą miał niezamieszkaną trawiastą przestrzeń, z pasem nad rzecznej zieleni.

– Nie oglądaj się! – Esesman znowu się rozkasłał.

„Gruźlica – orzekł Jachimek w myślach. – Kitzmann będzie mógł mówić o dużym szczęściu, jeśli zdąży dochrapać się kaprała”. Pomaszerował dalej, bo człowiek chcący myśleć logicznie tylko tyle może zrobić. Kasłanie ustało i Jachimek wyczulonym słuchem wychwycił szczęk odbezpieczanej broni. Spojrzał pod nogi, zobaczył nieskoszoną zieloną trawę i usłyszał pierwszy z trzech strzałów, którymi rottenführer Kitzmann zakończył jego życie.

*

Lucyna dokuśtykała do baraku szpitalnego i niepewnie przestąpiła próg. Pierwsza zobaczyła ją sztubowa Mlada, Słowaczka, która po śmierci Teresy przejęła lwią część jej obowiązków.

– Chwała Bogu! – ucieszyła się Mlada.

– W moim przypadku Bóg nazywa się Josef Kramer – skwitowała Lucyna.

Zachwiała się. Mlada pomogła jej przejść do pokoju. Lucyna zawahała się, jakby spodziewała się kogoś tam zobaczyć.

– Tauschowa? – domyśliła się Mlada.

W pokoju wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Nic nie wskazywało, by nastąpiła zmiana lokatora.

– Tauschowa nie żyje – wyjaśniła Mlada. – W nocy dostała silnego ataku.

Myśleliśmy, że dusznica, okazało się, że to zawał serca. Nic się już nie dało zrobić. –

Ściszym głosem dopowiedziała: – Nie było innego wyjścia. Sama wiesz najlepiej. Mogła jeszcze niejednej osobie zaszkodzić.

Lucyna pozwoliła, by Mlada zaprowadziła ją do łóżka. „Jestem nieludzko zmęczona – usprawiedliwiała się przed sobą, popijając podane tabletki przeciwbólowe i luminal ciepłą zbożową kawą. – Odpoczynek i łóżko dobrze mi zrobią”. Zanim jednak zmorzył ją sen, Żydówka Lilli Tausch, która wbrew dekretom Rzeszy rościła sobie prawo do aryjskich dzieci i męża Niemca, przyszła do niej raz jeszcze. Miała na twarzy wyraz rezygnacji, jak ktoś, kto prowadzi walkę z góry skazaną na przegraną i zdaje sobie sprawę, że tylko śmierć może go od tego obowiązku uwolnić.

*

Dzień wstał wyjątkowo piękny, co do tego SSLagerführerin Maria Mandel miała rację, pogoda wprost wymarzona na wycieczkę. Jednak obozowa praktyka nie uznawała nieuzasadnionych odstępstw od regulaminów, a wycieczkowy wypad za druty obozu byłby niewątpliwym odstępstwem; co dziwniejsze, wypad zorganizowany z inicjatywy samej Marii Mandel, kierowniczki obozu kobiecego w Birkenau.

Lucyna Steiner uznała wiadomość za mrzonkę, przedłużenie marzeń sennych. Miała pretensję do Mlady, że wrywa ją ze snu. Mlada nie ustępowała. Szarpała Lucynę za ramię, przynaglając do wstawania, wykrzykując jej nad uchem słowa sprzeczne z tak zwanym zdrowym rozsądkiem.

– Jaka wycieczka? – Trąc zaspane oczy, patrzyła na Słowaczkę. – O czym ty mówisz?

– Mandel wymyśliła, że w nagrodę pójdziecie na wycieczkę.

– W nagrodę za co? Jacy „my”?

– Blokowe i niektóre funkcyjne z rewiru i wyróżniających się komand. O nic więcej nie pytaj, bo nie wiem. Zbiórka za dwadzieścia minut przy bramie głównej. Po podwójnej dawce luminalu nie mogłam cię dobudzić...

– Ledwo się trzymam na nogach. Nie możesz mnie zastąpić?

– Lista jest imienna. Mandel zapowiedziała, że obecność jest obowiązkowa.

Brzmiało to jak rozkaz.

Ubrała się w czystą sukienkę, włożyła cywilny żakiet z przepisowym, wymalowanym czerwoną farbą pasem i pokuśtykała na miejsce zbiórki. „Z taką twarzą nie powinnam się dzisiaj pokazywać ludziom – myślała przez całą drogę. – Widać, że SS-Oberscharführer Boger ma ciężką rękę”.

Czekała ją niespodzianka: biały chleb, esesmańska kieł basa i prawdziwa herbata w

kubkach! Dwadzieścia kilka więźniarek uczestniczących w uczcie miało miny, jakby z piekła trafiły do raju.

– Wbrew kłamliwej propagandzie wrogów Rzeszy obóz koncentracyjny Auschwitz Birkenau jest nade wszystko miejscem pracy – mówiła z przekonaniem aufseherin Jandl, a dwa tuziny szczęk gryzły chleb z kiełbasą. – Za dobrą pracę trzeba nagradzać. Dlatego dzisiaj tu jesteście.

„Dlaczego właśnie ja? I to akurat dzisiaj? – głowi się Steiner, gdy w luźnym szyku mijają obozową bramę i po krótkim marszu są już poza drutami. – Z gestapowskiego pokoju przesłuchań na esesmański piknik?”.

Aufseherin Lisotte Jandl nadzoruje pracę jednego z komand kobiecej kanady. Wierzy niezachwianie w Führera, a jednocześnie słynie z ludzkiego stosunku do heftlingów. Nie stosuje terroru. Nie słyszano, by choć raz uderzyła więźniarkę. Kanadziarki twierdzą, że można ją nawet polubić.

Kobiety, jeszcze przed chwilą więźniarki Birkenau, zdjęły chodaki i boso rozlazły się po miękkiej trawie. Aufseherin Jandl ściągnęła furażerkę i wystawia twarz do słońca. Spuściła swojego psa; owczarek biega luzem między kobietami, daje się głaskać. Jandl zabrała tylko dwie nadzorczyńce: podobnie jak szefowa, każda z obu aufzejerek ma za całe uzbrojenie pistolet. Widać już krzaki nad rzeką. Z tego miejsca druty Birkenau wydają się odległe o dziesiątki kilometrów. Jandl częstuje papierosami. Aufzejerki paplają o jasnowłosych chłopcach z SS, prześcigając się w domysłach, co który nosi w spodniach. „W tych krzakach zwykły rosnąć jagody – mówi aufseherin Jandl. – Zobaczymy, która z was więcej zbiera”.

Za krzakami zaczyna się rzeka. Steiner udało się przeżyć w Birkenau ponad osiemnaście miesięcy; ma prawo podejrzewać, że spacer za druty, zbieranie jagód i piknik są elementem jakiegoś planu, nie zdarzyły się przypadkiem, w Auschwitz Birkenau nawet śmierć jest częścią ustalonego porządku. Kobiety rozbiegły się za jagodami, Jandl moczy bosc stopy w wodzie, aufzejerki bawią się z psem. Potem zaczyna się ceremonia rozdawania obiadu. „Suchy prowiant – mówi Jandl tonem usprawiedliwienia – jak to na wycieczce”. Wreszcie następuje nużące, beczynne wylegiwanie się w słońcu. Niewiele trzeba, by uwierzyć w wolność. Minuty wloką się niczym godziny. Wreszcie Steiner z uczuciem ulgi słyszy Achtung!, widzi, jak aufseherin Jandl wyłania się w pełnym, by tak rzec, rynsztunku, żeby obwieścić: „Pora wracać”. Zbierają się karnie, wpatrzone w nadzorczyńnię jak uczennice w nauczycielkę na szkolnym pikniku.

– Trochę nadłożymy drogi – informuje Niemka. – Lagerführerin Mandel ponoć przygotowała dla was jeszcze jakąś atrakcję.

*

Drechsler jest dumna z nowego nabytku, uwielbia paradować z nim po obozie. Owszem, Mensch wydaje się chwilami zbyt powolny, niektóre komendy trzeba mu dwukrotnie powtarzać. „To pies po przejściach” – rapportführerin tłumaczy wtedy, pieszczotliwie tarmosząc szaroburą sierść na karku ulubieńca. Mensch poddaje się dotykowi, merda ogonem. Całą uwagę skupia na niemieckich słowach, które esesmański wilczur po tresurze powinien w lot chwycić. Pod jednym względem życie Menscha nie różni się od losu każdego nowego więźnia Auschwitz Birkenau – żeby przetrwać, musi się nauczyć rozpoznawać i wykonywać niemieckie komendy. Za to psie sztuczki, które inne zwierzęta ćwiczą tygodniami, przyswaja w mgnieniu oka. To najkrótsza droga, by jak najrychlej odnaleźć się w nowej skórze.

Ludzie w mundurach stoją po lewej stronie bramy, naprzeciwko przygrywa obozowa orkiestra. Mundurów przybywa, pozdrawiają się gromkim Heil Hitler!, prężą się przed sobą na baczność z ręką jak do ciosu, niektórzy głaszczą Men scha; panuje niemal rodzinna atmosfera. Drechsler, osłaniając oczy przed słońcem, co rusz kieruje wzrok w prawo, jakby chciała się upewnić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Padają komendy: Mützen ab!, Mützen auf!, i więźniowie posłusznie ściągają czapki z głów, by po przekroczeniu bramy, na komendę, znowu je założyć. Mijając Jachimka, przyspieszają, na przekór ludziom w mundurach, którzy przecież nie z myślą o sobie wyreżyserowali to przedstawienie.

Jachimek nie widzi wchodzących. Oczy ma zamknięte; gdyby nie oplatający ciało drut kolczasty, osunąłby się z pala. Na piersi wisi mu tablica z dwujęzycznym napisem, tekst po polsku obwieszcza: „Zastrzelony przy próbie ucieczki”. Wracający z pracy więźniowie przekraczają bramę, maszerują piątkami przy dźwiękach obozowej orkiestry, zdejmują czapki przed Niemcami. Niektórzy zakładają je z powrotem zbyt długo po komendzie, jakby mijając Jachimka, chcieli mu coś od siebie powiedzieć.

Dla Jachimka nic już nie da się zrobić. Mensch niepokoi się o doktor Steiner. Rapportführerin Drechsler także ją dostrzegła; aż wspięła się na palce, by nie uronić niczego ze sceny, jaka za chwilę rozegra się przed jej oczami. Menschowi wali serce. Zrobiłby wszystko, by móc uwolnić się od smyczy i znaleźć po drugiej stronie. Być blisko doktor Steiner, gdy ta zobaczy Jachimka; kiedy zrozumie, kogo Kramer, Drechsler, Mandel, Ruhe, Mengele i pozostali chcieliby zobaczyć na je go miejscu.

32. Lalka z greckiego transportu

– POMOŻESZ mi się wszystkiego pozbyć? – poprosiła Rajka Lucyna. Zjawił się przed wieczornym apelem pod pretekstem zaopatrzenia kobiecego rewiru w leki. Zdawali sobie sprawę, że nikt nie powinien ich teraz widywać razem, mieli zaledwie kilka minut na omówienie sprawy.

Zdażyła doprowadzić pokój do względnego porządku. Rajkowi wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, co się wydarzyło.

– Pozbyć? – Upewnił się, że drzwi są zamknięte. Ściszył głos: – Mówisz o mundurze?

Rozmowa z Rajkiem była nieunikniona po tym, co się stało. Kiedy wracając z pikniku, zobaczyła Marcela Jachimka, zrozumiała, w jakim celu Mandel i Drechsler kazały jej wziąć udział w dzisiejszym przedstawieniu. Rewizja w pokoju była dowodem, że jej najczarniejsze obawy właśnie się potwierdzają.

Młoda pomogła jej sprzątać.

– Przyszli tuż po twoim wyjściu – relacjonowała ze źle skrywanym zdenerwowaniem. – Obersturmführer Thurnov we własnej osobie i dwóch z gestapo, zupełnie mi nieznanych. Niczego nie zostawili na swoim miejscu. Zdemontowali nawet zimowy piecyk. Domyślasz się, czego szukali?

– Pojęcia nie mam – skłamała.

Młoda przyjrzała się jej uważnie.

– Wiesz, że możesz na mnie liczyć?

– Wiem. Dziękuję.

– Nie popełnij typowego błędu.

– To znaczy?

– Nie pokładaj bezgranicznej wiary we własne siły. Możesz znaleźć się w punkcie, w którym sama sobie ze wszystkim nie poradzisz.

– Jestem wystarczająco silna.

– Moja siostra też tak myślała. Nie wiedziałaś, że do Auschwitz przyjechałam z siostrą?

Lucyna pokręciła przecząco głową.

– Véra była starsza, czuła się za mnie odpowiedzialna. Obie miałyśmy szczęście,

wyszłyśmy cało z selekcji. Véra trafiła do Kanady. Żyć nie umierać. Kanadziarek nie gołą do gołej skóry, wolno im nosić cywilne ubrania, pracują pod dachem, jedzenia mają pod dostatkiem. W bagażach z całego świata można znaleźć, co dusza zapagnie.

Prawdziwa Kanada.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Véra powoli odwykała od Auschwitz. Oczywiście, wiedziała, czemu kominy dymią. Ale jak wyciągasz z walizy piętnaste, dwudzieste, trzydzieste z rzędu futro, to widzisz w nim tylko damską kreację, przestajesz myśleć, że właścicielka właśnie teraz pali się w piecu krematorium.

– Każdy tutaj próbuje zbudować świat na własny użytek. Żeby choć na chwilę zapomnieć.

– Vérze się to udało. Rodzice umarli jeszcze w getcie, nie miałyśmy innych bliskich krewnych. Rozpakowując dzień w dzień walizki, nie musiała się obawiać, że natrafi na ślad po kimś znajomym.

– Wciąż nie rozumiem.

– Przestała się bać. Uwierzyła, że nic jej nie zdziwi, że z tobołków, plecaków i walizek nie wyskoczy duch przeszłości. Nabrała przekonania, że wystarczająco okrzepła.

– Nigdy mi o niej nie opowiadałaś.

– Chyba już rozumiesz dlaczego.

– Mów dalej.

– Wszystko było dobrze do czasu, kiedy znalazła lalkę z greckiego transportu.

– Miała dzieci?

– Nawet nie wyszła za mąż. Nie w tym rzecz. Przecież do widoku zabawek zdążyła przywyknąć. Bywały dni, że kanadziarki wyjmowały z bagaży i selekcjonowały dziesiątki misiów, lalek, samochodzików, bębenków. Wzięła więc tę lalkę i poszła dorzucić ją do innych. I stanęła przed stosem podobnych lalek. Rozumiesz? Wtedy już nie nadążali z pakowaniem i wysyłaniem wszystkiego do Rzeszy, to był ten okres, kiedy każdego dnia przyjeżdżały dwa, trzy transporty.

– Co ci powiedziała?

Młoda krótko potrząsnęła głową.

– Znam tę historię z relacji koleżanek Véry. Nie wiem nawet na pewno, o czym wtedy pomyślała. Mogę tylko zgadywać. Przepracowała do końca dnia, a zaraz po apelu połknęła truciznę.

– Każdy ma swój próg odporności. Tyle że poznajemy go zazwyczaj dopiero w chwili próby.

– Dlatego ważne jest, by mieć do kogo pójść. Véra z jakiegoś powodu nie skorzystała z tej możliwości.

Zapadło milczenie. Wreszcie Lucyna odezwała się, starając się nadać głosowi pewne brzmienie:

– Jedno ci powiem: historie jak ta z Jachimkiem sprawiają, że jestem silniejsza. Odporniejsza – dodała, by uprzeczyć pytanie Młady.

Niedługo potem przyszedł Rajek. Oboje wyczuwali, że czas ich nagli. „Śmierć Jachimka i rewizja nie zdarzyły się przypadkiem. Co więcej, są z sobą powiązane” – stwierdziła Lucyna. Rajek zmilczał uwagę. Nie było sensu zaprzeczać. Obejrzał uprzątnięty z grubsza pokój.

– Nie trzymałaś nic trefnego?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Zapytała:

– Pomożesz mi się wszystkiego pozbyć?

– Pozbyć? – Sprawdził, czy drzwi są zamknięte. – Mówisz o mundurze?

Streściła relację do niezbędnego minimum. Słuchał bez zadawania pytań, ucząc się na pamięć topografii trzech miejsc, gdzie ukryła poszczególne części munduru.

– A pas? – spytał na koniec.

– Ja się tym zajmę. Jest w bezpiecznym miejscu.

Pożegnała go krótkim pocałunkiem, zerkając nerwowo na drzwi. Zdawała sobie jednak sprawę, że Rajek na coś czeka.

– Czuję, Rajek, że i tym razem szczęście nam dopisze.

– Rajek?

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Myślałem, że zmienisz zdanie.

– Na wszystko przyjdzie czas. Potem.

Musnęła dłonią jego policzek. Próbował przytrzymać jej rękę. Uwolniła się i łagodnie pchnęła go w stronę drzwi.

– Biegij, zaraz apel. Nikt cię tu nie powinien widzieć.

Siedząc na łóżku, próbowała uporządkować myśli. Zajrzała Młada, ale widząc ją zapłakaną, poszła. Rozległy się gwizdki wzywające komanda na apel na głównym placu.

Z korytarza dobiegły ją nawoływania sztubowych i stukot chodaków. Hałasy

przybrały na sile. Kiedy nastąpiła względna cisza, Steiner dźwignęła się z łóżka, poprawiła sukienkę i ruszyła ku drzwiom. Ledwo je otworzyła, usłyszała Achtung!, zobaczyła, jak Młoda pręży się na baczność przed rapportführerin Drechsler i untersturmführerem Stoopem. Esesmanka słuchała meldunku, nie przestając perorować o czymś ze Stoopem, lewą ręką, odzianą w skórzaną rękawiczkę, głaskała po łbie Menscha siedzącego karnie przy jej nodze.

33. Kaftanik Hovlankowej

LEWĄ ręką głaskała psa, prawą – uzbrojoną w szpicrutę – uderzała rytmicznie o wysoką skórzaną cholewkę. Stoop wyglądał na zmęczonego, tłumił ziewanie. Drechsler wysłuchała raportu Młody i zarządziła natychmiastową zbiórkę wszystkich chorych. Obecności Steiner jakby nie zauważała. Młoda z pomocą sztubowych i dwóch towarzyszących Drechsler aufzejerek spędziła kobiety do przedniej części baraku. Rapportführerin uwolniła psa ze smyczy.

– Te, które w tych dniach rodziły, niech wystąpią – zwróciła się do więźniarek po niemiecku.

Nikt nie wykonał żadnego ruchu. Drechsler wyprostowała się tak, że wydawała się wyższa.

– Jak która roci, to teraz wystomp – powtórzyła Drechsler, siłąc się na polski. – Schneller!

Drechsler przywołała Steiner ruchem ręki.

– Będziesz tłumaczyć. – Nie podnosząc głosu, zaczęła mówić, Steiner przekazywała słowo po słowie jej wywód: – Doszły mnie słuchy o bałaganie na terenie rewiru. Wbrew wyraźnym instrukcjom nadal ukrywacie żydowskie dzieci. To otwarty bunt. Taka postawa godzi we władzę obozu i we mnie osobiście. Zostałyście ostrzeżone, że kolejne przewinienie tego typu spotka się z surową karą. Komendant Kramer upoważnił mnie do podjęcia stosownych kroków. – Popatrzyła po twarzach kobiet. – Słuchać mnie uważnie! Jeśli wykryję najmniejsze dowody niesubordynacji, osoby bezpośrednio winne przestępstwa zostaną ukarane śmiercią. Ta sama kara czeka w pierwszej kolejności przełożoną bloku za niedopełnienie obowiązków. Będzie to nauczka dla innych.

Odczekawszy, aż Steiner skończy tłumaczyć, dodała:

– Jeśli któraś wie o jakimkolwiek przestępstwie na terenie baraku szpitalnego, niech

to teraz zgłosi. Sama może się spodziewać darowania kary.

Milczały. Drechsler chyba się tego spodziewała.

– Bardzo dobrze. – Pokazała w uśmiechu wystające zęby. – Jesteście głupie.

Przede mną nic nie ukryjecie.

Przełożyła szpicrutę do lewej ręki, prawą zanurzyła w kieszeni munduru i wydobyła zawiniątko z różowej flaneli. Rozprostowała je strzepnięciem, ujęła w dwa palce i podniosła.

Lucynie pociemniało w oczach. Zerknęła na Mładę. Słowaczka również rozpoznała kaftanik córeczki Hovlankowej.

– Such! – Drechsler podsunęła kaftanik Menschowi do obwąchania.

Mensch zamerdał ogonem. Intensywne szkolenia z Elsą Drechsler nie poszły na marne. Potrafi bezbłędnie odróżnić Steh od Such, Fuss, Aus i Voraus już mu się nie pomyła.

– Dobry pies! – Drechsler nadal podtyka mu materiał pod nos. – Szukaj!

Idąc tropem zapachu, Mensch wskakuje na jedną ze środkowych prycz po prawej stronie sztuby, odnajduje źródło woni z kaftanika. Od wybrzuszzonego koca bije ciepły odór – mieszanina mleka, moczu i nieznanego mu maści.

Ostrożnie dotyka nosem sfałdowanego koca. Wyczuwa ruch pod warstwą materiału.

Drechsler słyszy trzy krótkie szczeknięcia, gwizdnięciem przywołuje Menscha.

Pies biegnie środkowym przejściem między pryczami, w pysku trzyma biały tobołek. Więźniarki, Stoop, Drechsler i obie jej pomocnice wiedzą, co za chwilę się wydarzy.

Mensch złożył tobołek u stóp esesmanki, przysiadł i czeka.

– Dobry pies. – Drechsler podniosła zdobycz i rozwiązała supeł na jednym końcu. Z otwartego tobołka wysypały się na ziemię kawałki suchego chleba.

– Vďaka Bohu! – wyrwało się Mładzie. Powiedziała do Lucyny szeptem: – Miałymy szczęście!

– To chyba coś więcej niż szczęście.

– Nie chcesz chyba powiedzieć...

– Pies ją przechytrzył.

Walczyła z narastającym zmęczeniem, próbując uporządkować i zrozumieć wydarzenia ostatnich minut. Poddała się. Chciało jej się śmiać. Widziała minę Drechslerki i w tym momencie tylko to się liczyło.

W korytarzu powstał rumor. Słysząc było uderzenia ciężkim narzędziem i trzask zrywanych desek. Potem pokazał się hauptscharführer Ruhe.

– Mówiłem – powiedział głośno do Drechsler i Stoopą, by każdy mógł słyszeć – że zawsze najciemniej jest pod latarnią.

Zatrzymał się przed Lucyną. Wytrzymała jego spojrzenie.

– Gdzie jest scharführer Ernst Grohmann? Co z nim zrobiliście? – spytał.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Powtarzam: gdzie jest Grohmann?!

– Nie znam odpowiedzi na pana pytanie, Herr Hauptscharführer.

– Pani pozwoli ze mną. – Szarmancko strzelił obcasami i przepuścił ją przodem, ruchem ręki zachęcając Stoopą, by do niego dołączył.

Drechsler wzięła Menscha na smycz i podążyła za nimi na korytarz. Ujrzała rozplątane drzwi pokoju blokowej, widziała, jak Ruhe zapuszcza rękę w otwór po wybitych deskach i wydobywa esesmański pas.

– „E.G.” – przeczytał wryte na spodzie skóry litery. – Jak pani myśli, do kogo mógł należeć?

– Nie wiem, Herr Hauptscharführer.

– Skąd się tutaj wziął?

– Nie wiem.

Ruhe ujął pas za oba końce. Przez chwilę ważył go w dłoniach. Mensch zawarczał.

– Spokój! – Drechsler szarpnęła smyczą.

– Tak... – mruknął Ruhe. – Nawet zwierzę nie jest pozbawione uczuć. Musiał rozpoznać własność swojego pana.

Zamachnął się pasem i sprzączka uderzyła Lucynę w twarz. Ból w prawym policzku był do zniesienia, jakby wcześniej zaaplikowano jej środek znieczulający.

Ruhe wrzasnął, żeby przekrzyczeć ujadanie psa:

– Gdzie jest Grohmann?!

– W piekle, Herr Hauptscharführer.

Nie była pewna, czy te słowa naprawdę padły, czy wypowiedziała je tylko w myślach. Świat szybko oddalał się od niej.

34. Z dziennika untersturmführera Stoopą (9)

No i można by rzec, że Grohmann wykręcił się sianem. Zamiast pierdła, kto wie, może nawet kulki za dezercję, pogrzeb z wojskowymi honorami plus jakieś –

niewadzące nikomu – odznaczonko. Nie że bym mu zazdrościł. Boże uchwaj!

Boger szaleje jak kundel na widok suki w rui. Takiej gratki z rąk nie wypuści. Wyciśnie z Polki i jej gacha prawdę jak sok z cytryny. Ma chrapkę na szefostwo obozowego gestapo. Jeśli zdoła pięknie udokumentować męczeńską drogę scharführera Ernsta Grohmana, jeżeli nie tylko wykryje morderców, lecz także zręcznie obnaży rodzący się w umysłach międzynarodowego żydostwa spisek, spisek mający na celu zniszczenie najpiękniejszych kwiatów SS w samym sercu Auschwitz, może wygryzie Hansa Schurza i zajmie jego miejsce.

Zastanawia mnie pies Grohmana..... „Zębata” miała się z pyszna, kiedy zamiast bachora wyniuchał zawiniątko z jedzeniem. Że nawet esesmański owczarek biegły w tropieniu Żydów może się pomylić? Jak najbardziej, tyle że to akurat nie ten przypadek. Wiem, bo widziałem. Kiedy Drechsler, Ruhe i cała reszta rzucili się oglądać rozbebeszone drzwi kryjące relikwię męczennika Grohmana, zapuściłem się między prycze – i odszukałem corpus delicti. Prawdę powiedziałwszy, bez wielkiego trudu, bo bękart zaczął kwilić. Chłopiec czy dziewczynka? Nie sprawdzałem. Żadna różnica, Juden to Juden, szczęśliwie pod względem żydowskiej płci Führer nie jest detalistą. Gotów bym głowę dać, że kiedy dołączyłem do reszty, pies wyczuł, co robiłem. Jakby czytał mi w myślach. Nie spuszczał ze mnie ślepiów. Odstąpiłem od zameldowania Drechslerce o znalezisku. Nie moja sprawa. Niech sama zapracuje na swój Kriegsverdienstmedaille.

Do późna w nocy zabawiłem w kantynie. Franz za moim przykładem zasmakował w węgierskiej śliwowicy. Mam wrażenie, że już się zadomowił i okrzepl. Na wszelki wypadek załatwiłem mu tydzień służby więziennej, byle trzymać go z dala od rampy. Robota lekka; co najważniejsze, o niczym nie musi decydować.

W najmniej odpowiednim momencie do kantyny wtarabanił się Broad. Bałem się, że zacznie się rozwodzić nad zmiękczeniem morderców Grohmana, szczęśliwie oszczędził nam jednak szczegółów śledztwa. Szybko się ululał, po czym posłał jednego z heftlingów po swój akordeon. Franzowi zaświeciły się oczy. Wyciągnął harmonijkę ustną. Stworzyli duet, że można by ich pokazywać w Wiedniu na koncercie noworocznym. Na nieszczęście ktoś wpadł na pomysł, że by sprowadzić dwie młodziutkie Węgierki, świeży nabytek obozowej orkiestry. Ściągnęli je – zaspane, wystraszone – i kazali śpiewać. Znają niemal cały niemiecki repertuar, przed wojną zdążyły już posmakować występów na salach Berlina i Monachium. Po odśpiewaniu niemieckiego kanonu na życzenie esesmanów zaczęły prezentować żydowskie

piosenki. Broad uparł się częstować je wódką. Broniły się, ale nic nie wskórały. Wyczuwszy, na co się zanosi, niemal w ostatniej chwili wyciągnąłem Franza i odprowadziłem go na kwaterę. Ucieszył się, bo obiecałem, że sprowadzę mu akordeon. Jutro w wolnej chwili przejdę się po barakach kanady, pewnie coś wybiorę.

Dobre wieści od Lotty. Jej matka przyjechała z Kassel na czas porodu. To już kwestia dni. Dobrze, że z Franzem zaczęło się układać, będę mógł pojechać do Berlina na obiecaną przepustkę.

35. Prosty rachunek

WE ŚNIE zmagala się z jakimś mechanizmem. „Tłok strzykawki” – pomyślała. Szarpnęła energiczniej; szcęknięło, wyczuła pod palcami chłód metalu, zobaczyła rygiel. Żeby strzelić, wiedziała, trzeba go odciągnąć. Grohmann przyglądał się jej kpiąco, jakby założył, że doktor Steiner nie da rady. Obok Grohmanna stali Ruhe, Mengele, Hanzlik, Rausch, Thurnov i inni. Wystarczyłoby wycelować i raz za razem pociągać za spust. Spociła się. Grohmann miał rację.

Pociemniało jej w oczach. Niczym zza grubej kurtyny dochodził teraz chłupot, jakby ktoś szamotał się w wodzie i walczył o oddech. Usłyszała, że Drechsler pyta: „Czy ja wyglądam na Żydówkę?”. Wymacała palcem języczek spustu. Jeśli jest w stanie strzelić, to właśnie teraz. Zebrać w sobie wszystkie siły i posłać kulę w kierunku, z którego dochodził głos esesmanki, przynajmniej to mogła zrobić. „Chociaż tyle – przekonywała sama siebie – powinna zrobić dla tamtych”. Palec jej zeszywniał z niemocy.

– Przecież nawet nie jestem podobna do Żydówki. – W głosie zabrzmiała agresywna nuta: – Powiedz, czy ja choć trochę przypominam Żydówkę?

– W tej ciemnicy nic nie widzę.

– Naturalne blond włosy i niebieskie oczy, owal twarzy jak u Dietrich. Czy tak wygląda Żydówka?

Od ścian celi bunkra biło chłodem i wilgocią. Poruszyła się i w ciemności natrafiła ręką na sztywne ciało. Odskoczyła.

– Zabiorą ją rano. Ona nic ci nie zrobi.

– Długo tu jestem?

– Wyjdiesz stąd pierwsza. Mam nadzieję, że już stawiają szubienicę. Należy ci się.

– Czemu to mówisz? Nawet mnie nie znasz.

– Frau Steiner. Doktor Steiner.

– Kim jesteś?

– Pytasz o nazwisko? Żydówka, która chce żyć. To mało?

– Każdy chce żyć.

– Brednie!

– Nie rozumiem...

– Jak walczyłaś o życie? Wyrzekłaś się na rampie własnego dziecka? Rozkładałaś nogi dla każdego chętnego Niemca? Rachunek był prosty: dziecko mogę jeszcze urodzić, a życia nikt mi nie zwróci. Greckie Żydówki to dobry towar, prawie każdy esesman się skusi. Ale w Auschwitz uroda szybko przemija. Dałabym sobie spuścić całą żydowską krew za kilka kropel twojej dobrej niemieckiej krwi. To ciebie powinni wystawiać nagą przy głównej bramie na pośmiewisko! Wyrzekłaś się niemieckiej krwi!

– Nie ma czegoś takiego jak niemiecka krew. Ani żydowska. Krew to krew. Jestem lekarzem.

– Myślisz, że tym się wykpisz? Nawet ja ci nie uwierzę. Hitler wie lepiej. Co dopiero Oberscharführer Boger!

Ktoś kopnął w metalowe drzwiczki po drugiej stronie. Szczęknęła otwierana kłódka i tuż przy podłodze celi pokazał się prostokąt mdławego światła.

– Frau Doktor!

Opadła na kolana i zaczęła się przeciskać przez wąską szparę.

– Herr Blockführer – dobiegło ją z głębi celi. – Tamta już umarła. Zabierzcie ją stąd. Proszę!

– Nie ma pośpiechu. Przyjdziemy po was obie.

Przezołgała się, z trudem wyprostowała plecy w wąskim korytarzu. Słabe światło pojedynczej żarówki na chwilę ją oślepiło. Mrużąc łzawiące oczy, wypatrzyła jasny owal twarzy i patkę z dystynkcją na kołnierzu munduru.

– Śmierdzisz gównem. – Niemłody, baryłkowaty rottenführer lufą karabinu nakierował ją do wyjścia. – Du polnischer Dreck!

*

– Sami starzy znajomi, Frau Doktor? – Boger stał pośrodku pozbawionego okien pomieszczenia. Był bez nakrycia głowy, w samej koszuli, czapkę i kurtkę munduru powiesił na haczyku na ścianie. – Rapportführerin Drechsler, unterscharführer Schlage, hauptscharführer Ruhe. Mnie chyba pani pamięta?

– Pamiętam. – Z zimna chwycił ją kaszel. – SS-Oberscharführer Wilhelm Friedrich Boger.

– Aptekarska pamięć, chciałoby się rzec. Doskonale! Bo od kondycji pani pamięci wiele dziś zależy.

Stała boso na wylanej betonem podłodze, na próżno próbując opanować dreszcze. Schlage siedział z boku biurka, Ruhe, oparty o ścianę, ścisnął w rękę kieszonkowy notes, przyglądał się jej z zainteresowaniem. Drechsler trzymała Menscha na krótkiej smyczy; pies ziajał niespokojnie.

– Wie pani, jakie obowiązki spoczywają na gestapo. – Boger ruszył w jej stronę. Zatrzymał się w połowie drogi i wciągnął nosem powietrze; skrzywił się. – Ze swej strony zamierzam przeprowadzić wszystko w cywilizowany sposób. Spodziewam się, że nie będzie mi pani tego utrudniać.

– Skoro to oficjalne przesłuchanie, obawiam się, że mój niemiecki nie jest wystarczająco dobry. Domagam się tłumacza.

– Mówi pani po niemiecku biegle!

– Herr Oberscharführer! – Wyprostowała się. Naraz przeszła na polski: – Będę zeznawać tylko po polsku.

Boger zdjął okulary, przetarł szkła chusteczką i na powrót założył okulary.

– Gra na czas to chybiony zabieg. Tłumacza znajdę pani w dziesięć minut.

– Herr Oberscharführer – wtrącił Ruhe – ja znam dobrze polski.

– Świetnie. Bruno, będziesz notować.

Bruno Schlage wziął notes od Ruhego i powrócił na swoje miejsce z boku biurka.

Boger zapalił papierosa i zapytał, a Ruhe przetłumaczył jego słowa:

– Jachimek, Rajek czy może ty: które z was trojga zabiło scharführera Grohmana?

*

Oficer w okularach zdjął kurtkę munduru, powiesił ją na haczyku na ścianie, tak samo wojskową czapkę. Powiedział coś do Elsy Drechsler. Zaśmiała się; Mensch przez chwilę widział wystające żółte zęby. Na słowa oficera pozostała dwójka: Ruhe i mundurowy przy biurku, też zareagowała śmiechem.

Otworzyły się metalowe drzwi – i żołnierz wprowadził doktor Steiner. Zaraz wyszedł; Steiner spojrziała za siebie, jakby chciała oszacować odległość od ściany. Drechsler ostentacyjnie przyłożyła chusteczkę do nosa.

Steiner chwiała się na nogach. Trudno było ją rozpoznać w okrytej strzępami ubrania, śmierdzącej fekaliami postaci. Oficer w okularach zwrócił się do więźniarki po

niemiecku. Głos miał nadspodziewanie uprzejmy. Mensch wychwycił tylko słowa: SS-Rapportführerin Drechsler, SS-Uunterscharführer Schlage, SS-Hauptscharführer Ruhe. Steiner przytaknęła i, chyba w odpowiedzi na zadane pytanie, zwracając się do Niemca, powiedziała, jakby potwierdzając: SS-Oberscharführer Wilhelm Friedrich Boger. Chwycił ją kaszel.

Boger wydawał się zadowolony z odpowiedzi. Ruszył ku Steiner, nie przestając mówić. Zniechęcony fetorem, przystanął. Wyglądało na to, że stara się ją do czegoś nakłonić. Odpowiadała spokojnie, ale stanowczo. Potrząsnęła głową, wyprostowała się i przeszła na polski:

– Będę zeznawać tylko po polsku.

Trzęsła się z zimna na betonowej podłodze. Mensch zadreptał niespokojnie; Drechsler skarciła go końcem smyczy.

Boger był skonsternowany. Przetarł szkła okularów, założył okulary z powrotem. Odzyskał pewność siebie. Do rozmowy włączył się Ruhe. Boger skinął przyzwalająco głową. Na ten znak Schlage wstał od biurka, wzięwszy od Ruhego notes, powrócił na swoje miejsce. Boger zapalił papierosa. Wydmuchał dym i zwrócił się po niemiecku do doktor Steiner, a Ruhe przetłumaczył jego słowa na polski:

– Jachimek, Rajek czy może ty: które z was trojga zabiło scharführera Grohmanna?

Steiner odczekała, aż Ruhe skończy tłumaczyć. Odparła po polsku:

– Mogę mówić tylko we własnym imieniu.

– No więc słucham.

– Nie mam pojęcia, co się stało z scharführerem Grohmannem.

– Zatem Rajek albo Jachimek?

– To pan twierdzi, że scharführer Grohmann nie żyje. Mnie nic na ten temat nie wiadomo.

– A może obaj maczali w tym palce?

– Dlaczego ich samych pan o to nie zapyta?

– Nie bądź głupia! Dobrze wiesz, że Jachimek nie żyje.

– Ktoś nie chciał dopuścić do ujawnienia prawdy? To chce pan powiedzieć?

Boger doskoczył do niej z pięściami.

– Cwana jesteś! – Pohamował się. Opuścił ręce i lustrował ją wzrokiem. – Mam nadzieję, że w celi bunkra byłaś dobrze traktowana?

– Jak pan widzi, trafiłam w dobre ręce.

– Rozbieraj się.

– Tego nie zrobię.

Boger otworzył drzwi i zniknął na korytarzu. Wrócił z żołnierzem dźwigającym cynowe wiadro.

– Przepraszam panią za podoficerów z bunkra – zaczął Boger z udawaną kurtuazją.

– Ze swej strony mogę zrekompensować tylko niektóre z ich niedociągnięć.

Silny strumień wody omal jej nie przewrócił. Boger oddał żołnierzowi puste wiadro i zdał z niej strzępy ubrania.

– Sitz, Mensch! – Drechsler krzyknęła na psa.

– Czuje już pieczeń! – Schlage się zaśmiał.

Dygotała w kałuży wody. Odjęła ręce od piersi i opuszczając ramiona wzdłuż ciała, wyprostowała się. Schlage cmoknął.

Nie odrywając od niej spojrzenia, Boger zapalił drugiego papierosa. Pytał, a Ruhe tłumaczył:

– Kto zabił Grohmanna?

– Nie wiem.

– Gdzie jest ciało?

– Nie wiem.

– Skąd pas Grohmanna wziął się w twoim pokoju?

– Nie wiem.

– Kłamiesz. Rajek wszystko wyśpiewał.

Milczała. Badali się wzrokiem.

– Baraki kanady – powiedział Boger. – Rajek zaprowadził nas do wszystkich trzech miejsc, gdzie ukryliście poszczególne części munduru. – Na moment zawiesił głos. – I zdradził twoją kryjówkę z pasem.

Mensch dojrzał coś, czego inni nie mogli zobaczyć. Doświadczał tego zjawiska pierwszy raz, ale jego wzrok, wierzył, nie uległ omamom, rejestrował jedynie nową dla Menscha rzeczywistość. Tak jak skóra nagle pokrywa się rumieńcem, tak na wieść o pochwyceniu Rajka ciało Lucyny otoczyła ciemna, gęsta aura, jakby ktoś obrysował je grubym, czarnym konturem. Wystarczyło jednak, że padło następne zdanie – to o Rajku rzekomo zdradzającym miejsce ukrycia pasa – by aura wokół kobiety złagodniała, a lepka czerń przybrała odcień miękkiego, falującego błękitu. Gdyby oberscharführer Boger mógł to również zobaczyć, też doszedłby do wniosku, że Lucyna Steiner przyjęła jego ostatnie słowa z ulgą.

– Wiemy wszystko – podjął Boger. – Nie potrzebujemy twoich zeznań. Więc

dlaczego tracę czas na rozmowę z tobą?

– Nie wiem, Herr Oberscharführer.

Niemiec rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał butem. Podniósł na nią wzrok.

– Bo chcę ci pomóc.

– W jaki sposób?

– Rajek wyśpiewał nam całą historię. Teraz chcę ją usłyszeć od ciebie.

– Co takiego powiedział?

Boger tupnął, rozpryskując wodę:

– Nie marnuj mojego czasu!

– Mogę usiąść, Herr Oberscharführer?

– Zaczynaj mówić, to szybciej skończymy.

– Co mnie czeka?

– O twoim losie zadecyduje sąd w Katowicach. Ale od postawy w śledztwie wiele zależy.

– Niech pan oszczędzi mi kłamstw.

Boger splótł ręce za plecami i bujając się na piętach, wpatrywał się w nią, jakby chciał przeniknąć jej myśli.

– Dobrze. Co do samej kary nie mam wątpliwości. Mogę się tylko postarać, by śmierć była mniej... Hm, bolesna? Bunkier głodowy, szubienica, pluton egzekucyjny... albo spalenie żywcem w krematorium. To jednak różnica, prawda? Zabiłaś niemieckiego żołnierza. Kara musi być przykładowa. Przemyśl to sobie.

– Co chce pan wiedzieć?

– Ty zabiłaś Grohmanna?

– Nie.

– Kto go zabił?

– Nie wiem.

– Co stało się z ciałem?

– Nie wiem.

Zatrzymał się krok przed nią i palcami ścisnął jej brodę jak imadłem.

– Jak znalazł się u ciebie pas scharführera Grohmanna?

– Nie wiem.

– Kto ci go przyniósł? Rajek? Jachimek?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo, Herr Oberscharführer.

– Pani doktor wciąż nie mówi prawdy.

- A dlaczego chciałby pan ją usłyszeć? To i tak niczego nie zmieni.
- Może wpłynąć na twoje położenie. Zatem?
- To ja zabiłam Grohmana.
- Ach tak?
- „Niemiecka krew, mówił, powinna się połączyć z niemiecką krwią”. Napastował mnie. Tuż przed odesłaniem na front nie przestawał pić. Zwabiłam go do jednego z nowo budowanych baraków meksyku i zabiłam.
- Z zimną krwią?
- Widocznie w moich żyłach płynie trochę niemieckiej krwi.
- Nie zapytam, co zrobiłaś z ciałem, bo prawdy i tak nie usłyszę. Kłamiesz! Rajek się przyznał.
- Próbuje mnie osłaniać.
- Skąd znał miejsca, gdzie ukryto mundur?
- Ode mnie.
- Kłamstwo!
- To pan kłamie. Nie mógł panu wyjawić skrytki w drzwiach, bo mu o niej nie powiedziałam. I pan to dobrze wie.

Boger stał bez słowa. Raptem odgiął się w prawo i otwartą dłonią uderzył ją w twarz. Upadła na podłogę, głową uderzając o ścianę.

- Sitz, Mensch! – Drechsler skarciła psa.
- Schlage! – zawołał Boger.

Schlage wstał od biurka i dołączył do Bogera.

– Dla mnie to tylko praca. – Boger stanął nad Steiner. – Nie jestem jak ten wilczur, który rwie się, żeby cię rozszarpać. Mam swoją robotę i muszę ją wykonać. Tylko tyle.

Z pomocą Schlagego postawił Steiner na nogi. Schlage chwycił ją od tyłu pod ramiona, Boger pięścią uderzył w okolice wątroby. Odczekał i zadał cios w ten sam punkt drugą ręką.

Ruhe wyszedł, jego pomoc przestała być potrzebna. Drechsler również musiała wyjść. „Herr Oberscharführer – próbowała protestować, kiedy Boger kazał jej wyprowadzić psa. – Mensch wcześniej należał do scharführera Grohmana. Pewnie na swój sposób pojmuję, o co tu chodzi. Psy mają swój rozum”. „Bydlę robi piekielny rejdach! – poskarżył się Schlage. – Trudno się skupić”. „Frau Drechsler! – odparł poirytowany Boger, nie przypadkiem pomijając »SS-Rapportführerin« przed nazwiskiem – na skutek zaniedbań w podlegającym pani sektorze mamy wystarczająco dużo

kłopotów”.

Po wyjściu Drechsler na powrót przystąpili do pracy. Potem zrobili sobie krótką przerwę na papierosa. Wypalili, Boger zerknął na tarczę zegarka i powiedział kwaśno: „Do obiadu jeszcze pełne dwie godziny. Nie ma sensu przekładać tego na później”. Przeciągnęli Steiner do krzesła, posadzili ją i przywiązali do oparcia. Boger wyprawiał wartownika z wiadrem po wodę, sam wyjął z szuflady biurka skórzaną szpicrutę i szczypcę. „Tak – zgodził się Schlage – nie ma sensu przeciągać sprawy”.

36. Z dziennika untersturmführera Stoopą (10)

Lotta zmarła w czasie porodu. Dziecko przyszło na świat martwe. Chłopiec. Uduślił się własną pępownią. Lekarz był pijany. Przyjdzie drugi telegram z datą pogrzebu.

37. Michał

ROZPOZNAŁA kroki. Nasłuchiwała towarzyszącego im zazwyczaj pogwizdywania, ale tym razem się nie doczekała. Zachrobotał klucz i drzwi celi się otworzyły. Franz na widok nietkniętego jedzenia zrobił naburmuszoną minę.

– Drugi dzień? Komu chce pani zrobić na złość?

– Nie jestem głodna.

– Kojfnie pani.

– Jestem lekarzem, Franz.

Franz postawił na podłodze miskę z zupą. Zdjął czapkę i pocierał czerwoną pręgę odcisniętą na czole. Dziewiętnastolatek nie znosił czapki, koszar, ciasnego munduru i wojskowego drylu. „Powietrze wdychane w Auschwitz – poskarżył się jej wczoraj – przyprawia o ból głowy”.

– Franz?

– Tak?

– Wiadomo już coś?

Obejrzał się na drzwi.

– Nie, jeszcze nic. – Spłonął aż po nasadę blond włosów. Nie potrafił kłamać.

– Mam do ciebie prośbę.

- Ode mnie nic nie zależy.
 - Mógłbyś pójść do rapportführerin Drechsler? Przekaż, że mam jej coś ważnego do powiedzenia.
 - Oby to było coś naprawdę ważnego. – Skrzywił się i założył czapkę. – Nie znoszę, jak się na mnie wydzierają. – Dla kurażu zaczął pogwizdywać pod nosem.
 - Lubisz Marsz Radetzky’ego?
 - Dlaczego pani pyta?
 - Często gwizdzesz tę melodię.
 - To pierwszy utwór, jakiego nauczył mnie ojciec. Grywał po amatorsku na trąbce. Ale w berlińskim konserwatorium niezbyt wysoko cenią Johanna Straussa. Dzisiaj Niemcy kochają Wagnera.
 - Skończy się wojna, wrócisz do konserwatorium.
- Nie odpowiedział. Już przy drzwiach się odwrócił.
- Nie wiem na pewno, ale podobno to już jutro... Proszę nie mieć do mnie żalu.

*

Drechsler weszła do celi sama, Franza odesłała na korytarz. Rozejrzała się podejrzliwie po niskim, pozbawionym sprzętów pomieszczeniu. Steiner siedziała na sienniku, plecami oparta o ścianę. Na widok Drechsler wstała. Obie milczały, omijając się wzrokiem. Drechsler obciągnęła mundur i spytała:

- Czego chcesz?
- Mam dwie prośby.
- Mów.
- Chcę coś przekazać Rajkowi.
- Zgłupiałaś?
- Proszę jak kobieta kobietę.

Drechsler przygryzła dolną wargę. Jej małe oczy prześlizgiwały się badawczo po twarzy Lucyny.

- Co takiego? – spytała.
- Ma pani coś do pisania? I jakąś kartkę?

Drechsler wyjęła z kieszonki munduru notes, wyrwała czystą kartkę i podała więźniarce wraz z ołówkiem. Lucyna przykucnęła i, odwrócona plecami, pisała. Podała Drechsler złożoną na pół kartkę.

- Rapportführerin zajrzała do środka. Podniosła brwi.
- Co to niby jest?

– List do Rajka.
– „Dla Michała”. – Drechsler przeczytała na głos. – Rajek tak ma na imię?

– Tak.

– Tylko te dwa słowa? To cały list?

– Rajek zrozumie.

Drechsler pokręciła głową.

– Dlaczego niby miałabym to dla ciebie zrobić?

– Pamięta pani moją poprzedniczkę, blokową Zimmerler? Tę, co wcześniej pracowała w komandzie dentystów? Z myślą o zabezpieczeniu sobie przyszłości część wrywanych złotych plomb kradła i chowała w specjalnie wydrążonej nodze od stołu. Przed śmiercią powiedziała mi o tym.

– Złoto wezmę, a list podrę i wyrzucę. Skąd wiesz, że tak nie zrobię?

– Tego nie wiem.

Drechsler schowała kartkę do bocznej kieszeni munduru.

– Jesteś katoliczką? – spytała.

– Co to ma do rzeczy?

– No, czy wierzysz w Boga? – Rapportführerin się zawahała. – Może chcesz Biblię, różaniec?

– Dziękuję, Frau Drechsler, wszystko jest tu, na miejscu.

Niemka rozejrzała się po celi.

– W Auschwitz na co dzień mamy Boga we wszystkich trzech postaciach. – Steiner wrzuciła ramionami. – Nie słyszała pani o obozowej Trójcy Świętej? Selekcja, szpryca, krematorium.

– Głupia jesteś!

Drechsler energicznie ruszyła do wyjścia. Zanim zamknęła drzwi, spytała:

– Mówiłaś o dwóch prośbach?

– Tak, Frau Drechsler. Przed tym dniem chciałabym się wykapać. I dostać czyste ubranie.

38. Z dziennika untersturmführera Stoop (11)

„SS-Sturmmann Franz Joseph Stoop zginął śmiercią żołnierza”. Wypadek przy czyszczeniu broni. Dobry żołnierz, wzorowy kolega. Awansowany pośmiertnie ze

stopnia SS-Sturmmann na SS-Rottenführer.

Niech piekło pochłonie Kramera i Auschwitz!

(NiezYTElne)..... chociaż tyle mogę dla niego zrobić.

39. Marsz na wyjście z obozu

UBZDURAŁA sobie, że tego dnia Franz również się pokaże. Uchwyciła się tej myśli, jakby obecność chłopaka mogła cokolwiek zmienić. Kiedy otworzyły się drzwi i zobaczyła obcą twarz, doznała zawodu. Unterscharführer nie powiedział do niej jednego słowa; ospałym gestem nakazał się odwrócić, związał jej ręce za plecami i brodą pokazał drzwi celi.

Słyszała, jak ciężko stąpa. Astmatyk ze sporą nadwagą. Pokasłując, poprowadził ją więziennym korytarzem do wyjścia. Na zewnątrz owionęło ją znajome powietrze. Mrużąc oczy, przyzwyczajając wzrok do światła. Słońce stało już nisko, niebo przecinały strzępiaste chmurki. Przed bunkrem czekali Drechsler z psem i hauptscharführer Ruhe. Niemiec zrobił wielkie oczy. „Po diabła było fasować dla niej czystą sukienkę?”. Zaśmiał się. Drechsler odburknęła mu coś. Wyglądała na zmęczoną.

– Na co czekasz! – fuknęła na żołnierza.

Unterscharführer poprawił karabin i ruszył pierwszy, ruchem głowy kazać więźniarce podążać za sobą.

„Plac przed kuchnią” – domyśliła się. Czowała się dziwnie, idąc znowu obozową ulicą, pośród znajomych baraków. Nabrała powietrza w płuca. Wiatr kierował dym w przeciwną stronę. Drechsler i Ruhe trzymali się w tyle, żwir chrzęścił im pod butami. Skupiła całą uwagę na liczeniu ich kroków. Hałas, zrozumiała, niemal sprawiał jej przyjemność. Bała się ciszy.

Dało się już zobaczyć ustawiony w czworobok tłum, dalej były budynki kuchni, pośrodku placu wznosiła się szubienica. Usłyszała, jak Drechsler przyspiesza. Po chwili Niemka zrównała się z nią.

Lucyna czekała na wiadomość. Musiała wiedzieć. Spojrzała w kierunku męskiej części obozu; Drechsler właściwie odczytała sygnał.

– Powiesili go jakąś godzinę temu. Wcześniej otrzymał twój list – poinformowała cicho.

Wyraz twarzy esesmanki się zmienił, zagadała wesoło do hauptscharführera

Ruhego. Elsa Drechsler „Kostucha” znowu była sobą.

„Już po wszystkim” – pomyślała Lucyna, skręcając w otwierające się w tłumie przejście. Jak przez mgłę widziała plecy unterscharführera. Ktoś zawołał ją po imieniu. Rozejrzała się, ale wszystkie twarze wyglądały podobnie. „Po wszystkim – myślała nie bez ulgi, wstępując po stopniach rusztowania. – Wygląda na to, Rajek, że ostatecznie wyjdzie na twoje. Jakkolwiek na to patrzeć, wkrótce się spotkamy”.

*

„Dziwne” – myśli Mensch; czuje, jak napięcie powoli z niego opada, a na to miejsce powraca dawno niezaznany spokój. Świadomość, że to, co nadchodzi, jest nieodwracalne, pozwalała mu się skupić na czekającym go zadaniu.

Drechsler wlokła się noga za nogą, Ruhe kroczył obok sztywno, ze skwaszoną miną. Ożywił się na widok drewnianej konstrukcji w sąsiedztwie kuchni.

„Jak na balu maskowym” – przemknęło Menschowi przez myśl. Stały w równych szeregach, zbite w czworobok: jednakie w pasiastych sukienkach, na cienkich nogach drewniaki. Rozstąpiły się zawczasu, by przepuścić żołnierza i Steiner. Panowała absolutna cisza. Mensch słyszał chrzęst żwiru pod butami Drechsler – Niemka przyspieszyła, pociągając go za sobą, dogoniła Steiner. Padły szybko wypowiedane słowa, których nie zrozumiał. „Zmienia się” – spostrzegł Mensch. Nie mylił się, gęsta szarość wokół Steiner zbladła, pojaśniała. Drechsler zwolniła, Steiner podążyła za żołnierzem.

Zagapił się, Drechsler szarpnęła smyczą. Zapuszczał się coraz dalej i dalej w las chudych nóg. Śmierdziało.

– Verfluchte Bande! – syknął Ruhe.

Mensch widział jej związane ręce. Drut ciasno oplatał nadgarstki. Starła się trzymać plecy prosto. Potknęła się już u celu.

– Schnell, schneller! – ponaglił ją żołnierz. Głos miał świszczący, jakby w przelyku utkwiał mu metalowy gwizdek.

Stanęła na podwyższeniu. Mensch musiał teraz wysoko zadzierać łeb. Siniaki na jej woskowej skórze zbladły, zapadłe oczy w wychudzonej twarzy wydawały się nienaturalnie wielkie. Wiatr ustał. Pętla wisiała nieruchomo. Żołnierz wgramolił się po stopniach, poprawił karabin przewieszony przez pierś.

Warkoczącym motorem nadjechała para w mundurach: komendant Kramer i Mandel, kierowniczką obozu kobiecego. Drechsler i Ruhe wrzasnęli: Achtung!, sami stanęli na baczność, każde sprężyscie wyrzuciło rękę do przodu i zaszczekało: Heil

Hitler!

Potem przyjechał doktor Mengele.

*

Nie patrzyła pod nogi; obrazy wokół widziała jak przez mgłę. Od podwyższenia dzieliły ją może trzy kroki, kiedy noga w drewniaku przekrzywiła jej się na którymś z większych kamieni.

– Schnell, schneller! – krzyknął szorstko unterscharführer.

Pierwszy raz się odezwał.

„Astma” – utwierdziła się w domysłach, usłyszawszy z bliska jego świszczący oddech.

Weszła po stopniach. Gramolił się za nią, posapując.

Odczekała, aż mgła przed oczami rozwieje się na tyle, by pozwolić jej coś zobaczyć. Rozejrzała się. Wszystko w należyтым porządku. Solidny taboret, pętla na właściwej wysokości. Kto to będzie? Milczkawy unterscharführer? Nie znała nawet jego nazwiska.

Drechsler z psem i Ruhem stali na wolnej przestrzeni między podwyższeniem a pierwszym szeregiem więźniarek. Na widok Mandel i Kramera się ożywili.

Lagerführerin i sturmbannführer zgramolili się z motocykla i przejściem pomaszerowali ku scenie. Ruhe nerwowym gestem obciągnął mundur.

– Achtung! – zawołał.

Tłum stanął na baczność, Ruhe zrobił sprężyste w lewo zwrot i wyrzucił rękę przed siebie na powitanie kierownic twa obozu; nie czekając na Drechsler, krzyknął: Heil Hitler!, Drechsler dołączyła do niego, Mandel i Kramer odpowiedzieli chóralnym: Heil Hitler!. Właśnie zsiadł z motoru i już zmierza ku nim Mengele.

Muzykplac sąsiadujący z kuchnią był pusty. Steiner oczami wyobraźni zobaczyła kobiety w białych bluzkach, przywołała Almę Rosé, kazała orkiestrze zająć miejsca; rozbrzmiały pierwsze próbne tony, Alma Rosé podniosła pałeczkę, jakby nie spotkały jej jeszcze śmierć i komin. Zna obozowe reguły – więźniom przekraczającym bramę Auschwitz musi zagrać orkiestra.

Lagerführerin Mandel i sturmbannführer Kramer wysłuchali pilnie meldunku Drechsler. Maria Mandel patrzy na scenę, szykuje się do odegrania przypisanej roli. Całkiem zrozumiałe, że dziś nie ona jest najważniejsza; nawet komendant Kramer musi zadowolić się pozostawaniem w cieniu. Kiedy Mandel przystępuje do odczytania wyroku, zaczyna od zbyt wysokiego tonu i głos jej się łamie.

*

„Posłuszeństwo – strofuje się w myślach Mensch – od psiego posłuszeństwa wiele teraz zależy”. Siada karnie na pierwszy dźwięk komendy z ust Drechsler, przymila się do drugiej kobiety w mundurze. Mądra decyzja, bo Drechsler też się to podoba; tamta schyla się, wyciąga rękę. Mensch widzi pas ze znajomymi słowami. Kobieta głaszcze Menscha po łbie, wryte na klamrze Meine Ehre heißt Treue kłują go w oczy; „honor” i „wierność” nie dadzą o sobie zapomnieć. Drechsler ma zadowoloną minę. Odpina smycz.

I ponownie: Achtung! – Drechsler wykrzyczała komendę, sama staje na baczność. Frau Lagerführerin ma w rękach kartkę papieru, zaczyna czytać. Mensch rozpoznaje tylko niektóre słowa: Drecksack, Bande, verfluchte Juden. Lagerführerin, wykrzykując je, tupie nogą w wysokim skórzanym buciku, jakby tym chciała dodać sobie powagi.

*

„A jednak przyznają się do porażki” – przebiega Lucynie przez myśl. Mandel czyta z kartki tekst niemiecki, potem duka to samo po polsku; powtarza słowa zarazki, bez których Auschwitz i Hitler nie zagrażaliby światu bardziej niż katar człowiekowi: śmierdzące psy, kupa łąjna, przeklęci Żydzi, porządek, sprawiedliwość dziejowa. „Przyznają się do porażki – konkluduje – skoro przywrócili jej imię i nazwisko, skoro na sam koniec muszą ją wyposażyć w uczciwą, indywidualną, szytą na jej miarę śmierć, żaden oszukańczy »zawał serca«, »tyfus« czy »zapalenie płuc«”.

„Za zamordowanie niemieckiego żołnierza – gorączkuje się Mandel – za udział w spisku mającym na celu wywołanie buntu, Lucyna Steiner zostaje skazana na śmierć przez powieszenie”.

Skrepowane w tyle ręce utrudniają poruszanie się, unterscharführer musi jej pomóc wejść na taboret. W takiej chwili wolałaby widzieć w pobliżu choć jedną znajomą twarz. Piętnaście, może dwadzieścia sekund – tyle jej pozostało. Twarze napływają i odpływają. Bruno Steiner i Michał Rajek, jest też Teresa Melliqué, migają jej nawet młodziutki sturmmann Franz i Sara Hovlankowa. Alma Rosé ruchem pałeczki ożywia orkiestrę; rozumie się ze Steiner bez słów. Lucyna zaczyna nucić, obozowa orkiestra podejmuje ton – i na wymarsz Lucyny Steiner z Auschwitz zaczyna grać Marsz Radetzky’ego.

*

Mensch nie czeka, aż żołnierz kopnięciem przewróci taboret. Gdy głowy wszystkich zwracają się w jedną stronę, wymyka się i rusza w kierunku znajomego baraku szpitala

kobiecego. Czas biegnie teraz szybciej. Zostały dwie, góra trzy minuty, nim jego nieobecność zaniepokoi Drechsler. Za dziesięć, najwyżej piętnaście minut, kiedy doktor Mengele urzędowo potwierdzi zgon i plac przed kuchnią opustoszeje, Drechsler rozpocznie poszukiwania.

*

Stoop poprawił plandekę na koszu motocykla, powoli odkręcił manetkę gazu i lekko wcisnął sprzęgło. Maszyna ruszyła bez szarpnięcia spod baraku szpitala kobiecego. Stoop kierował się do zamkniętej bramy. Przed bramą zahamował; nie gasząc silnika, czekał. Wartownik podszedł niespiesznie i obejrzał przepustkę. Jak można było oczekiwać, zwrócił uwagę na przykryty plandeką kosz przyczepy.

– Co jest w środku, Herr Untersturmführer?

Stoop splunął.

– SS-Sturmmann Franz Joseph Stoop, pośmiertnie awansowany na stopień rottenführera. Wiozę urnę z prochami brata, durniu!

Żołnierz otworzył bramę i odsunął się, umożliwiając przejazd. Stanął sztywno jak na baczność. Stoop na wolnym gazie wyprowadził maszynę, skręcił w lewo, do koszar SS. Nie zatrzymując się, zrobił szparę w plandece.

Pomyślał o ojcu, który niemal wszystko przewidział. Po anektowaniu Austrii przez Hitlera stary Stoop postanowił umrzeć na zawał serca, dla większej pewności strzeliwszy sobie jeszcze w łeb. Nie mógł zdzierżyć, że Wiedeń wpadł w łapy dyletanta, który nie potrafi zagrać na najprostszym instrumencie. No, może staruszkowi jednak nie starczyło wyobraźni. Nie wziął pod uwagę, że ambicje Hitlera sięgają dużo dalej. Gorzej, bo nie przewidział, że Franz w wieku dziewiętnastu lat pójdzie w jego ślady. A już na pewno w głowie mu nie postało, że esesmański pies wraz z podporucznikiem SS będą ratować żydowskiego bachora.

Zmienił kierunek i po przejechaniu jakichś dwustu metrów dotarł do szosy. Nie gasząc silnika, zsiadł z motoru i odpiął plandekę. Wyjął przygotowany przez Słowaczkę tobołek. Wilczur, aż do teraz cierpliwie zwinięty w kłębek, wygramolił się z kosza, przysiadł na ziemi i obserwował go czujnie. Niemowlę w tobołku nadal spało, jedzenie i wywar z rumianku zaaplikowany przez Słowaczkę zrobiły swoje. Upewniwszy się, że wiązanie mocno trzyma, położył tobołek na ziemi. Mensch jakby tylko na to czekał. Chwycił wiązanie zębami i truchtem zaczął się oddalać skrajem szosy.

*

W drodze do koszar Stoop kolejny raz powtarzał w myślach plan działania na

najbliższe dni. Skupić uwagę na konkretnych czynnościach, byle nie dopuszczać do głosu innych myśli – tyle podpowiadał mu tak zwany zdrowy rozsądek. Zatem: z samego rana pobudka, żeby zdążyć na pociąg do Berlina; pogrzeb Lotty i noworodka; złożenie urny z prochami Franza w rodzinnym grobowcu; porządkowanie rzeczy w pokoju Franza wspólnie z matką; msza za dusze zmarłych; powrót do Auschwitz.

Niewiele. Zaledwie kilka punktów zaczepienia, wokół których można budować porządek dnia minuta po minucie, godzina po godzinie. Co potem?

*

„To tylko pies!” – oponowała Mlada. „Niech pani po prostu mi zaufa – przekonywał Stoop. – Proszę nie starać się tego zrozumieć. Ja ze swej strony nawet nie próbuję. Przestałem zresztą rozumieć siebie”.

Wraz z zapadnięciem zmroku Mensch poczuł się pewniej. Na obrzeżach zagajnika urządził krótki postój. Dziecko już się wybudziło i zaczęło kwilić. Obejrzał się. Z tej odległości światła oplatające Birkenau były nie większe niż łebki szpilek. Chwytał pakunek w zęby i puścił się w stronę zabudowań wioski. Dziecko rozplakało się na dobre. „To nawet lepiej – uznał – płacz tym pewniej wywabi kogoś z domowników za próg”.

Zobaczył całą scenę odsłona po odsłonie: rozbłysną światła w oknach, otworzą się drzwi, czyjeś ręce podniosą pakunek i już pod dachem go rozwiną, odsłaniając zawartość wraz z listem Mlady, informującym lakonicznie w języku polskim, że dziecko to sierota urodzona w Auschwitz.

Było tak, jak sobie to wyobraził: rozbłysły światła w oknach i otworzyły się drzwi.

ŚWIATŁO

40. Pamięć i zapachy

JASNOŚĆ wdzierала mu się pod powieki, jakby ktoś coraz szerzej uchylał drzwi rzęsiście oświetlonego pokoju. Otworzył oczy. Bał się, że jeśli się podda i zaciśnie powieki, światło zgaśnie bezpowrotnie.

Zza świetlistej kuli nie widział twarzy, usłyszał tylko głos mężczyzny informującego

beznamiętnie:

– Źrenice reagują na światło latarki. Zabieramy go.

Poczuł, jak dwie pary rąk chwytają go i podnoszą z ziemi. Jęknął.

– Ostrożnie! – dodał ten sam męski głos. – Ma złamane żebra!

Nosze. Wrażenie ciasnoty. Zapachy przywodzące pamięć o innych zapachach.

Medykamenty, szpital. Przez moment łudził się, że zaraz usłyszy Steiner, Rajka i Jachimka. Trzasnęły drzwi i na sygnale ruszyli z miejsca.

41. Erich

GĘSIEGO wysunęli się z sali na korytarz: Erich, Rudolf, Franz, Max. A.H. wyszedł ostatni. Powoli zamknął drzwi, żeby nie trzasnęły.

– Śmierdzi, że rzygać się chce! – Max był zielony na twarzy.

– Szpital to szpital – skwitował Franz.

Rudolf powiedział głośno, żeby A.H. też usłyszał:

– Ubiegłej zimy trafiłem ze złamaniem na ostry dyżur. Tam to dopiero był bajzel!

Czekałem dwanaście godzin, żeby mi girę złożyli. Ludzie z bólu tracili przytomność.

Dosłownie.

– Bajzel. – Franz przytaknął. – Nie ma komu w tym zażydżonym kraju zaprowadzić porządku.

– Poczekajcie. – A.H. stał na wysokości pokoju pielęgniarek. Poprawił krawat. – Odmelduję się u tej pindy.

Drzwi były uchylone. Zapukał i zajrzał do środka. Siedziała przy biurku, nogę założyła na nogę i paliła papierosa. Jaskrawoczerwony lakier na paznokciach, paluchy poźółkłe od nikotyny. Spod niebieskiego kitla błyskały białe rajstopy opinające grube łydki. Odłożyła niedopałek na talerzyk po ciastku i obiema dłońmi przygładziła blond włosy podpięte pod czepek.

– Miała siostra rację. Kolega nie jest jeszcze w pełni dysponowany. – Uśmiechnął się. – Dziękujemy za opiekę.

– Następnym razem nie zwalajcie się całym plutonem! To jest szpital, nie koszary.

– Zastępem, siostrze. W harcerstwie są zastępy i hufce.

– Coś jeszcze?

– Kolega nie ma apetytu. Nie chciał czekoladek. Mogę? – Położył elegancko

zapakowaną bombonierkę na biurku.

– Aha, i te kwiaty – przypomniała mu. – Zabierajcie swój bukiet. Zapamiętajcie raz na zawsze, że kwiatów chorym się nie przynosi.

– Może niech zostaną? – A.H. znowu wykrzywił cienkie wargi w uśmiechu. – Piękne kwiaty dla pięknej kobiety.

Już na schodach Franz zagwizdał z podziwem:

– Masz gadane! Mógłbyś ją sobie owinąć wokół palca.

A.H. nie podjął tematu. W milczeniu zeszli na parter, minęli izbę przyjęć i skierowali się ku wyjściu.

Max zaczął pierwszy:

– I co o tym myślicie?

– Pocięło go! – wyrwał się Rudolf.

– Pewnie faszerują go jakimś świństwem – zawyrokował Franz. – Jak odstawią leki, to rozum mu wróci.

Teraz wszyscy czterej spojrzeli na A.H.

– No chyba – przytaknął. – Wyzdrowieje, to znowu zacnie trzeźwo myśleć. – Zerknął kątem oka na Ericha. – A ty co? Mowę ci odjęło?

– Łeb mmmi ppę... ppę... ppęka!

Wyszli z budynku, zbiegli po schodkach i skierowali się ku bramie. Emeryt w mundurze portiera gapił się natarczywie, kiedy go mijali. A.H. zawrócił i dyskretnie wcisnął mu w rękę zwinięty banknot. Szybko ich dogonił.

– Integracja – powiedział. – Wzorowy skaut integruje się ze społeczeństwem.

– Właśnie, harcerze! – przypomniał sobie nagle Franz. – Przedrzeźniając pielęgniarkę, zapiał: – Z jakiego jesteście hufca, chłopcy?

– Waffen SS, siostró – zażartował Rudolf.

Franz i Max wybuchnęli śmiechem. A.H. dołączył do nich.

Erich został w tyle. Nie śmiał się.

Skręcili w lewo, idąc wzdłuż szpitalnego kompleksu na Solcu, dotarli do Czerwonego Krzyża i przeszli na drugą stronę ulicy. Kurt, Walter, Karl, Heinz i Ludwig czekali na parkowych ławkach.

A.H. przyspieszył. Trącił Waltera w tył głowy z taką siłą, że chłopakowi papieros wyleciał z ust.

– Mówiłem: żadnych używek!

– Przepraszam.

– Jeszcze raz zobaczę, jak się trujesz, to wylecisz na zbity pysk. Jasne?
Walter w pozycji na baczność skinął głową. Reszta poderwała się z ławek.

– To co? Teraz nasza zmiana? – upewnił się Ludwig.

– Możecie sobie odpuścić.

– Farbowana flądra nas nie wpuści?

– Nie w tym rzecz. Heinrich nie jest jeszcze w formie.

– Czymś go musieli naszprycować. – Franz wyjaśnił za A.H. – Na razie nie da się z nim po ludzku pogadać.

– Pieprzone konowały! – Ludwig zaklął.

– Ale wyjdzie z tego? – zaniepokoił się Kurt.

– To kwestia czasu. – A.H. poluzował wiązanie krawata i spojrzał na zegarek. – Teraz się rozdzielimy, za pół godziny zbiórka na nowym miejscu. Idziemy dwójkami, żeby nie rzucać się w oczy. Erich, ty zostań. Pójdziemy razem.

– Dziśś nniee... mmogęę...

– Bo?

– Ccoś mmii wyy... wy... wypadło...

– Akurat dzisiaj?

Erich rozjąkał się na dobre. Jak zwykle w momentach zdenerwowania potykał się nawet na jednosylabowych słowach. Któryś się zaśmiał – Rudolf albo Franz. A.H. nie czekał, aż się uciszą:

– Też podłapałeś żydowskiego wirusa?

– Nniiee ro... ro... zuuumiem...

– Może zaraziłeś się od Heinricha? Widać zbyt często go odwiedzałeś.

– Portier ci po... po...po...

– Tak, portier mi po... po... powiedział. – A.H. stanął o krok od Ericha. Chłopak skurczył się, byli teraz niemal równi wzrostem. – Po jaką cholere łaziłeś do Heinricha bez pytania? Co kombinujesz?

Erich cofnął się, ale A.H. znów na niego napał, przyciskając go do ławki. Erich ciężko oddychał.

– Mmo... mmoja spraa... spraa... wa...

A.H. czuł na sobie spojrzenia pozostałych. Uderzył Ericha otwartą dłonią w bark. Dryblasem aż zachwiało.

– Nie masz żadnych swoich spraw! Jasne? Beze mnie nic nie znaczysz. Jesteś tylko kupą łajna. Raz na zawsze wbiję ci to do łba.

Zamierzył się jeszcze raz, tym razem celując w głowę. Erich uchylił się przed ciosem i rąbnął go pięścią w twarz. Uderzenie było tak silne, że A.H. poleciał na Rudolfa i obaj zwałili się na ziemię.

Rudolf pozbierał się pierwszy. Otrzeputując ubranie z piasku, wycofał się na bezpieczną odległość. A.H. usiadł i rękawem koszuli wytarł usta. Zaplamiał materiał na czerwono. Siedział przygarbiony i gapił się na jaskrawoczerwone smugi. Erich stał nad nim, na przemian otwierając i zaciskając pięści. Wydawało się, że sytuacja go przerasta. Ale kiedy zaczął mówić, ani razu się nie zająknął.

– Wiesz, co teraz zrobię? Pójdę zająć się swoimi sprawami. Rozumiesz? Swoimi! I gównu ci do tego! – Już odchodził, ale odszukał jeszcze wzrokiem Maksa i powiedział: – Jak będziesz chciał pogadać, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Nikt nie próbował go zatrzymać. Kiedy już odszedł dostatecznie daleko, A.H. dźwignął się z ziemi. Rudolf podbiegł do niego.

– Jąkała to szajbus. – Wydał pucułowate policzki. – Właściwie nigdy do nas nie pasował.

– Spierdalaj. – A.H. klapnął na ławkę.

Postali jeszcze chwilę i zaczęli się pojedynczo rozchodzić. A.H. zapalił papierosa. Pstrykając zapalniczkę zobaczył, że dłonie ma utyłane ziemią. Zaczął wycierać je o spódnie tak energicznie, że rozboleły go ręce, ale brud nie chciał schodzić.